

Jennie Dorny

Kiedy Amor traci głowę

Książkę tę dedykuję wszystkim moim przyjaciołom.

Osoby

New England, Stany Zjednoczone

Lilian Stevenson - rzeźbiarka.

Alan Stevenson - jej brat bliźniak, malarz.

Maggie - żona Alana, nauczycielka muzyki.

Justin - najlepszy przyjaciel Lilian, projektant.

Emma - przyjaciółka Lilian z dzieciństwa.

Paryż

Mirna SHARMA - księgowa i współwłaścicielka Popadom & Co.

Pimmi SHARMA - jej matka, szefowa i współwłaścicielka Popadom & Co.

Hanif SHARMA - starszy brat Mirny, fotograf i artysta kabaretowy.

Dalil HADAD - właściciel galerii sztuki, przyjaciel Hanifa.

Gheorghe - rumuński artysta mieszkający w Cite des Arts.

Portsewart, Irlandia Północna

Patrick - kochanek Hanifa, wykładowca literatury i rugbyman.

W pozostałych rolach:

Solange, Dafne i Ulryka - przyjaciółki Mirny.

Ted - chłopak Justina.

Giuseppe GOLDINO - adorator Pimmi SHARMA.

Sylwia - dziewczyna Gheorghe.

Thierry GARNIER - kolega z klasy Lilian STEVENSON.

Jeong HYUNG - KIM - koreańska przewodniczka.

Ernesto DIAZ - artysta z Argentyny.

W chmurach:

zastęp Amorków.

Prolog

Wśród chmary Amorków żył sobie jeden uroczy sowizdrzał, na którego koledzy po fachu patrzyli z politowaniem. Współczuli też istotom ludzkim powierzonym jego pieczy, ci bowiem bardzo rzadko spotkali Miłość na swej drodze. Statystycznie rzeczy prezentowały się nieciekawie. Procent jego sukcesów miłosnych wahał się w okolicach pięciu, co było wynikiem miernym zważywszy, że uprawiał ten zawód od niepamiętnych czasów.

Z powodu skarg napływających od pozostałych Amorków, których podopieczni zakochując się w protegowanych tego właśnie Kupidyna, wzdychali daremnie i bez końca lub co gorsza marnieli, wędli i umierali z miłości, Bractwo Kupidynów zebrało się na walnym zgromadzeniu, aby rozpatrzyć ten trudny przypadek. Dokładnie przeanalizowano wskaźnik sukcesów sowizdrzała, zbadano dogłębnie jego metody i poddano w wątpliwość jego dobrą wolę.

Z powodu tremy nie udało mu się wyjaśnić przedstawicielom bractwa, dlaczego jego podopieczni, nawet ci o namiętym temperamencie, pozostawali absolutnie nieczuli na strzały Miłości. Nie mogąc bronić się słowami, Amorek postanowił pokazać kompanom miejsce swego zamieszkania.

Zacni członkowie kupidynkowego stowarzyszenia odkryli tam, ukryte za mgłą Obojętności, rozrzucone wśród strzępów Beztroski, zwoje cumulonimbusów zawierających różne ludzkie pasje i uczucia. To, co ujrzeli, poczuli, usłyszeli, czego doświadczyli, spróbowali, dotknęli, poruszyło jednocześnie ich pięć zmysłów: od niepamiętnych czasów ten niedbały w miłości Kupidyn kolekcjonował dzieła osób, nad którymi sprawował sentymentalną pieczę. Dzieła sztuki stworzone w niezliczonych deklinacjach miłości, pasji, emocji i olśnienia: wykwintne w swej prostocie lub ekstrawaganckie dania, jedwabie o efemerycznych wzorach, porcelanowe filiżanki, perfumy, książki, obrazy, koncerty, rysunki, ryciny, rzeźby, symfonie, pomniki...

Pasja do sztuki sprawiła, że Amorek przedkładał miłość do kunsztu nad miłość do ludzi. Gdy tylko dostrzegł u kogoś twórczy talent, nie był w stanie sięgnąć do kołczanu. Czuwał nad tym, aby jego protegowani poświęcali się przede wszystkim i bez pamięci sztuce.

Łzy wzruszonych i zachwyconych Kupidynów spłynęły na świat lekką mgiełką. Ich poruszone serca nagłe zawirowały nad światem.

Niektórzy tak się rozentuzjasmowali, że wystrzelili kilka przypadkowych strzał, skazując kilkoro ludzi na nieobliczalną w skutkach miłość od pierwszego wejrzenia.

Ale kiedy pierwsze emocje przeszły i Amorki opuściły aksamit niebiańskich obłoków, aby przysiąść na chmurce codzienności, gdzie zazwyczaj pomieszkiwały, nasz kupidynowy wielbiciel sztuki znowu znalazł się na cenzurowanym.

Postanowiono zatem, że dzieła, które zbierał przez lata, zostaną własnością wspólnoty. W momentach zwątpienia i udręki, które regularnie zadręczały te poświęcające się dla Miłości istoty, taki nawias piękna mógł okazać się doskonałym lekarstwem na zniechęcenie.

Po dokładnym przypomnieniu obowiązków spoczywających na każdym członku stowarzyszenia bez wyjątku, wspólnie zdecydowano dać jednak ostatnią szansę marnotrawnemu Kupidynowi.

I w ten oto właśnie sposób przypadła mu w udziale Lilian Stevenson.

Rozdział 1

Siedząc na tarasie kawiarni w centrum Marblehead, małego miasteczka na północ od Bostonu, Lilian starała się czytać. Odbijające się od białych kartek słońce bardziej sprzyjało marzeniom niż lekturze. Książka stała się więc dobrym pretekstem do obserwacji przechodniów. Przy stoliku obok usiadł jakiś mężczyzna. Wyciągnął przed siebie nogi, skrzyżował stopy. Nonszalancki, jak każdy facet. Powróciła do lektury, cofając się kilka zdań, aby na nowo złapać wątek.

Kiedy była nastolatką, Lilian usłyszała gdzieś, że niektórzy cierpią na pewien rodzaj amnezji, która powoduje, że w nieskończoność czytają tę samą stronę. A ponieważ nie udawało jej się pozostać w skupieniu wystarczająco długo, aby móc przewrócić kartkę, pomyślała, że doświadcza podobnego nieszczęścia.

Ostre słoneczne światło sprawiało, że słowa tańczyły jej przed oczyma. Poza tym dywagacje bohaterki na temat powodu, dla którego jej tajemniczy adorator zwrócił na nią uwagę, były wręcz żenujące. Lilian dawała się niekiedy skusić tym niemodnym romansidłom, wypełnionym szalonymi miłościami i przygodami, gdzie panny przebierały się za młodzieńców, gdzie grało się jak w teatrze i gdzie zdrada zawsze była ukarana.

Tym razem cukierkowe czytadło wysiadało w przedbiegach wobec czerwcowego słońca, od którego pot zalewał nawet najbardziej intymne części ciała. Nagle stało się upalnie nie do wytrzymania. Lilian odłożyła książkę pozostawiając bohaterkę własnemu losowi. Postanowiła wracać, zaszyć się w cieniu i samotności domu, by oddać się jego tajemnym rozkoszom.

Rzuciła w progu torbę, zdjęła sandały, zmysłowy, chłodny, gładki dotyk starej podłogi doprowadził ją do pracowni mieszczącej się w głębi.

Aż zadrżała od szalonego pragnienia zanurzenia dłoni w mokrej glinie. Nawet nie próbowała walczyć z tą neodpartą, szaloną chęcią. Rozebrała się wśród bordowych ścian korytarza, narzuciła na siebie dużą męską koszulę sięgającą jej do kolan; usiadła na mrugającej tyśiącem kolorów kafelkowej podłodze - jedna stopa podwinięta, druga noga wysunięta do przodu. Najwygodniejsza pozycja na odrętwiałe popołudnie.

Wymieszała dwa rodzaje gliny ceramicznej, tak jak nauczył ją mistrz ceramiki z Nigerii, i zaczęła lepić dzban. Ugniatać. Miesić glinę. Dotykać, wdychać wszystkimi porami skóry chropowaty zapach wody i ziemi.

Ciemna, czerwona otchłań, niczym stary chlebowy piec, ciepła nora, w której spoczywa i budzi się energia całego ciała. Tekstura wilgotnej gliny miała efekt uspakajający i ekscytujący zarazem. Lilian delectowała się ugniataniem tej gęstej masy, która poddawała się lub jej umykała, opierała się, uwodziła ją, przenosiła w inny świat.

Pod jej zwinnymi palcami glina stała się wzgórzem, a potem przekształciła w wazę przypominający dorodną kobiecą pupę - ciało o rozłożystych udach, wypukłych pośladkach, łagodnych, krągłych kształtach, niczym dojrzewająca na słońcu brzoskwinia.

Glina przylepiła się do ud dziewczyny, jak twarda, podobna do muszli skorupa oddzielająca ją od reszty świata, pokryła dłonie aż do łokci, jak zmysłowe rękawiczki, wbiła się pod paznokcie. Lilian odsunęła włosy ze skapanego w pocie czoła, polizała palec pokryty gliną i uśmiechnęła się. Wazie brakowało harmonii. Pogładziła ostatni raz krągłe kształty, postanowiła zacząć od nowa, zachowując w pamięci ideę brzoskwini pokrytej delikatnym meshkiem, której słodki smak, soczystość i owocową aksamitność chciałyby wyrazić w swojej rzeźbie.

Jakiś czas potem, pozbawiona glinianej zbroi, która rozpuściła się pod gorącym prysznicem, Lilian wyciągnęła się na kanapie. Oczy jej padły na obraz ofiarowany jej przez brata. Był to jeden z jego pierwszych - już wtedy biel potęgowała wibracje błękitów, nadając im mocy i spokoju. Deszcz rozśpiewał się w rynnie za oknem.

Spragniona ruchu i dziwnie niespokojna Lilian poszła do kuchni, gdzie zagryzła cheddarem kilka małych pomidorów. Nabrała ochoty na jabłkową tartę. Obrała trzy lekko zmięte jabłka, idealne do pieczenia. Dodała trzcinowy cukier i cynamon. Wymieszała mąkę, wodę i margarynę - ideał alchemii - oblizwała dokładnie każdy palec; przełożyła ciasto do powyginanej i poczerniałej od częstego używania formy, rozgniatała miarowo, poczynając od środka w stronę brzegów. Wkrótce posłuszne pokrytym mąką dłoniom ciasto wypełniło całą formę. Podniosła głowę, spoglądając w stronę drżącego wśród deszczowej nocy dębu. Pod wpływem wiatru gałęzie poruszały się jak samochodowe wycieraczki. Pozjadała do ostatniego okruszka resztki

surowego ciasta. Zadziałało to uspakajająco na nadchodzące wieczorne lęki, które zawsze pojawiały się z chwilą, kiedy hałas dnia przestawał zaprzęcać jej umysł i zmuszał ją do rozmyślań.

Jaki jest sposób na to, aby poczuć się dobrze we własnym ciele? Lilian nieustannie oscylowała między chęcią stania się niewidzialną lub zauważaną przez innych, co było równie dobrym, jak każdy inny, sposobem na istnienie wbrew sobie, poza sobą. Od jakiegoś czasu nie poznawała samej siebie. Jej życie, pozbawione innych pasji poza pasją twórczą, zasmucało ją. Ogarnęła ją obsesja zmiany. Radykalnej, przeobrażającej życie, dodającej mu światłości, radości, uwalniającej ją od rutyny przyzwyczajęń, w której z pewnością ugrzęźnie nawet jej optymistyczny charakter.

Samotność i sentymentalna pustka pogrążyły ją od jakiegoś czasu w mroku i ciągnęły wbrew jej samej do ciemnego zaułka. Tej deszczowej nocy poczuła raptem, że nadszedł moment, aby zmienić bieg życia. Nie wiedziała tylko, jak się do tego zabrać. Siedząc okrakiem na taborecie w oczekiwaniu na tartę, zastanawiała się, jak ma wyglądać ta zmiana. Zignorowała pierwszą myśl, jaka jej się nasunęła: iść do psychologa i opowiedzieć mu o dzieciństwie, o rywalizacji z bratem, o niepokojach i nieprzystosowaniu. Pfuj! Zabrakło jej odwagi, a być może ciekawości. Nie chciało jej się opowiadać o sobie. W jej mniemaniu wazy zawierały wiele innych tajemnic. Zmiany powinny nastąpić w niej samej, w tajemnicy jej jestestwa i tylko dlatego, że to ona ich pragnie.

Odrzuciła również myśl o zniknięciu w tłumie, mimo że często miała ochotę wtopić się w świat swoich homoseksualnych przyjaciół, gdzie mężczyźni patrzyli tylko na siebie samych, jak w lustra odbijające w nieskończoność ich własne sobowtóry. Mogłaby przecież w podobny sposób stać się niewidzialną, ale wybór ten zwiększyłby tylko jej frustrację.

Pragnęła zupełnie innej identyfikacji. Upoiła ją myśl o stworzeniu sobie innej tożsamości, przeistoczeniu się w mężczyznę. Kamuflując swoją kobiecość, zrobi krok w kierunku wymienności tych dwóch elementów, ich nierozdzielności.

Miała wrażenie życia w społeczeństwie rozdartym między dobrem a złem, zimnem i ciepłem, latem i zimą, homo - i heteroseksualistami, śmiechem i łzami, nocą i dniem, bielą i czernią, Yin i Yang; w społeczeństwie, które potępiało w równej mierze

kompromis, układy, szarość, nijakość, co młodzieńczy bunt, niezdecydowanie, androginię, biseksualizm, ambiwalencję, paradoks. A właśnie tak zróżnicowany świat i jego różnorodne pryzmaty ciekawiły ją i zastanawiały. Z dala od wszelakich norm i konformizmu.

Kiedy zadzwonił minutnik, otworzyła piekarnik. Pachnący, gorący podmuch owiał jej twarz. Jabłka puściły trochę soku, cynamonowy proszek wtopił się w rozpuszczony, rudy cukier. Efektem była wyjątkowa, wyborna, brązowawa melasa, w której pławiły się kawałki jabłka. Czekać, aż ciasto ostygnie, Lilian zaserwowała sobie kieliszek chilijskiego wina.

Otworzyła kuchenne drzwi, wychodzące na ogród z tyłu domu. Ogarnęło ją zimne, wilgotne powietrze. Zadrżała. Schowała się pod sklepienie bramy. Przywarła do framugi, wyteżając spojrzenie, by dostrzec kontury drzew pokrytych trzepoczącymi liśćmi i kępy pochylonych ku ziemi margerytek. Po niebie szybko przesuwały się warstwy chmur, odsłaniając od czasu do czasu księżyc. Dziewczyna wyobraziła sobie siebie przebraną za mężczyznę i poczuła podniecenie podobne do tego, jakie odczuwała tworząc.

Nadszedł czas, aby fantazje przerodzić w czyn, zboczyć z utartej drogi, wytyczyć sobie nowy szlak. Spodobała jej się myśl o tym, aby przeżyć kilka chwil inaczej, szczególnie że kobiecość nie była jej silną stroną. Już jako dziecko bolała nad tym, że nie jest chłopcem, jak Alan, przed którym zdawało się otwierać dużo więcej perspektyw.

Piła w deszczu i w szarej ciemności, zobojętniała na zimno, od którego drętwiały jej bosc stopy. Uśmiechnęła się sama do siebie, przypominając sobie wieczór, który spędziła w towarzystwie Justina, swego najlepszego przyjaciela. Tematem imprezy były słynne pary. Udali się wtedy na przyjęcie przebrani wyzywająco - on za Scarlett O'Hara, a ona za Retta Butlera. Ileż przyjemności znalazła, ubierając się w biały garnitur i wkładając dopasowany do niego kapelusz! Ileż emocji odczuła zawiązując krawat! Podobała się sobie z czarnym wąsikiem, który Justin namalował jej nad ustami.

Od tamtej chwili kilkakrotnie zdarzyło się, że stawała przed lustrem, aby dorysować sobie wąsy. Lubiła swą przeobrażoną w ten sposób twarz.

Rozdział 2

Lilian zauważyła, że decyzje podejmowane w nocnej, srebrzystej ciszy, kiedy bezsenność staje się namacalna, wyczerpująca, pochłaniająca energię, zdają się nieomyślne. Ale kiedy rano rozsądek bierze górę, nocne rozważania przypominają fatamorgany. Tego ranka jednak, kiedy szaro - niebieskie światło wyrwało ją ze snu, myśl o przebraniu się za mężczyznę pozostawała nadal kusząca.

Przez kilka tygodni nie zrobiła nic w tym kierunku. Pozwoliła decyzji dojrzeć. Zawsze pociągał ją spirytualizm, lubiła zanurzyć się w oceanie myśli i oczekiwać, co z nich wyniknie. Owocem tych rozważań stawały się często wazy o niesamowitych kształtach. W tym błogim okresie przemyśleń o świecie wyciągała się często w hamaku i obserwowała prześwitujące między liśćmi wierzby postrzępione chmury. Huśtała się w fotelu na biegunach, a miarowemu skrzypieniu podłogi odpowiadał śpiew koników polnych z ogrodu. Schodziła na malutką plażę na skraju uliczki i siadała twarzą do morza, czekając przyływu; obok niej matki z dziećmi rozkładały się, bawiły, kąpały, wycierały i splukiwały z brzdąców pod prysznicem piasek, który gromadził się w wałeczkach ich pulchnych nóżek, niezmordowanie biegających po morskim brzegu. Czasami siadywała na podłodze w pracowni, pozwalając myślom podróżować w takt Underwater Sunlight zespołu Tangerine Dream.

Pierwszą osobą, której Lilian zdradziła swój zamiar przebrania się za faceta, była Emma, przyjaciółka z dzieciństwa.

Stało się to w czasie pikniku w Boston Common (Park publiczny w Bostonie, najstarszy w Stanach Zjednoczonych, założony w 1634 roku (przyp. red.)). Wśród podejrzliwych spojrzeń wiewiórek, których futerka zlewały się z korą drzew, Emma wymieniła całą listę problemów praktycznych. Poza kwestią ubraniową pozostaje problem biustu, który trzeba będzie zabandażować, włosów, które trzeba będzie ściąć, głosu, któremu trzeba będzie nadać niską barwę, wąsów i brody, które trzeba będzie przylepić, sposobu chodzenia, który trzeba będzie zmienić. Poza tym, co powiedzą znajomi, ci, którzy znają ją od dziecka, rodzina, przyjaciele? A co z lekcjami rysunku, których udziela w dwóch renomowanych szkołach? Czy gotowa jest złożyć dymisję?

Emma uważała, że pomysł spali na panewce. Lilian wyraźnie odczuła, że żadne wzajemne zwierzenia z przeszłości, żadna dzielona

dotychczas tajemnica nie zdołała wypełnić przepaści, która otworzyła się w tym momencie między nimi. W oczach Emmy Lilian, która chce przybrać męską aparycję, stawała się kimś innym, nieznanym, obcym.

Zmienić wygląd znaczyło zniknąć i odrodzić się na nowo. Po pełnej przemilczeń i niedomówień rozmowie z Emmą Lilian zgromadziła materiały na temat kobiet, o których historia wie, że przybrały męskie szaty. Szczególnie zafascynowały ją postacie female husbands, a wśród nich pewien James Allen, stoczniowy tracz.

W roku 1820 przypadek jego poruszył brytyjską opinię publiczną, zażądano bowiem autopsji po jego tragicznej śmierci w wypadku i lekarze stwierdzili, że był kobietą. James Allen przeżył dwadzieścia jeden lat w małżeńskim związku z inną kobietą, Abigail. Brak znajomości szczegółów codzienności Jamesa Allena, a przede wszystkim jego pożycia z Abigail, skłonił Lilian do wyobrażania sobie życia, jakie prowadził, co myślał, czego się bał. Jego los, który sam sobie stworzył, banalny, a jednocześnie niezwykły, zafascynował ją.

Podszyć się pod tożsamość mężczyzny w życiu codziennym, na wzór tego właśnie angielskiego męża płci żeńskiej, stanowić miał pierwszy etap jej transformacji. Pomyślała, że mogłaby nazywać się Johnny, jak dziewczyna z jej ulubionej piosenki Waterboys, której historia tak bardzo przypominała jej własną: A girl called Johnny who \ Changed Her name when she \ DIscovered Her choice was to \ Change Or to be changed...

Przetestowała brzmienie tego imienia ze swoim własnym nazwiskiem, wymawiając je głośno, ale nie była do końca usatysfakcjonowana. Johnny Stevenson. Spróbowała z James, ale wypadło mdło. W końcu zdecydowała się na James Allen. Brzmiało cudownie, a przede wszystkim pozwalało oddać w ten sposób hołd kobiecie, która przeżyła całe swoje życie jako mężczyzna.

Kilka godzin później, zagniatając energicznie ciasto na chleb, Lilian zrozumiała, że aby wdrożyć w życie cały swój plan przeistoczenia, konieczna była jeszcze jedna radykalna zmiana - aby zacząć żyć inaczej i gdzie indziej, musi się przeprowadzić. Przeprowadzka do innego regionu Stanów Zjednoczonych nie wchodziła w rachubę - musi opuścić Nową Anglię, dom nad brzegiem morza, przyjaciół, rodzinę i udać się gdzieś, gdzie nikt jej nie zna. Projekt był kompletnie szalony! Nie zastanawiała się długo nad

miejszem, nasunęło się ono samo: Paryż. Spędziła tam lata liceum, kiedy ojciec pracował jako korespondent dla czasopisma kulinarnego. Z nostalgią pomyślała o Francji, kolejny raz żałując, że przyjaźnie zawarte w ciągu tych trzech lat nie przetrwały próby czasu i odległości.

Lato minęło na przygotowaniach organizacyjnych - znalezieniu mieszkania, wynajęciu swojego, załatwieniu bezpłatnego sześciomiesięcznego urlopu w szkołach, gdzie uczyła. W lipcowe i sierpniowe weekendy często zdarzało się, że przyjaciele z Bostonu lub Cambridge przyjeżdżali korzystać z plaży i morza. Podczas kiedy oni wylegiwali się na piasku lub pławili w słonej wodzie, Lilian zaszywała się w samotności swej pracowni. Kiedy wracali pod wieczór, oprószeni solą i piaskiem, z przypieczonymi przez słońce nosami i ramionami, ich głosy i śmiech przynosiły z sobą upał minionego dnia. Kieliszek białego wina, pogaduszki podczas wspólnego przygotowywania kolacji, panierowany halibut z kukurydzą, sałatka z rukoli z parmezanem i octem balsamicznym, waniliowy crumble z wiśniami.

Tego lata Lilian więcej słuchała niż mówiła. Nie wiedziała, jak oznajmić wszystkim, że wkrótce ich opuści. Przyglądała się im, uśmiechała, delektowała spędzonymi z nimi chwilami, mówiąc do siebie w duchu: „Nie zobaczymy się tak prędko... Ciekawe, gdzie ja będę w przyszłym roku?”

Od pamiętnego pikniku Lilian umawiała się kilkakrotnie z Emmą na lunch w Bostonie. Po powrocie często bywała smutna. Ale kiedy zanurzała dłonie w glinie, melancholia zniknęła. Starła się przeanalizować swój stan ducha, ocenić sytuację - i doszła do wniosku, że przyjaciółka za wszelką cenę usiłuje odwieść ją od projektu. Emma chciała mieć ją przy sobie, jej obecność działała na nią uspokajająco, jak codzienność i przyzwyczajenie. Aby uniknąć przygnębienia, które następowało po każdej wspólnej dyskusji, Lilian postanowiła unikać tych spotkań.

Zawiedziona reakcją Emmy wahała się, czy zwierzyć się ze swych zamiarów Justinowi. Wiedział tylko, że miała wyjechać na sześć miesięcy do Paryża. Potrzebowała jego wsparcia, ale obawiała się okrutnej szczerości i obcesowego sposobu, w jaki mógłby powiedzieć jej, że pakuje się w szaloną i beznadziejną sprawę.

Justin był projektantem, pracował na zlecenie. Miał niezaprzeczalny talent, ale żył w nieustannej obawie, że któregoś dnia zostanie bez złamanego kontraktu. Każdego popołudnia poświęcał dużo czasu na szukanie nowych klientów, a do pracy w pełnym tego słowa znaczeniu zabierał się dopiero po północy, kiedy głęboka, chłodna ciemność połykała hałasy dnia. Lilian i Justin często dzwonili do siebie koło drugiej nad ranem. Od kiedy związał się z Tedem, spotykali się rzadko. Nie wiedziała, czy może i czy powinna do niego zadzwonić.

Rozdział 3

W październiku, z okazji Święta Dziękczynienia, Lilian pojechała do New Hampshire. Tym razem nie mogła odmówić - Maggie, żona jej brata Alana, tyle już razy ją zapraszała. A ponieważ Lilian absolutnie nie rozumiała się z bratem, była bardzo stremowana wizytą. Poza tym tak naprawdę obawiała się szwagierki, której siostra i rodzice pozwolili sobie na kilka nieprzyjemnym uwag pod adresem Justina, kiedy ten pojawił się na ślubie Alana i Maggie w towarzystwie Teda.

Wbrew wszelkim obawom tych kilka dni w otoczeniu dzikich lasów Mount Monadnock okazało się miłą niespodzianką. W dodatku pogoda przypominała babie lato z piosenki Joe Dassina - świetlisty błękit i lasy w pełnym słońcu. Maggie okazała się młodą, wesołą, tryskającą życiem kobietę, która miała niesamowity dar rozchmurzania ponurych nastrojów Alana i wrywania go z melancholii. Uśmiechem i żartem przywoływała go do rzeczywistości. Lilian z niedowierzaniem patrzyła, jak brat, który miał zawsze skomplikowany stosunek do jedzenia, z wielkim apetytem zajada nieudane dania serwowane przez Maggie. Zresztą to ona pierwsza kpiła ze swego zapadającego się pośrodku czekoladowego ciasta, z na wpół surowej pizzy, gdzie mozzarella nie chciała się stopić lub po prostu się przypalała, z sosów o wątpliwej konsystencji, w których pływały kawałki rozgotowanej na miazgę ryby, z kieliszków wina z okruszkami korka.

Ich stary, drewniany, zbudowany w 1850 roku dom stał nad samym jeziorem. Kiedy Alan zamykał się w pracowni, aby malować, Maggie zabierała Lilian na wędrowniki po okolicy. Codziennie po południu brały kajak i przemierzały wzdłuż i wszerz czarną tafłę wody.

Przez pierwszy kwadrans koncentrowały się na wiosłowaniu, rozgrzewając do bólu mięśnie ramion. W miarę jak oddalały się od brzegu, otwierała się przed nimi ogromna przestrzeń. Wyciągały wiosła z wody i delektując się krajobrazem pozwalały prądom wodnym nieść się bezszelestnie. Podziwiałały kolory nieba, las pełen czerwonych, pomarańczowych i żółtych klonów, przycumowane łódki zdradzające obecność niewidocznych wśród drzew domów, ciemną tafłę wody z okrągłymi liśćmi nenufarów o sterczących w górę

łodygach. Niekiedy podpływały do wysepki, by w cieniu drzew zbierać jagody, nie wysiadając z kajaka.

Maggie lubiła się śmiać i mówić, ale lubiła również ciszę - i to właśnie je zbliżyło: rozmowa i cisza. W sobotę po południu wilgotna, upalna mgła spowiła krajobraz, nadając jezioru nieziemskiej światłości i chyba to skłoniło Lilian do zwierzenia się Maggie ze swego zamiaru udania się na jakiś czas do Paryża pod przybraną, męską tożsamością.

Był to dowód zaufania. Lub rodzaj testu. Przez kilka długich chwil Maggie nie mówiła nic i pluskała dłonią w jeziorze, a Lilian drżała wewnątrz, zastanawiając się, czy nie lepiej byłoby trzymać język za zębami. Ale przeważyła chęć znalezienia powierniczki, szczególnie od kiedy Emma oddaliła się od niej. Maggie zaczęła od przeprosin za niemiłe słowa wypowiedziane przez jej bliskich na temat Justina i jego towarzysza. Opowiedziała o członkach swojej rodziny, ich opiniach i zasadach i o tym, jaką to czarną owcą stała się ona, nauczycielka muzyki, wiolonczelistka, poślubiając artystę malarza. Mówiła o swoich uczuciach do Alana, o blaskach i cieniach ich wspólnego życia, o jego rozgorączkowanych obrazach, które zdawały się absorbować całą jego energię, pochłaniać całe jego wewnętrzne światło, pozostawiając najczęściej dla żony zachmurzone czoło i zwątpienie.

A potem stwierdziła, że tydzień spędzony w towarzystwie Lilian pozwolił jej lepiej zrozumieć Alana, że jako brat i siostra tak bardzo byli do siebie podobni, nadwrażliwi, jak dwa przyciągające się i odpychające zarazem magnesy. Zdaniem Maggie, zamiar Lilian wynikał z cierpienia i braku satysfakcji. Zastanawiała się głośno, czy powinna ona uciekać się do czegoś podobnego, aby naprawdę zaistnieć. Widziała w decyzji Lilian niezrozumiałą potrzebę identyfikacji z Alanem. Lilian odpowiedziała na tę tyradę oburzeniem. Skoncentrowały się obie na krajobrazie wyłaniającym się z mgły. Maggie pierwsza odzyskała równowagę. Przeprosiła. Lilian przyznała, że rzeczywiście ma kompleks niższości wobec brata, błyskotliwego, wszechstronnie uzdolnionego. Maggie wspomniała o braku pewności siebie męża, do Lilian to nie dotarło. Dotarła za to do niej ciekawa rzecz: wśród refleksji i spostrzeżeń Maggie poradziła Lilian prowadzenie pamiętnika, w którym ta mogłaby opisać swoją męską codzienność.

Nazajutrz po powrocie z New Hampshire Lilian ścięła krótko włosy. Uderzyło ją jej podobieństwo do Alana. Załamało ją to. Słowa Maggie o potrzebie identyfikacji z bratem nie dawały jej spokoju. Czyżby jej chęć przybrania męskiej aparycji wynikała z najzwyczajszego pragnienia dorównania Alanowi? Czyżby ona sama nie posiadała żadnej własnej osobowości? W międzyczasie otrzymała przesyłkę pocztową od Maggie zawierającą paszport Alana. Bratowa sugerowała, aby na czas pobytu na starym kontynencie Lilian przywłaszczyła sobie tożsamość brata. On na pewno nie zauważył zniknięcia paszportu - nienawidził przecież podróży. Według Maggie wystarczy, żeby Lilian ścięła włosy, aby przypominać Alana z paszportowej fotografii.

Przerażona tą propozycją i pogrążona w wątpliwościach Lilian zamknęła się w swoich czterech ścianach, rozmyślając nad słusznością całego przedsięwzięcia i przeprowadzki. Zadzwoiła do obydwu szkół, uprzedzając, że z powodu choroby nie będzie mogła udzielać lekcji przez najbliższy tydzień. Włączyła automatyczną sekretarkę i rzuciła się w wir pracy. Spędzała od dwunastu do piętnastu godzin dziennie w pracowni, znajdując tym samym sposób na odpędzenie czarnych myśli, które nią owładnęły. Rękami oblepionymi gliną nadała pękaty kształtów olbrzymiej wazie, a kiedy glina obeschła na jej dłoniach, nadała mu jeszcze inny kształt, rozmyślając o najodpowiedniejszych dla niego kolorach. Czerwień, błękit, dużo czerwieni i faliste fioletowe linie.

Nawet nie chciało jej się gotować, żywiła się płatkami zbożowymi z mlekiem, a kiedy od zmęczenia zaczynało jej się kręcić w głowie, drętwiały jej ramiona i nogi i ogarniały ją mdłości, ostatkiem sił wlokła się do rozstawionego w kącie pracowni polowego łóżka. Zapadała w głęboki, kilkugodzinny sen bez marzeń. Szybki prysznic rozbudzał ją natychmiast i na nowo wracała do przerwanej w przeddzień pracy nad wazą, przelewając na glinę twórcze myśli, z którymi się przespała.

Właśnie w takim stanie zupełnego oderwania od rzeczywistości znalazł ją Justin, sześć dni po jej powrocie z New Hampshire.

- Lilian! Lilian! Jesteś tam?!

Najwyraźniej zasnęła, siedząc na podłodze przy łóżku. Pokrzykiwania Justina wyrwały ją ze snu, otworzyła oczy zupełnie oszołomiona.

- Justin?

Przykucnął koło niej. Dotknął dłonią jej czoła. Odepchnęła go, już zupełnie rozbudzona.

- Co ty tu robisz? Co się stało?

- Stało się, że się niepokoję! Od kilku dni nie dajesz znaku życia...

Lilian pomasaowała lekko palcami zamknięte powieki, chciała w ten sposób uspokoić zapowiadającą się migrenę, która zawsze towarzyszyła nagłym przebudzeniom.

- Pracowałam, to wszystko - wyszeptała.

- Spójrz na mnie - rzekł równie cicho. Potrząsnęła głową. Usiadł obok niej na podłodze.

- Co się dzieje z twoim bratem?

- Skąd wiesz, że byłam u niego?

- Od Emmy.

Wyczuła lekką wymówkę w głosie Justina. Poczuli się winna.

- Nie wiedziałam, że rozmawialiście.

- Zadzwoń do niej, bo nie odpowiadałaś na moje telefony.

Lilian podrapała się po głowie i spojrzała na Justina. Ogolona czaszka, zielono brązowe oczy, dwa kolczyki w lewym uchu, sprana koszulka ze zwariowanym sloganem reklamowym, marynarka, czarne dżinsy, pomarańczowe tenisówki.

- Sama obciąłaś włosy? Skinęła głową.

- Przydałoby się pójść do fryzjera, żeby trochę wyrównać - uśmiechnął się, ujął ją pod brodę. - Chłopców z taką twarzą zauważa się od razu. Nie opędzisz się od chmary wielbicieli.

- Emma ci opowiedziała? - wykrzyknęła Lilian, czując się zdradzona.

- Nie miej jej za złe. Pewnie myślała, że wiem. Zresztą jest przekonana, że to ja nabiłem ci tym głowę...

Lilian zaczerwieniła się po uszy.

- Przykro mi, że w ten sposób się dowiadujesz. Od tygodni chcę ci o tym powiedzieć, ale... Nie wiedziałam, jak ci to wytłumaczyć. Tę chęć transformacji.

- Myślałaś, że cię wyśmieję? Że będę chciał cię odwieść?

Wzruszyła ramionami, nic nie mówiąc.

- A co na to Alan?

- Nic nie wie. Opowiedziałam o wszystkim Maggie, która myśli, że robię to z potrzeby identyfikacji z nim. Dasz wiarę? - poczuła ogarniającą ją falę gorąca. Niemożliwą do skontrolowania. To, nad czym chciała zapanować, ugniatając glinę, znów się pojawiło. Głos jej zadrżał: - Ale on nie ma z tym nic wspólnego. Tu chodzi o mnie. Maggie nic nie rozumie. Przysłała mi paszport Alana, pisząc, że najprościej będzie, jeśli się pod niego podszyję.

Rozzłoszczona Lilian usiłowała się podnieść.

- Myślałam, że mnie zrozumie, ale skąd!

Zakręciło jej się w głowie.

- Uwaga!

Justin chwycił ją w ramiona w chwili, kiedy osuwała się na ziemię.

- Jak dawno temu miałaś coś w ustach?

- Nie wiem - wybąkała.

Pomógł jej usiąść na łóżku, kazał pochylić się do przodu i głęboko oddychać.

- Chodź! - powiedział, okrywając jej ramiona wełnianą marynarką. Na kanapie poczujesz się lepiej. A ja przygotuję ci herbatę z kawałkiem ciasta, a potem, jak dojdiesz już do siebie, pójdziemy do portu na kolację. Na zupę rybną, co ty na to?

Rozdział 4

Lilian poszła pod prysznic, zgodziła się nie zamykać drzwi, na wypadek gdyby zasłabła. Zresztą i tak Justin pukał co dwie minuty, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Na samą myśl o jego dobroci Lilian zbierało się na płacz, łzy spływały po jej ciele razem z wodą i działały kojąco. Kryzys mijał powoli, pozytywne emocje na nowo wzięły górę i napełniły ją wiarą w sukces planowanego przedsięwzięcia.

Kiedy wyszła z łazienki, zapadł już jesienny, przesycony wilgocią wieczór. Justin rozpalił ogień w kominku, przysunął do niego stary, znaleziony na ulicy fotel z popękanej skóry. A ona z podkurczonymi nogami wtuliła się w kanapę, wspierając się na prawym łokciu. Pociągnęła łyk herbaty i wbiła zęby w jagodowe ciasto, rozkoszując się jak zwykle jego słodyczą.

- Przestraszyłem się, widząc cię o włos od zemdlenia.

- Ale uratowałeś mnie.

Uśmiechnęła się do niego, szczęśliwa że jest przy niej.

Siedząc naprzeciw niej, Justin nie ukrywał zaniepokojenia. Co będzie w Paryżu? Kto jej pomoże?

Z dumą zaanonsowała mu, że została przyjęta do Cite des

Arts (Rezydencja dla artystów z całego świata.). Budynek znajduje się w czwartej dzielnicy, w samym centrum, między Sekwaną a Marais (Ulubiona przez gejów stara paryska dzielnica.). Zarezerwowano jej miejsce na cały semestr, od lutego, komorne wynosi trzysta dolarów miesięcznie. Pieniądze odziedziczone po dziadkach pokryją koszty. Będzie prowadziła oszczędny tryb życia. Położyła na to szczególny nacisk, widząc powątpiewające spojrzenie przyjaciela. Jak najskromniejszy tryb życia. A on roześmiał się w głos. Zgodziła się z nim, że ciężko jej będzie nie spróbować kawowego ciasta mokka, creme brulee i przynajmniej kilku z tysiąca serów. Nie mówiąc już o białych winach z Alzacji...

- A co z twoim domem?

- Zadzwoiłam do siostry Teda. Skierowała mnie do przyjaciółki, która kieruje agencją nieruchomości. Już znaleźli lokatorki. Dwie siostry, które mają sklep z ciuchami i szukały czegoś do wynajęcia. Mam też adres przechowalni mebli.

- A jak zareagowali twoi rodzice?

Ojciec, wyjątkowy smakosz, co dwa dni przysyłał jej mailem adresy znakomitych paryskich restauracji do przetestowania. A matka i ojczym zapowiedzieli, że złożą jej wizytę. Lilian nie chciało się w to wierzyć, bo nie widziała możliwości, aby Antonio mógł opuścić swoją winnicę nawet na kilka dni.

- Masz szczęście, że nie są podróżnikami - skomentował Justin. Daje ci to trochę swobody. A zatem moja Lilian zabawi się w Paryżu... - podniósł filiżankę w kierunku przyjaciółki. - Zazdroszczę ci i cię podziwiam.

- Dlaczego?

- To wymaga odwagi - wyjechać i diametralnie zmienić swoje życie. Nie wiem, czy byłbym do tego zdolny.

- Masz na co dzień Teda i pasjonującą pracę, nie ma więc powodu, dla którego miałbyś to wszystko rzucić. A ja się nudzę. Potrzebuję zmiany.

- Być może. Ale dlaczego chcesz się przebierać? Wbiła wzrok w czarną glinianą żalobę za paznokciami, której nie udało jej usunąć.

- Bo nie mogę się temu oprzeć - odpowiedziała z prostotą.

Jej oczy zaśniły figlarnym blaskiem, który silnie kontrastował z przygnębieniem, w jakim tkwiła od kilku tygodni i z którego wybawił ją Justin.

- Nie mówiłaś mi nigdy o tym.

- Nie... To tajemnica, którą ukrywa się głęboko i nie dzieli się jej nawet z najbliższymi przyjaciółmi. Chowam ją w sobie, od kiedy mam dziesięć lat. Tego lata, jak zwykle w wakacje, Alan i ja pojechaliśmy do dziadków. Do rodziców ojca, na wieś. Bawiliśmy się w chowanego w kukurydzianym polu wokół domu, jeździliśmy na rowerze, kąpaliśmy się w stawie, zbieraliśmy jagody, karmiliśmy kury i króliki. Tego lata Alan znalazł sobie kumpla, Freda, z którym spędzał całe dni. Nie mogłam znieść myśli, że woli bawić się z tym chłopakiem niż ze mną i byłam dla niego okropna. Znalazłam się sama. Bałam się wyruszyć do wsi, więc przeszukałam wzdłuż i wszerz gospodarstwo, a szczególnie strych. Znalazłam kufry wypełnione starymi ubraniami babki, jej brata, biznesmena, który umarł młodo, i dziadka. Odłożyłam na bok pachnące różami suknie babci i zajęłam się garniturami z kamizelką jej brata, krawatami, spinkami do mankietów, muszkami. Przed olbrzymim lustrem przymierzyłam

wszystkie spodnie, koszule, marynarki, kamizelki. Wymyślałam różne historie, mówiłam grubym głosem do swego odbicia i przebierałam się do każdej nowej roli. Któregoś ranka babka nakryła mnie. Włosy miałam ukryte pod kaszkietem, przywdziałam czarną skórzaną kurtkę i spodnie. Podziwiałam się w lustrze, a ona nadeszła bezszelestnie i obserwowała mnie bez słowa. Nie skomentowała, poprosiła tylko, abym pomogła jej schować rzeczy do kufra. Bałam się potem, że opowie wszystko dziadkowi i Alanowi, ale nie zdradziła mnie. A następnego dnia znalazła mi tyle zajęć, że nie miałam czasu na przebieranie się na strychu.

- Nigdy później nie rozmawialiście o tym?

- Nie. Zresztą o czym tu mówić. Kiedy spojrzałam w lustrze na siebie samą, przebraną za Retta Butlera, przeżyłam retrospekcję. Przypomniałam sobie popołudnie spędzone na zabawie w teatr. Wyszło ono ze mnie jak zapomniane lub raczej głęboko schowane wspomnienie z dzieciństwa. Potem wystarczyło, aby pomysł dojrzał i aby dotarło do mnie to, czego naprawdę chcę. No i bym zdecydowała się na pierwszy krok. Chcę przebrać się za chłopaka po to, żeby przekonać się, kim jestem naprawdę. Żeby zrozumieć, kto tak naprawdę mnie pociąga - mężczyźni, czy kobiety? Żeby spojrzeć na świat z innej perspektywy. Czuję, że nadszedł moment, bym rozstrzygnęła ten problem sama z sobą i mam zamiar to zrobić w taki właśnie sposób.

- Ludzie spojrzą na ciebie inaczej.

- Taką mam właśnie nadzieję! Mam ochotę pokazać się z innej strony, obnażyć. Wydaje mi się, że poczuję się lepiej w męskiej postaci, w większej harmonii z samą sobą. Nie myśl jednak, że Lilian, którą znasz, zmieniła się. Pozostanę taka sama, jak teraz.

- Na dwoje babka wróżyła. Przebierając się za mężczyznę musisz przyjąć inną kulturę, inne zachowanie, inne poglądy. Nie będzie to łatwe - Justin skrzywił się. - Nie jestem pewien, że ci się to spodoba.

- Właśnie dlatego mam ochotę to zrobić. Chcę wiedzieć, jak wygląda codzienne życie mężczyzny i jak odbierają go inni.

- Z pewnością nie tak pięknie, jak to sobie wyobrażasz. Wzruszyła ramionami, zdając się na przeznaczenie.

Z pewnością Justin miał rację. Kiedy zapytał, czy to strach przed tym, co powie rodzina i przyjaciele, skłania ją do wyjazdu aż do Paryża, musiała przyznać, że przyjaciel był bliski prawdy.

Niechętnie opowiedziała mu, jak boleśnie dotknęły ją komentarze Emmy i Maggie, powodując zachwianie i tak wrażliwej równowagi psychicznej. Z radością myślała o przybraniu męskiej postaci, ale wiedziała, że jest zbyt mało pewna siebie, aby odparować nieprzyjemne uwagi.

Justin pochwalił jej ostrożność. Cieszył się w duchu, że nie zdradził się przed Lilian z niepokojem, jakim napawał go pomysł przyjaciółki, ani ze smutkiem, który ogarniał go na myśl, że ona wyjedzie tak daleko i na tak długo. Brakowało mu będzie jej śmiechu. Wiedział, że teraz musi zrobić dobrą minę do złej gry i radować się wraz z nią na myśl o tak wielkiej przygodzie.

- Kochanie moje... - rzekł Justin z emfazą - tak bardzo chciałbym zobaczyć cię w męskiej roli.

- Zobaczysz. Co do ubrań, mam w czym wybierać. Pozostaje praca nad twarzą i włosami. Wypróbuję na tobie kolejne etapy transformacji.

- W porządku. A jak już będziesz gotowa, pójdziemy coś zjeść na Harvard Square.

Lilian pokręciła głową z przerażonym wyrazem twarzy.

- Nie ośmielisz się? - spytał Justin.

- Chyba nie - przyznała z rozbijającą szczerością - objęła się ramionami. - Potrzebowała będę kilku lekcji w kwestii męskich zachowań.

- O! To jest coś dla mnie! Po pierwsze, mężczyźni nie obejmują się ramionami, kiedy są zażenowani. Raczej zaczynają coś robić, wstają z krzesła, aby zaserwować sobie drinka lub zmieniają temat dyskusji.

- To znaczy, że naprawdę chcesz mi pomóc? - zapytała Lilian, zaskoczona entuzjastyczną reakcją.

- Myślisz, że mógłbym oprzeć się podobnej pokusie? Przetworzyć moją najserdeczniejszą przyjaciółkę w faceta...

Lilian wyciągnęła dłoń w stronę Justina.

- No więc przybij piątkę. Angażuję cię jako osobistego coacha.

Rozdział 5

Na małej, żwirowej plaży, wśród starych, wysuszonych, bąblastych wodorostów pozostałych tu od lata, leżała Lilian, wspierając się na łokciach, twarzą do morza, ze zgiętymi kolanami. Miała widok na wysepkę, na którą można się było dostać wyłącznie w czasie odpływu. Prowadziła wtedy do niej droga po żółtawych skałkach z zagłębieniami wypełnionymi morską wodą. Za wzgórzem porośniętym drzewami zdany na pastwę nawałnic rozpościerała się usiana licznymi wysepkami zatoka Marblehead. Z lewej strony, na stromej ścieżce prowadzącej do zawieszzonego nad przepaścią domu siedział mężczyzna ze szklanką w dłoni. Tak jak i ona obserwował szare morze, w którym odbijało się zimowe niebo.

Napawała się tym spokojnym widokiem przed wyjazdem. Jutro przemierzy ocean, zainstaluje się w Paryżu, zrzuci z siebie ciuchy Lilian, aby przywdziać ubiór Jamesa Allena.

- Wiedziałam, że cię tu znajdę...

Wstając, Lilian powitała z uśmiechem przyjaciółkę opatuloną w grubą, turkusową kurtkę.

- Emma! Myślałam, że już wyjechaliście.

- Nie pożegnawszy się z tobą? Nie. Harry poszedł po coś do sklepu i zaraz po mnie tu wstąpi.

Usiadły obok siebie, ramię w ramię i każda z nich w ciszy przypomniała sobie lunch, który jadły kilka godzin wcześniej w towarzystwie Alana i Maggie.

- Jest mi naprawdę przykro - sumitowała się Lilian. - Nie myślałam, że Alan posunie się tak daleko.

- Szkoda, że tak wyszło, ale tak naprawdę to nic takiego się nie stało.

Spojrzały na siebie. W czasie lunchu padły brutalne, ostre słowa, zawiłe i niezrozumiałe, pełne wymówek i rywalizacji: prawdziwy koktajl pogmatwanych braterskich uczuć.

W chwili, kiedy kilka mew zaczęło dziobać piasek tuż obok nich, Emma zaczęła przemowę. Czy w związku z tym, co się wydarzyło, Lilian nie powinna zrezygnować ze swoich planów? Może konsultacja u psychologa pomogłaby jej rozwiązać problem osobowości, Emma zna kogoś bardzo wykwalifikowanego, wysłuchałby jej, zrozumiał. Wszystko, co mówi, podyktowane jest wyłącznie jej troską o Lilian.

Pojawienie się w restauracji przyjaciółki przebranej za mężczyznę mocno zaniepokoiło Emmę. W każdym razie było to wejście spektakularne i zauważone przez wszystkich. Rude włosy krótko przystrzyżone, wystające kości policzkowe, niebieska koszula, czarny garnitur, kwiatek w butonierce, Lilian przypominała do złudzenia swego brata bliźniaka. Oburzony tym widokiem Alan wstał z krzesła, gotów wyjść. Maggi i Harry chwycili go za ramiona i z trudem zmusili, aby ponownie usiadł.

Przez cały posiłek twarz brata Lilian pokrywała maska złości. Emma zauważyła kilkakrotnie zbielełe koniuszki palców zaciśnięte na sztućcach czy kieliszku; chwilami myślała, że szkło rozprysnie się na kawałki pod wściekłym uściskiem. Mięśnie policzków Alana drżały nerwowo, kiedy kpił z Lilian, mówiąc, że nawet na paryskim wygnaniu nie znajdzie ona amatorów na swoje wyuzdane wazy. Przy każdym słowie jego brutalność wzmagala się. Powodowała drżenie rąk jego siostry. Alan wyciągał wspomnienia z dzieciństwa, z których wyłaniało się na światło dzienne ukryte pragnienie Lilian, by być chłopcem. Emma podziwiała godność i niezmacony spokój przyjaciółki. Musiała przyznać, że Lilian nie brakowało odwagi. Patrzyła na nią zafascynowana, starając się zrozumieć.

Nawet teraz nie mogła oprzeć się chęci obserwowania jej ukradkiem. Szukała w jej szczupłej twarzy przyjaciółki dziecinnych lat, tej z którą poszeptywała nocami. Dostrzegła, że twarz Lilian to twarz Alana. I vice versa.

A teraz dowiaduje się, że Lilian nie ma najmniejszego zamiaru zmienić zdania.

- Ale ty mnie rozumiesz, prawda?

Emmę zaskoczyła niepewność emanująca z zachrypniętego głosu Lilian, jakby ta zaczęła powoli tracić pewność siebie.

- Nie, nie do końca - przyznała w końcu. - Moim zdaniem jest się tym, kim się jest i trzeba się z tym pogodzić, nie szukając zmiany.

- Nigdy nie chciałaś być facetem?

- Nie. Jest mi dobrze taką, jaka jestem.

- To masz szczęście...

Lilian odwróciła twarz w stronę Emmy. Uśmiechnęły się do siebie, tak jakby chciały sobie powiedzieć - wbrew pewnej obcości, którą obie czuły od kilku miesięcy: nawet jeśli nie pochwalasz mojego postępowania, nie szkodzi, bo znamy się od zbyt dawna, aby

podważyło to naszą przyjaźń. Szczerze tak obydwie myślały. Wiedziały również, że będą potrzebowały czasu, najbliższych sześciu miesięcy, a może dużo więcej, aby na nowo zapanowała między nimi harmonia.

- Twój brat cię nie rozumie - powiedziała Emma.

- Rozmawiałaś z nim?

- Zamieniliśmy kilka słów przed ich odjazdem. Jest przekonany, że robisz to wszystko z zazdrości.

Zaciskając dłonie w kieszeniach kurtki z polaru Lilian roześmiała się boleśnie.

- Jeśli tak właśnie myśli, to mam rację wyjeżdżając. Powinniśmy oddalić się od siebie. Z powodu jego twórczości, mojej, z powodu Maggie.

Rozległ się dzwonek telefonu komórkowego. Emma spojrzała na wyświetlający się numer, zrobiła przepraszającą minę.

- Muszę uciekać. Harry czeka na mnie na parkingu. Wiesz, przykro mi... ale matka Harry'ego przylatuje z Orlando jutro wieczorem i nie mam cię jak odprowadzić.

- Umówiłam się już z Justynem i Tedem, że mnie odwiozą na lotnisko.

Uściskały się na pożegnanie.

Lilian śledziła wzrokiem przyjaciółkę oddalającą się brzegiem plaży, obserwowała przez chwilę wystające spod kurtki jej krągłe pośladki i loki koloru blond wymykające się spod czapki.

Na skalnej ścieżce nie było już nikogo. Na horyzoncie mgła i morze połączyły się w przezroczyście mroźną atmosferę. Dziewczyna zawahała się przez chwilę i znowu usiadła na piasku, chcąc wykorzystać do ostatniej chwili spokój swego ulubionego miejsca i wypełnić oczy morskim krajobrazem, szarością i błękitem, które mieszały się ze sobą, mgłą, która przeistoczyła się w bryzę i zapachniała jodem.

Nazajutrz czekało ją inne, nowe życie.

Kupidyn Lilian uważał, że to on sprowokował decyzję swojej protegowanej o udaniu się na europejską stronę Atlantyku, gdzie jej życie miało obrać inny bieg. Nie dał jej możliwości poznania kogokolwiek na zimowych plażach, którymi spacerowała godzinami. A ponieważ latem zaszywała się w pracowni, szanse na spotkanie Wielkiej Miłości były znikome.

Ambitny Kupidyn wiązał z Lilian zupełnie inne piany. Dlatego też atletycznie zbudowany surfingowiec, który zgodnie z przepowiednią Karty Splotów Wydarzeń powinien stanąć na Linii Miłości dziewczyny w pewną czerwcową sobotę zeszłego roku, najzwyczajniej złapał gumę. Znalazł się biedak przy wyjeździe z autostrady bez zapasowego koła, a w zasięgu jego wzroku nie było żadnego mechanika.

Zadowolenie Kupidyna z determinacji Lilian nie trwało długo. Naszły go czarne chmury myśli, że poświęci ona tyle energii (i czasu) na przygotowanie zmian w swoim życiu, zamiast oddać się sztuce. Jego zdaniem ten zapal szkodził rzeźbom. A jeśli w dodatku się zakocha, co będzie z jej przypominającymi zgrabne pupy wazami?

Ta przerażająca perspektywa skłoniła go do nerwowego odkurzania nimbostratusa, w którym mieszkał czasowo, bowiem aksamity cumulonimbusów były przed nim zamknięte na czas trwania misji. Sąsiad obserwujący uważnie jego poczynania uspokajał go, jak mógł. Wyjaśnił mu, że okres utajenia choroby - inaczej mówiąc Czas Kształtowania Się Miłości - trwa tyle, ile potrzeba Karcie Splotów Wydarzeń na uwzględnienie modyfikacji spowodowanych działaniami i decyzjami ludzi. Przypomniwał mu również, że można jak najbardziej pogodzić sztukę z miłością i poradził, aby zatroszczył się bardziej o swoją protegowaną niż o własną satysfakcję kolekcjonerską. Zauważył, że wazy artystki są jak źródła pożądania, z których z pewnością wytryśnie fontanna, jeśli tej Amerykance o lazurowym spojrzeniu uda się spotkać odpowiednią osobę.

Zachwycony tą perspektywą Kupidyn Lilian odłożył miotełkę z piór i na nowo stał się ujmujący.

Rozdział 6

Francja i lotnisko Charlesa de Gaulle'a (nazywane przez Francuzów Roissy) zgotowały Jamesowi Allenowi ulewne i wietrzne przyjęcie. Sześć godzin wcześniej obserwował przez okienko samolotu oddalające się we mgle piękne girlandy wysepek Bostonu. Podczas nocnego lotu nad oceanem oświetlonym pełnią księżyca ze ściśniętym sercem myślał o przyjaciółach, których opuszcza, i o tym, co go czeka.

Na szczęście Justin szepnął mu do ucha, że przyleci do Paryża w kwietniu lub maju; wiadomość ta ucieszyła Jamesa i dodała mu otuchy. Miło mu było również, kiedy stewardesa i mężczyzna siedzący obok niego zwracali się do niego „proszę pana”.

Siedząc w taksówce, która miała dowieźć go do miasta, James Allen walczył przez prawie całą drogę ze snem. Otwierając szeroko zamykające się ze zmęczenia oczy, obserwował hipnotyczną szarość szosy i błotnistą żółć pól, zwracając jednocześnie uwagę na fakt, że tutaj tablice drogowe są niebieskie, a nie zielone. Wjechali do Paryża w nieustających strugach deszczu, taksówkarz skierował się w stronę Sekwany. Natrafili na korek w okolicach Dworca Lyońskiego.

Nagle w ciszy auta wybuchła kaskada słów! Po dłuższej chwili James Allen zrozumiał, że kierowca nie zwraca się do niego, lecz rozmawia przez telefon komórkowy. Zmęczony niekończącą się podróżą Amerykanin rozsiadł się wygodnie i wytarł szybę. Zaniepokoiło go, że niczego nie rozpoznaje, a ochłonął dopiero, kiedy w dali ujrzał katedrę Notre - Dame.

Kwadrans później taksówka zatrzymała się na ulicy Hotel - de - Ville, u stóp wielkiego prostokątnego budynku, którym nad rzędem wystaw sklepowych widniały olbrzymie okna. James Allen odpoczął chwilę przed jednym ze sklepów. Westchnął kilka razy głęboko, aby uspokoić nagłe drżenie, które go opanowało. Potem, chwyciwszy dwie olbrzymie walizy i teczkę z rysunkami, zdecydowanym krokiem wszedł do budynku bocznymi drzwiami.

Rozpakował się i zawarł znajomość z Gheorghe, grafikiem rumuńskiego pochodzenia, który miesiąc wcześniej wprowadził się do pracowni obok. Młody artysta z czarną, starannie przystrzyżoną brodą i bardzo jasnymi oczami pochodził z Iasi. Był w Paryżu po raz pierwszy, ale po francusku mówił doskonale i bez cienia obcego akcentu. W przeciwieństwie do Jamesa Allena.

Kiedy Gheorghe zapytał go, czy zamierza się przespać, bo wygląda na zmęczonego różnicą czasu, czy woli raczej zwiedzić okolice Cite des Arts, młody Amerykanin bez zastanowienia wybrał to drugie. Poszedł za radą Teda: natychmiast rzucić się w wir nowego życia.

Tak więc 2 lutego, James Allen przechadzał się w deszczu ulicą Saint - Antoine w towarzystwie Gheorghe, podziwiając raz piękniejszą jedną od drugiej wystawę sklepową, za chwilę fronton jakiegoś kościoła, zaskoczony liczbą przechodniów wokół. Zmuszony był odłożyć na inną okazję to, co zamierzał zrobić pierwszego dnia po przybyciu do Paryża: usiąść na tarasie jakiejś kawiarni i delektując się kieliszkiem wina, opisać realizację planów.

Zacinający deszcz dość szybko, bo już przy Bastylji, zmusił ich do zakończenia spaceru i schronienia się do pierwszej lepszej kafejki. Zziębnięty James Allen w ostatniej chwili zamienił kieliszek saint - croix - du - mont, na który miał ochotę (uwielbiał białe delikatne wina) na espresso, które mimo trzech kawałków cukru nadal było gorzkie. Nic jednak nie mogło odebrać mu szczęścia - jest w Paryżu, wsłuchuje się we francuską mowę i czuje swobodnie z nową powierzchownością.

Obserwował zygzakujących między stołami kelnerów i bar, przy którym gromadzili się kobiety i mężczyźni w niczym nie przypominający jego rodaków. Z powodu padającego za zaparowanymi oknami deszczu czuł się jak w akwarium.

Hałas utrudniał rozmowę. James Allen opowiedział Gheorghe o swojej chęci przemierzenia miasta wzdłuż i wszerz, aby na nowo odkryć paryskie bruki, po których zostało mu tylko nikłe wspomnienie sprzed lat. Chciałby móc przetrzeć szmatką pamięć, aby usunąć z niej kurz i ożywić kolory.

Jego towarzysz wyjaśnił mu, że od przyjazdu na początku stycznia nawet nie miał okazji zabawić się w turystę, cały czas poświęcał pracy twórczej. James Allen wiedział, że nie wystarczy mu lepienie waz. Miasto przyciągało go jak ściółka leśna myśliwskiego psa. Miał ochotę wszędzie węszyć.

Cite des Arts zafundowało mu kartę wstępu do paryskich muzeów, postanowił więc zaliczyć co najmniej jedno tygodniowo. Zamierzał również spacerować brzegiem Sekwany, jeździć autobusami, chodzić na koncerty, włączyć się po parkach,

przesiadują w kafejkach. Przygotował sobie imponującą listę miejsc do odwiedzenia.

Tego wieczoru, tuż przed snem, mimo przejmującego chłodu, Lilian stanęła na chwilę w otwartym oknie pracowni, podglądając miasto nocą. Nie jakieś tam sobie miasto. Paryż. Cały dzień walczyła ze zmęczeniem, chęć snu odeszła, ale dziewczyna wiedziała, że zaśnie bez problemu ledwie przyłoży głowę do poduszki. Latarnie roztaczały pomarańczową lunę w nocnym krajobrazie. Deszcz nadal bębnił. A ona wyobrażała sobie przed przyjazdem, że powita ją zimne, ostre powietrze i błękitne, lutowe niebo.

Gheorghe opowiedział jej o deszczowym styczniu, kiedy to poziom wody w Sekwanie znacznie się podniósł, a w północno - wschodnich regionach Francji była powódź. Z wodnych ekscesów Lilian знаła tylko przyływy i nawałnice spowodowane pełnią księżyca, wiatrem i prądami morskimi, w czasie których fale podchodziły pod parapety okien jej domu.

Naprzeciwno, z drugiej strony rzeki, kilka oświetlonych okien przypominało wielkie, żółte znaczki nalepione na ciemne fasady. Były zbyt daleko, by mogła zobaczyć, co dzieje się w środku. Szkoda.

Kiedy przed wyjazdem z Bostonu zastanawiała się nad tym, jak zorganizować swój pobyt, rozważała między innymi wymianę z kimś mieszkającym w Paryżu; nie znalazła jednak nikogo, kto zechciałby zaszyć się w Nowej Anglii na okres od lutego do lipca.

Wpisała swoje dane na portalu wymiany międzynarodowej. Niektóre z mieszkań paryskich przyprowadziły ją o zawrót głowy, wyobrażała sobie siebie mieszkającą u nieznanym jej osób, które z kolei przyjechałyby zainstalować się u niej. Z przyjemnością zapraszała przyjaciół, nawet na czas jej nieobecności, ale trudno było jej pogodzić się z myślą, że zamieszka u niej ktoś obcy. Poza tym żadne z tych mieszkań nie miało pracowni, a ona przecież musiała pracować twórczo. I wtedy znalazła rozwiązanie zastępcze.

Często mówiła sobie, że spróbuje takiej wymiany - dwa tygodnie w Reykjavíku, weekend w Amsterdamie, trzy miesiące na Przylądku Dobrej Nadziei, kilka dni w Kalifornii, w San Diego lub na wyspie w okolicach Vancouveru. Miała różne plany, uwielbiała podróże. Być może kiedyś pojedzie jeszcze dalej, zobaczyć inne życie?

Z trudem zamknęła okno, potarła ramiona na rozgrzewkę. Spojrzała na drzewa za oknem. Równo przyszyżone, wysokie,

czarne drzewa przypominały zużyte strachy na wróble: nie miały nic wspólnego z majestatycznymi, nigdy nie przycinanymi drzewami Nowej Anglii.

Samotny przechodzień zmierzający w stronę stacji metra Pont - Marie ochraniał się parasolem, jak tarczą. Wyglądał niczym wielki czerwony muchomor podskakujący na chodniku.

Do Lilian dochodziły głosy z zewnątrz, hałas kroków z korytarza, trzaskające drzwi. Wspomniała ciszę własnego domu, bębnienie deszczu w szyby, szum wody w rynnach i poczuła nagły, nostalgiczny skurcz żołądka. Zaciągnęła zasłony i rozebrała się. Uwolniła piersi z bandaża, włożyła piżamę i weszła do łazienki. Przyjrzała się sobie krytycznie w lustrze. Magia męskiego imienia, kolor włosów i fryzura (krótko na karku, dość długie kosmyki na czubku głowy, które można przykleić żelem lub odrzucić do tyłu), zapadnięte wskutek straconych kilogramów policzki i ponure ciemne ubrania nadawały jej męski wygląd.

Justin niejednokrotnie powtarzał jej, że wystarczy, gdy nie będzie rozwiewać wątpliwości, aby przejść bez problemu z rodzaju żeńskiego na męski, bo miała intrygującą, nie do końca określoną twarz. Jej zdaniem jednak jej twarz była twarzą kobiety, jej własną twarzą.

A mimo to Gheorghe i inni artyści mieszkający na tym samym piętrze nic nie zauważyli.

Rozdział 7

Przez kilka następnych tygodni James Allen przyzwyczajał się, jak mógł, do swego nowego wyglądu. Wahał się często między potrzebą towarzystwa innych amerykańskich rezydentów Cite des Arts a chęcią odosobnienia. Rozmowa z nimi po angielsku w Paryżu działała na niego kojąco. Nie zmieniało to jednak faktu, że był samotnikiem i grupa go przerażała. Nawet jeśli lubił badać efekt swojej nowej powierzchowności, wysiłek, jaki wkładał, aby sprostać temu wyzwaniu w każdej sytuacji, ciążył mu. Tak więc większość czasu spędzał w pracowni. Mógł być wtedy samym sobą, zrzucić powłokę narcyzmu i na nowo stać się Lilian.

Od kiedy przybył do Paryża, nie opuszczały go marzenia senne: kolorowe lub czarno - białe, coraz częściej po francusku, najwyraźniej potrzeba ojczyznojęzyka stawała się coraz mniejsza.

We śnie widywał morski pejzaż z okolic Marblehead lub dom rodzinny, czasem twarz Justina, a raz nawet ukazał mu się Alan. Potem, w ciągu dnia ogarniała go nieznośna melancholia. Chęć wyjazdu z Paryża, powrotu do domu nie dawała mu spokoju.

Aby oprzeć się tym uczuciom, wyruszał na całodzienne piesze wędrówki, kupował sobie ciastko, wstępował do Brentanosa przy Operze, gdzie przeglądał książki, podsłuchując rozmowy po angielsku, lub spędzał wieczór na darmowym koncercie w jakimś kościele i powoli nostalgia wywołana wspomnieniami znikwała. Powracało pragnienie pozostania we Francji. Wracając więc do Cite des Arts, stukał do Gheorghe i zapraszał go na kanapkę do baru obok.

Któregoś wieczoru zaciągnął przyjaciela do Buddha Baru. Mówił mu o tym modnym miejscu niedaleko placu Concorde pewien młody chłopak z Santa Fe, student paryskiego uniwersytetu amerykańskiego. James Allen i Gheorghe wypili po koktajlu (ten pierwszy, zaintrygowany kombinacją sake i świeżego imbiru zamówił Sake Ginger, kolega zaś wolał Słońce Nocy, napój z rumu i soku owocowego) w cieniu olbrzymiego, medytującego pośrodku kontuaru Buddy.

Mimo głośniejszej muzyki, która byłaby relaksująca, gdyby nie decybele, udało im się wymienić kilka uwag na temat pracy twórczej każdego z nich i trudności, jakie obydwaj mieli z nawiązaniem znajomości z rdzennymi Francuzami.

Którejś soboty James Allen postanowił udać się do Angeliny, przy ulicy Rivoli. Ojciec i kilkoro przyjaciół polecali mu ten lokal twierdząc, że podają tam najlepszą gorącą czekoladę w Paryżu.

Popołudnie zaczął od zwiedzenia biblioteki Forney, gdzie mógł podziwiać nie tylko wspaniałe wnętrza i imponujące dzieła na półkach, ale również przepiękną architekturę. W promieniach słońca fasada Hotel de Saens, gdzie mieściła się biblioteka, pokrywała się złotą patyną. Tego dnia zimowy błękit nieba prześwitywał zza lekkiej mgły. Ponieważ miał czas, James postanowił nadłożyć drogi przez Marais. Szedł cichymi, krętymi uliczkami w stronę metra Saint - Paul. Zagłębiał się w nie z rozkoszą, notował w zeszycie nazwy miejsc, które go oczarowały, tych do których zamierzał powrócić, aby wypić kawę, kupić jakiś bibelot, zrobić zdjęcie podwórka.

Wszedł w wydłużającą się w nieskończoność, pozbawioną drzew wstęgę ulicy Rivoli. Niedaleko BHV (francuskie skróty i symbole przyprawiały go o zawrót głowy, czuł się czasami wśród nich jak Sherlock Holmes odszyfrowujący zagadki lingwistyczne), przetarł sobie drogę wśród masy gapiów. Zwarty i zaaferowany tłum stopniał sto metrów dalej, przy bulwarze Sebastopol, a w okolicach sklepów Samaritaine zgęstniał ponownie.

Zaintrygował go front domu po przeciwnej stronie ulicy. Widniała na nim twarz o olbrzymich oczach i brązowych ustach. Banderole i kolorowe dziwne przedmioty pokrywały ścianę budynku na całej wysokości niczym wysypka. Kontrast, jaki widok ten tworzył z konwencjonalnymi kamienicami wokół, zachwyił go.

W okolicach Luwru było prawie pusto. Pod arkadami poczuł się zawiedziony, mieszczące się pod nimi liczne butikie niewiele mu mówiły. Minął przytłaczające, zdające się zasłaniać światło dzienne budynki Luwru i muzeum Arts Deco i z ulgą powitał wyłaniające się czubki drzew ogrodu Tuileries z rozpościerającym się wspaniałym niebem w tle. Zatrzymał się przy księgarni Galignani, przejrzał kilka tytułów po angielsku. To ulotne spotkanie z rodzimym językiem sprawiło mu niespodziewaną przyjemność.

Kilka osób stało w kolejce przy wejściu do Angeliny, ale nie czekał długo. Kelner zaprowadził go do małego stolika przy oknie, z widokiem na ogród Tuileries i nagie gałęzie drzew odcinające się od nieba. Długi spacer zmęczył go, więc z ulgą opadł na krzesło. Zamówił specjalność zakładu, słynną Chocolat africain, czyli

czekoladę po afrykańsku, a do niej Fragilite pralinee - „kruchą pralinkę”. Już sama nazwa czekoladki miała w sobie niesamowity wdzięk przelotnej przyjemności. Z oczami utkwionymi w niebieskawą watę nieba James Allen delektował się każdym kawałeczkiem, słuchając jednym uchem dwóch kobiet przy stoliku obok opowiadających sobie pobyt na nartach.

Z rozkoszą opróżnił dwie filiżanki aksamitnego płynu, którego wyrazisty smak doskonale odpowiadał kolorowi. Po dodaniu bitej śmietany, którą zaserwowano w czarce, tekstura czekolady przechodziła z gorącej w zimną. Napitek pokrzepił go.

Może sprawiło to gorące, gęste kakao, a może zbliżająca się wiosna? W każdym razie po wypiciu ostatniej kropli afrykańskiej czekolady James Allen po raz pierwszy od przyjazdu do Paryża poczuł się dobrze.

W chmurach Kupidyn Lilian uśmiechnął się. Musiał chyba niechcący skaleczyć się własną strzałą, bowiem zapałał do swojej podopiecznej niespodziewanym uczuciem - Lilian z chwilą, kiedy zamieszkała w Cite des Arts, poszerzyła i swoje, i jego horyzonty. Gheorghe okazał się równie oddanym przyjacielem, jak Justin. Wiele ich łączyło. To właśnie dzięki niemu i niezliczonej ilości przyjacielskich związków i powiązań, jakimi naznaczona była linia życia Gheorghe, Lilian znalazła się w samym centrum uwagi Przeznaczenia.

Wygodnie usadowiony w ciepłe swojej chmurki, wielbiący ponad wszystko sztukę Amorek niezmiernie się z tego ucieszył.

Rozdział 8

W któryś marcowy czwartek Gheorghe zabrał Jamesa Allena na wernisaż jednego ze swych przyjaciół, Ernesto Diaza, argentyńskiego malarza. Zjawili się tam po dziewiętnastej.

Podczas gdy Gheorghe już na wstępie zaczął emablować dwie eleganckie, ubrane na czarno blondyny, James Allen przyglądał się ekspozycji dziesięciu kwadratowych obrazów - coś pomiędzy pustką (tło stanowił pomalowany na kremowo papier ścierny) a abstrakcją (geometryczne formy przypominały ramy w ramach). Przyjaciel przedstawił mu czterdziestoletniego mężczyznę ze szpakowatą, obfitą i lekko roztrzepaną czupryną. Poznali się z Gheorge, kiedy Ernesto wykładał malarstwo w Iasi. Teraz obaj mieszkali w Paryżu. James Allen pogratulował argentyńskiemu artyście ściskając jego bezwładną dłoń, której dotyk kontrastował z potężną sylwetką i ostro zarysowaną, świadczącą o silnym charakterze, brodą.

- Dziękuję - uśmiechnął się Ernesto Diaz. - Mam nadzieję, że inni też będą tego zdania - wyglądał, jakby sam w to wątpił. - Szczególnie krytycy, ale tym nigdy nie należy ufać. Więc... - powiódł spojrzeniem po wszystkich obecnych osobach - Gheorghe mówił mi, że jesteś...

- Ceramikiem - odpowiedział James Allen po chwili. - Lepiej ceramiczne rzeźby.

- No właśnie, ceramikiem - w tonie Ernesto Diaza można było wyczuć coś, co James Allen odebrał jako lekką pogardę.

- Musimy... - wzrok króla wieczoru uciekł gdzieś w bok

- pogadać o tym kiedyś. Ach! - jego spojrzenie spoczęło znowu na krótko na Jamesie. - Przepraszam, muszę was zostawić. Miło mi było. Na razie, Gheorghe - odchodząc, serdecznie poklepał przyjaciela po plecach. Artysta oddalił się, bacznie obserwując pozostałe towarzystwo.

Pozostawieni sami sobie przeciskali się wśród dwu - , trzyosobowych grupek rozmawiających z kieliszkami i papierosami w dłoniach. Hałas, śmiech, nawoływania - wszyscy tu się znali.

James Allen przypomniał sobie, z jaką dumą przyjął propozycję wyeksponowania swojej pierwszej serii siedmiu fioletowych waz - stały na półce wiszącej w pomarańczowej sali pewnej restauracji w Cambridge. Nie był to prawdziwy wernisaż, ale cała rodzina i większość przyjaciół odwiedziła tę restaurację w ciągu lata.

Dwie wazy znalazły nabywców - jedną kupił Justin, a drugą jakaś klientka, dziwaczna postać o rudej, obfitej i potarganej fryzurze, która bardzo niskim i chropowatym głosem zamówiła chińską wędzoną herbatę i uważnie przyglądała się każdej z waz, zanim zdecydowała się na tę z wyrytą cyfrą osiem, symbolem nowego życia. Jej szczęśliwą cyfrą.

Gheorghe zostawił kompana i zaczął podrywać młodą, mocno wymalowaną kobietę w chińskim, kwadratowym kapeluszu na głowie, która przyglądała mu się z zainteresowaniem od dłuższej chwili. James Allen zrozumiał, że jeśli chciałby kiedykolwiek znaleźć bratnią duszę, powinien poprosić sąsiada o kilka lekcji flirtowania. Poza aparycją sposób zachowania się w towarzystwie odgrywa decydującą rolę w sztuce uwodzenia, a on nadal, po półtora miesięcznym pobycie, miał z tym problem. Wolał obserwować innych niż wyjść im naprzeciw.

Lokal nie opróżniał się, mimo że minęła już ósma. Ernesto Diaz miał powód do satysfakcji. Artysta znajdował się w towarzystwie osób wyraźnie rzucających się w oczy. Wśród nich profilem do Jamesa Allena stał trzydziestoletni mężczyzna o opalonej twarzy, dyskretnej elegancji i miłym uśmiechu. Kiedy odwrócił na moment głowę w stronę niezdarnego młodzieńca serwującego wino, James Allen rozpoznał w nim właściciela galerii. Otoczony był trzema podobnymi do siebie kobietami. Z pewnością matka i dwie córki.

Elegancka dama z czarnym koczkiem, w ciemno czerwonym sari w kwiaty, z zarzuconą na ramiona etolą, z pewnością matka, stała obok jednej z córek odzianej w czarne, przeplatane złotą nitką sari. Wysoka, smukła dziewczyna miała długie, czarne, kręcone włosy, obramowane czarnym ołówkiem oczy, wyszminkowane szkarłatne usta, ruchliwe dłonie i perlisty śmiech. Jej siostra, trochę młodsza, stała z prawej strony matki. W komplecie z czarnego džinsu, z pomarańczową apaszką na szyi, włosy przycięte tuż nad uchem. Kiedy poruszała głową, zielone szkiełka jej kolczyków rozsyłały wokół świetlne zajaczkę. Miała ruchliwą, pogodną twarz bez makijażu i dołek w brodzie.

Wybuchwały co chwilę śmiechem i James Allen odczuwał to jak bolesne wykluczenie z grupy, do której chciał przynależeć. Zapragnął poznać matkę i córki. A przede wszystkim dziewczynę w džinsach. Tylko ją widział.

Nagle wszystkie trzy spojrzenia skierowały się w jego stronę. Nie speszyło go to i uklonił się wznosząc pusty kieliszek w ich stronę. Uśmiechnął się do młodszej z sióstr. Odpowiedziała mu uśmiechem, od którego spocily mu się dłonie. Powiedziała coś do otaczającej ją grupy i tym razem to starsza siostra odwróciła się w jego stronę. Jakież było jego zdziwienie, kiedy ujrzał, że zbliża się do niego. A wraz z nią waniliowy zapach.

- Ernesto powiedział nam, że jest pan przyjacielem przyjaciela. Amerykańskim artystą - całe jej ciało zdawało się uśmiechać. - Czy poznał już pan Dalila Haddada, właściciela galerii?

- Nie, jeszcze nie - rzekł James Allen.

- To proszę za mną, nadarza się właśnie okazja - ujęła go pod ramię. - Jestem Carlotta Sharma, a pan?

- James Allen Stevenson.

- Jak ten sławny pisarz? To ta sama rodzina?

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Szkoda. To byłoby takie romantyczne poznać potomka autora książki Doktor Jekyll i Mr. Hyde na paryskim wernisażu - Carlotta zamilkła i James Allen wyraźnie poczuł, jak jej oczy przeświecają mu duszę. - Ale czyż nie jesteśmy wszyscy tacy sami? Czyż nie ma w każdym z nas trochę z doktora Jekylla i trochę z pana Hyde'a? Może z zewnątrz jesteśmy tacy, jakimi widzą nas inni, a wewnątrz tacy, jacy chcielibyśmy być? Jak pan myśli?

Był zakłopotany słowami dziewczyny trzymającej go pod ramię. Powaga zadanego przez nią pytania kontrastowała z jej beztroskim wyglądem, a treść tak bardzo pasowała do osobistej sytuacji Jamesa Allena, że ukrył zażenowanie gestem, niby odganiając się od niej żartobliwie. Jednak przypomniawszy sobie rady Justina, odrzekł po chwili:

- Rzeczywiście nikt nigdy nie jest zadowolony z tego, co ma. Już tacy jesteśmy. Każdy z nas chciałby coś w sobie zmienić, nawet ci, którzy twierdzą inaczej.

- Pan też by to zrobił?

- Co?

- Zmienił coś w sobie, gdyby mógł?

- Z całą pewnością - James Allen spojrział jej prosto w oczy. - Gdybym miał taką możliwość, nie zawahałbym się ani chwili.

- Dlaczego?

- Myślę, że byłoby to bardzo wzbogacające doświadczenie - odwrócił się, aby odstawić kieliszek. - Tak jak powiedziała pani przed chwilą, jest to sposób na poznanie siebie samego od podszewki, ze wszystkimi słabościami i pragnieniami.

- Owszem, przyznaję, że to ciekawa perspektywa - wyszeptała dziwnie wzruszona Carlotta - pospiesznie odstawiła swój kieliszek. - Musimy wrócić kiedyś do tego pasjonującego tematu. A tymczasem proszę za mną, przedstawię pana.

Podeszli do grupy. James Allen ścisnął dłonie nieznanym mu jeszcze osób: Dalil Haddad, Mirna, siostra Carlotty przenikliwym spojrzeniu i Pimmi Sharma, ich matka. Ernesto zachęcił go, by przedstawił swoje dzieła Dalilowi, który nieustannie szukał przecież nowych talentów i chyba nie miał jeszcze Amerykanina wśród wystawianych twórców. James Allen, w obawie, aby się nie potłukły, przywiózł wprawdzie ze sobą do Paryża tylko jedną z waz, ale zabrał liczne fotografie. Obiecał Dalilowi, że wpadnie do galerii, aby mu je pokazać.

W czasie rozmowy zrozumiał, że tak jak przypuszczał, Carlotta również była artystką. Ta zmysłowa i żywiołowa kobieta tańczyła i śpiewała w kabarecie, sporo czasu poświęcając też fotografii. Jej siostra Mirna z matką Pimmi założyły wspólnie rok wcześniej indyjską restaurację, a raczej bar, gdzie można coś przekąsić w południe. Popadom & Co znajdował się niedaleko placu Denfert - Rochereau.

- To bardzo ładna okolica - rzekł James Allen. - Jeszcze nie udało mi się odwiedzić starych kątów, ale zamierzam wkrótce to zrobić.

- Zna pan tę dzielnicę? - zapytała Pimmi Sharma. - Mieszkam tam od pięciu lat i bardzo dobrze się tam czuję.

- Kiedy byłem w liceum, miałem kolegę, który mieszkał na ulicy Daguerre.

- A ja myślałam, że dopiero co przyjechał pan do Paryża! - wykrzyknęła Carlotta.

- Owszem - potwierdził James Allen. - Ale mieszkałem tu z bratem i rodzicami między piętnastym a osiemnastym rokiem życia. Od tamtej pory nie było mnie tu.

- Ernesto - przerwał im Dalil - mam do ciebie pytanie w sprawie tryptyku. Pozwól, proszę, na chwilę do biura.

Dalszym tematem dyskusji była geografia. James Allen wspominał Boston i Nową Anglię, Mirna opowiadała o swojej rodzinie, gdzie bakcyl podróży przekazywany był w genach i każde pokolenie wychowywało się w innym kraju. Jej hinduscy dziadkowie wyemigrowali do Anglii, kuzynostwo rozsiane było po czterech stronach świata - Danii, Kalifornii, Japonii i Hawajach; rodzice od piętnastu lat mieszkali we Francji.

Nielatwo było przyzwyczać się im do paryskiego życia. Paryż wydał się pani Sharma ponury w odróżnieniu od Londynu - tam było więcej drzew, kolorów, każdy dom miał chociażby miniaturowy ogródek. I było więcej przestrzeni. Dużo przestrzeni. Kiedy przyjechali do Francji, dość długo mieszkali w bloku na przedmieściach Paryża, z widokiem na obwodnicę, z czym pani Sharma nigdy nie mogła się oswoić. Życie posuwało się do przodu. Mąż odszedł, dzieci rosły. Zmieniały się, zaskakiwały rodziców, zmuszały do zastanowienia nad samą sobą. Chwyła nagle dłonie swoich córek i powiedziała, że bycie matką jest darem niebios. I jak bardzo jest z tego powodu szczęśliwa. Dzieci były racją jej bytu i nadzieją. Cała ta miłość malowała się na jej twarzy i w jej spojrzeniu.

- Co się tu dzieje? - spytał Dalil dołączając do grona. - Pimmi, - jego głos przybrał żartobliwy ton - jest już za późno, aby pójść z dziećmi do parku. O tej porze już zamknięte.

Udając oburzenie, Pimmi dała mu ręką znak, żeby się uciszył, a Carlotta i Mirna umierały ze śmiechu. Mirna przysunęła się do właściciela galerii i bez żenady wsunęła mu dłoń pod ramię.

- Opowiadałam właśnie temu młodzieńcowi, jak wielkim szczęściem są dla mnie takie dzieci. Ciebie zresztą też uważam za drugiego syna - Pimmi pocałowała Dalila czule w policzek. - Jestem taka dumna z ciebie i z tego, czego udało ci się dokonać.

Zwróciła się do Jamesa Allena i dodała: - Dalil jest niezwykły. Ma wyjątkowe wyczucie sztuki i piękna.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości - rzekł James Allen, uważnie obserwując reakcje Mirny i Carlotty na macierzyńską wylewność; on osobiście nie mógłby czegoś takiego znieść.

Zauważył dużo czułości w uśmiechach, jakimi córki obdarzały matkę, a i Dalil patrzył na nią z tkliwością. Najwyraźniej te cztery osoby znały się i rozumiały doskonale, nie robiąc sobie nic z konfliktu pokoleń. Zastanowiło go, gdzie może się obecnie znajdować syn pani

Sharma, bo jeśli Dalil miał być drugim synem, to co z tym pierwszym? Dlaczego nie przyszedł na wernisaż?

James Allen pomyślał o swojej własnej rodzinie, o rozluźniających się więzach z rodzicami i bratem. Spontaniczne wyrażanie uczuć, prywatnie lub publicznie, nie było w zwyczaju Stevensonów. Podobnie zresztą jak okazywanie radości życia. A zatem aby nie popaść w czarny nastrój, James Allen otoczył się wesołymi przyjaciółmi i nie zadawał sobie zbyt wiele pytań.

- Zamykamy galerię - oznajmił przepaszającym tonem Dalil, na twarz którego wypełzło zmęczenie.

- Ojej! - wykrzyknęła Mirna spoglądając na zegarek. - Spóźnię się na spotkanie.

- Znamy ją? - zapytała Carlotta otaczając ramieniem Dalila.

Z nieprzystępną miną Mirna pokręciła głową, wystukując jednocześnie esemes.

- Moja siostra nie ma szczęścia do przyjaciółek - rzekła Carlotta do Jamesa Allena. - Ale nie chce słuchać dobrych rad moich i Dalila.

Mirnie najwyraźniej nie przypadły do gustu tego rodzaju żarty, odwróciła się do siostry plecami. Kątem oka James Allen ujrzał karcący wzrok pani Sharma skierowany w stronę starszej córki.

- Bardzo mi było miło pana poznać - rzekła Mirna wyciągając dłoń do Jamesa Allena. Kciukiem pogładziła mu delikatnie wewnętrzną stronę nadgarstka. Spojrzał na nią. Puściła do niego oko. Nie przywidziało mu się.

Ucałowała matkę w oba policzki, siostrę podobnie, szepcząc jej kilka słów do ucha; na zakończenie pożegnała się z Dalilem. To, co on zdążył jej przy okazji wyszeptać, lekko ją zirytowało, więc dała mu kuksańca pod zebro. Roześmiał się.

Zobojętniała nagle na otaczające ją towarzystwo Mirna chwyciła leżący pod stołem obok kask i wcisnęła go na głowę, po czym pomachała wszystkim ręką i wyszła.

Dalil zaprosił Jamesa Allena na kolację do brazylijskiej knajpki obok. Pozwoli im to bliżej się poznać.

Amerykanin odmówił z uśmiechem, pod pretekstem niedokończonej wazy czekającej na niego w pracowni. Uścisnął dłoń Dalila obiecując, że wkrótce odwiedzi go ponownie.

Kierowany impulsem - być może dlatego, że kiedy jeszcze był Lilian, marzył o tym, aby mężczyźni tak właśnie zachowywali się

wobec niego - James Allen pocałował Pimmi i Carlottę w rękę. Pani Sharma była tym zachwycona. Carlotta z żalem wykrzyknęła: „Oh, jaka szkoda!” usłyszawszy, że nie będzie im towarzyszył przy kolacji, długo muskała pomalowanymi paznokciami jego dłoń, gruchając przy tym, że muszą się spotkać bardzo szybko. Według niej mieli sobie dużo do powiedzenia.

Opuszczając galerię, James Allen szukał wzrokiem Gheorghe. A kiedy go nie znalazł, odetchnął z ulgą. Chciał spokojnie przemyśleć wydarzenia tego wieczoru.

A przede wszystkim pomarzyć o kobiecie swego życia, którą, a był o tym święcie przekonany, spotkał w osobie Mirny Sharma. I zastanowić się nad sposobem, w jaki ją zdobyć, skoro najwyraźniej wolała dziewczyny.

Siedząc wysoko na swojej chmurce, kupidyn Lilian spodziewał się aplauzu. Poczul się głupio widząc, że Amorki z sąsiednich chmur zajęte są swoimi sprawami. Zupełnie jakby los jego podopiecznej już ich nie interesował. Na szczęście zapadający piękny wieczór ukoił jego rozterki. Z rozkoszą podziwiał różowe i fioletowe smugi obramowujące delikatnie kłęby cumulusów.

Rozdział 9

Po wernisazu Mirna kilkakrotnie miała niespodziewaną ochotę na spotkanie z tajemniczym Jamesem Allenem. Słowo dziwne było najodpowiedniejszym przymiotnikiem określającym uczucie, jakim obdarzyła tego młodzieńca.

Z wielu względów wolałaby nazwać swój zaskakujący i podejrzany stan angielskim słowem queer, odpowiedniejszym na określenie tego, co czuła. Po raz pierwszy w życiu pociągał ją mężczyzna i fakt ten nie tylko intrygował ją, ale i przerażał. Przekonana od zawsze, że Bóg jest kobietą, podziwiająca najbardziej radykalną i najwspanialszą ze znanych jej lesbijek Monique Wittig, nawet nie dopuszczała do siebie myśli, że może być bi.

Mirna, która zazwyczaj spowiadała się ze wszystkiego przyjaciółkom, tym razem nic im nie powiedziała o spotkaniu z amerykańskim artystą o błękitnym spojrzeniu i ostrożnym sposobie chodzenia. Nie przyznała się, że ma straszną ochotę się z nim spotkać i że bardzo jest zawiedziona jego milczeniem. Przecież tak uporczywie się jej przyglądał w czasie rozmowy, dając tym samym do zrozumienia, że mu się podoba. Po kilku dniach musiała przyznać się sama przed sobą: pomyliła się. Utwierdziło ją to w przekonaniu, że dobrze zrobiła, nie zwierając się nikomu. Mirna często nawiązywała krótkotrwałe kontakty, romanse na jedną noc, bez szansy na jakiegokolwiek jutro, dlatego nieraz wątpiła w swą uwodzicielską moc.

Wygodnie usadowiony na altocumulusie Kupidyn Mirny nie przejmował się tym zbyt. Obserwował zazwyczaj ze stoickim spokojem wloty i upadki miłosne swoich podopiecznych i to, co działo się właśnie z dziewczyną, uważał za absolutnie normalne.

Kupidyn ten cieszył się wielkim uznaniem kolegów po fachu: jego strzały wymierzone w serca ludzi, nad którymi miał pieczę, dawały bardzo dobre efekty. Ten grubawy, lubiący muzykę Kupidyn doszedł w ciągu ostatniego tysiąclecia do perfekcji w rozbudzaniu Miłości. Grat jak wirtuoz na ludzkich uczuciach: od andantino do vivace, poprzez wszystkie niuanse dolce i forte, a nawet fortissimo, które powoli przechodziło w smorzando.

Sprawę Mirny potraktował między dwoma allegro i mezzo voce. A teraz spokojnie czekał na rezultat tego niespodziewanie owocnego spotkania.

Mirna postanowiła nie zastanawiać się nad tym, co mogłoby się zdarzyć z Jamesem Allenem, i skoncentrować się na najważniejszej w chwili obecnej sprawie: planie rozbudowy Popadom & Co.

Restauracja zyskała ogromną popularność wśród pracujących w dzielnicy osób jako miejsce, gdzie można zjeść pyszny i niedrogi lunch. Menu za pięć, sześć czy siedem euro odpowiadało każdej kieszeni. Ściany udekorowane filmowymi afiszami przedstawiającymi Shah Ruck Kahna, Aishwarya Rai i inne gwiazdy indyjskiego kina oraz cztery stoliki czekały na gości. Matka gotowała, wspomagana często przez jakąś koleżankę, Mirna podawała do stołu i zajmowała się księgowością. Ale kiedy uporały się z pierwszymi kłopotami i interes zaczął się jakoś kręcić, dziewczyna zaczęła mieć wrażenie, że popada w rutynę. Nienawidziła takich sytuacji.

Któregoś wtorkowego wieczoru, gdy medytowała zanurzona w kąpieli pachnącej kwiatem pomarańczy, wpadł jej do głowy pomysł na rozwinięcie Popadom & Co. Koncept nie miał w sobie nic rewolucyjnego, ale wydał jej się ciekawy i myślała o nim przez prawie całą noc. A ponieważ nazajutrz miała dzień wolny, udała się do Dalila, aby przedstawić mu swój plan i przekonać go do projektu.

Z czasów, kiedy pracowała jako księgowa w przedsiębiorstwie ubezpieczeniowym, pozostało jej wspomnienie tygodnia pracy podobnego do wspinaczki: środa była wierzchołkiem, na który wchodziło się przez cały poniedziałkowy i wtorkowy dzień, z ciężkim plecakiem na plecach, z oczami utkwionymi bezmyślnie w kamienie pod stopami; w środę osiągało się szczyt, a w czwartek i piątek schodziło do doliny. Nie wytrzymała tam długo. Zaledwie rok.

Pod koniec tego roku pracy, w parku, do którego chodziła na przerwę obiadową, spotkała Liselotte - Szwedka przyjechała uczyć się francuskiego na Sorbonie - i wtedy jej życie się odmieniło.

Mirna zaparkowała skuter między dwoma rowerami, przymocowała kłódkę do przedniego koła, ściągnęła kask i założyła irlandzką czapkę przywiezioną przez brata z tego wietrznego i mglistego kraju. Popatrzyła przez chwilę na wystawę galerii Dalila i pomyślała sobie, że dużo lepiej zrobiłby, gdyby posłuchał jej rad i pomalował wejście raczej na czarno niż na ten nieskazitelnie biały kolor, który aż się prosił o graffiti.

Przeszła przez jezdnię i popchnęła drzwi. Kremowe ściany wewnątrz, lakierowany parkiet i ostre światło reflektorów

zawieszonych pod sufitem nadawały pomieszczeniu artystycznego ascetyzmu.

Dzwonek przywołał Dalila z pomieszczenia biurowego mieszczącego się w głębi. Pocałowali się w policzki i Mirna na wstępie obwieściła mu entuzjastycznie, że znalazła sposób na rozbudowę Popadom & Co. Uśmiechnął się.

- Ach, te twoje pomysły - skomentował ironicznie, lecz ciepłym tonem.

Lubił z niej kpić. Ich wspólna przyjaciółka Solange twierdziła, że to kwestia wychowania: Dalil nigdy nie brał dziewczyn na poważnie. Mirna zapytała go w odwecie, kiedy przedstawi jej swoją śliczną kuzynkę Leilę, grającą na tubie w orkiestrze Beaux - Arts (Paryska Akademia Sztuk Pięknych).

Dalil zrobił przerażoną minę i zaproponował szybko kawę. To było w jego zwyczaju: kiedy tylko rozmowa schodziła na jakiś śliski temat, rzucał coś z innej beczki, aby uniknąć odpowiedzi na niezręczne pytanie. Podał jej kubeczek, a ona zagłębiła się z lubością w białym, skórzanym fotelu naprzeciwko jego biurka.

Dalil był najlepszym kumplem jej brata. Ona sama zaś nigdy nie mogła znaleźć z nim wspólnego języka, głównie z powodu jego narcyzmu i mizoginii, z którymi jako zażarta feministka nie mogła się pogodzić. Mimo wszystko jednak narodziła się między nimi swego rodzaju przyjaźń i od jakiegoś czasu, szczególnie kiedy byli sami, udawało im się spokojnie rozmawiać. Tylko oni wiedzieli o tym serdecznym porozumieniu.

Mirna podmuchała na kawę i zapytała o wystawę. Udało się, przyszło na nią sporo osób. Dalil nie żałował decyzji wystawienia malarstwa Ernesto Diaza. Mirna wolała osobiście kolaże tego artysty, ale ich opinie różniły się tu jak zwykle; Dalil uważał, że płótna Diaza zawierają więcej dojrzałości i wrażliwości.

- Nie chciałbyś iść ze mną na obiad? - zapytała Mirna dopijając kawę.

Wskazującym palcem starannie wybrała z dna kubeczka niezupełnie rozpuszczony cukier.

- Przykro mi, ale jestem tu sam aż do trzeciej. O czym chciałaś ze mną porozmawiać?

- Kiedy planujesz następną wystawę?

- Za dwa miesiące. Chciałem wystawić pudełka Wenera Larssena.

- Brata Liselotte?

Mirna nie ukrywała zdziwienia. Sekret był zachowany do końca, nawet Hanif nie zdradził się przed nią.

- Tak. To sympatyczny facet. Trochę szalony, ale ciekawi mnie to, co robi. Myślę, że się spodoba. Wernisaż odbędzie się w drugiej połowie maja.

- Nie chce mi się wierzyć, że pozostaliście w kontakcie.

Poczuła się trochę oszukana. Dalil zwierzył się z pewnością ze swych zamiarów Hanifowi. A ten nie pisnął nawet słowa. Brat był tchórzem w kwestii uczuć.

- Mailowym. Kiedy pojechałem do Sztokholmu, aby spotkać się z nim i wybrać dzieła na wystawę, spotkałem przy okazji Liselotte - w oczach Dalila pojawił się niepokój; zorientował się, że teren zaczyna być niepewny.

Mirna kiwnęła głową, dziękując mu tym samym za okazany takt. Na całe szczęście wspomniał o jej dawnej przyjaciółce, wielkiej miłości jej życia, w momencie kiedy byli sami, więc łatwiej jej było opanować ból. Potrzebowała czasu na odsunięcie wspomnień, ukojenie smutku i cierpienia i zachowanie w pamięci wyłącznie pięknych chwil spędzonych w tym związku. Liselotte. Mirna przypomniawszy sobie pewien słotny, wiosenny dzień, jej szalony śmiech, kiedy wiatr porywał parasol, flip flop tenisówek w kałużach, jej chłodne usta na swojej szyi, zapach kokosowego szamponu w jej długich, prostych włosach blond, których końcówki łaskotały Mirnę, gdy się całowały.

- Co u niej słyszałeś?

Nie myślała, że uda jej się powiedzieć to tak obojętnie. Rozstanie z Liselotte było najboleśniejszym doświadczeniem jej życia.

- Robi kolaże.

- Wystawisz je?

- Nie od razu - rzekł. - To, co widziałem, jest obiecujące, ale... musi jeszcze popracować. Pytała, co u ciebie, i powiedziałem jej o Popadom & Co. Zachwyciła się.

- A zatem zmieniła zdanie, bo kiedy byliśmy razem, mówiła coś zupełnie innego. Masz jeszcze trochę kawy?

Dalil napełnił kubek, który mu podstawiła.

- Powiedz mi, co zamierzasz...

- Chciałabym zasugerować ci zmiany w organizacji wernisaży i powierzenie mi oprawy gastronomicznej kolejnego. Sam przyznasz, że orzeszki ziemne na plastikowych talerzykach, niezbyt świeże bakalie i do tego czerwone wino, to nudne i bez polotu.

- Owszem, to może i dobry pomysł, ale nie stać mnie na taki catering. Wiesz, że uwielbiam kuchnię twojej matki...

- Tej galerii brakuje rozmachu - z ożywieniem mówiła Mirna, gestem zmuszając go do ciszy. - Temu miejscu trzeba nadać osobowość, zrobić z niego miejsce spotkań kulturalnych i dlatego nie - kulinarnych. Niekoniecznie indyjskich zresztą. Ozdobić wernisaż czymś, co przyda wartości i galerii, i eksponowanemu artyście.

- Moim zdaniem galeria jest jak puzderko na biżuterię. W końcu to klejnot jest ważny, a nie opakowanie.

- No a ramy obrazu? Kiedyś były bardzo dekoracyjne, a przecież i tak historia sztuki mówi o płótnach. Dzisiaj ramy są minimalistyczne. Ale wszystko może się zmienić... I galeria zyskałaby na tym, jestem pewna.

Dalil nie wyglądał na przekonanego.

- Sam nie wiem...

- Nie chciałbyś spróbować? Zrobię kalkulację i podzielimy się kosztami. Jeśli zadziała, poszukamy sponsorów na następne okazje. Tyle mówi się teraz o synergii...

- No dobra, nie mówię nie. Ale tak też nie mówię. Zastanowię się na twoją propozycją.

Patrzyła, jak zbiera kubki, wyciera starannie szmatką kontuar, na którym leżały stosy katalogów. Miał na sobie bordową koszulę, ciemną marynarkę i takie same spodnie. Elegancik. Był jedynym spadkobiercą bogatego wuja, który dorobił się na handlu zagranicznym. Po jego śmierci włożył prawie cały odziedziczony majątek w galerię, realizując w ten sposób marzenie młodości.

Przed odejściem wymogła na nim obietnicę szybkiej odpowiedzi, chciała mieć czas na obmyślenie menu.

Rozdział 10

Po wernisazu Ernesto Diaza Lilian poświęciła się pracy twórczej; wyskakiwała tylko od czasu do czasu, aby kupić coś do jedzenia, rozprostować nogi, przewietrzyć się lub pogadać chwilkę z innymi artystami. Rozmyślała. O Mirnie, jej siostrze, matce, o Dalilu, o tym, co powiedział, zasugerował, zaproponował w kwestii wystawienia jej waz. Dumając, lepiła z gliny kulę, z kuli wałki, układała je jeden na drugim, wygładzała. Bryły gliny nabierały pod jej palcami form kobiecych, inspirowała się tym, co mogła odgadnąć na temat ciała Mirny na wernisazu, i w ten sposób powoli powstała jedna, druga, a w końcu i trzecia waza.

Mirna wymknęła się wtedy na randkę. Oby tamta nie czekała na nią albo żeby się sobie nie spodobały. No i inne wątpliwości. Na przykład - jak do niej podejść? Lilian często koło czwartej po południu robiła sobie przerwę i niezmiennie przygotowywała taką samą przekąskę: kanapki z bleu d'Auvergne, obrane i pokrojone w kawałki jabłko, kilka orzechów, herbata z miodem i cytryną.

Potem wracała do waz, pozostawiając dłoniom nadanie kształtu pomysłom. Kiedy nadchodził wieczór, osuwała się ze zmęczenia na podłogę. Jej wewnętrzny zegar nawoływał ją do porządku. Odpoczynek był konieczny, aby nie padła z wyczerpania.

Odkładała zatem delikatnie wazę na stół, starannie myła i układała narzędzia. Z rozkoszą brała gorący prysznic, zakładała piżamę, wślizgiwała się do chłodnego łóżka. Kładła się na prawym boku, z widokiem na okno, z ramieniem pod głową, zasypiała przyłożywszy ledwie głowę do poduszki.

Tego środowego poranka, dokładnie sześć dni po wernisazu, Lilian obudziła się w niespodziewanie dobrym nastroju. Cieszyła się, że udało jej się wreszcie ukończyć pierwszą wazę „okresu paryskiego” jak zabawnie pisała do przyjaciół z Nowej Anglii.

Po kilkakrotnych, nieudanych próbach, po ostatnim wypaleniu w piecu osiągnęła w końcu błyszczącą warstwę, z której była bardzo zadowolona: barwa miedzi z połyskiem w kolorze oksydowanego kobaltu. Inspiracją dla wazy była Mirna. Spełniwszy w ten sposób twórcze pragnienie, Lilian miała ochotę tylko na jedno: ujrzeć na nowo obiekt swoich marzeń.

Nonszalancka postawa Kupidyna Lilian zaczęła irytować niejednego w przestworzach. Jak na miłość od pierwszego wejrzenia

sześć dni inkubacji to trochę za długo. Na szczęście Kupidyn Lilian nie musiał się z niczego tłumaczyć. Jego protegowana wynurzyła się wreszcie z długiego okresu twórczego, zrozumiała, że jest zakochana i postanowiła działać w odpowiednim kierunku.

Po krótkiej wizycie w łazience Lilian stała się Jamesem Allenem. Jamesem Allenem o bolesnych w związku ze zbliżającą się miesiączką piersiach, ukrytych pod ciasno zawiązanym bandażem. Szklanka pomarańczowego soku, płatki śniadaniowe pochłonięte migiem w szeroko otwartym oknie. Nie przejmowała się gęsią skórką. Myślała tylko o spotkaniu z Mirną.

Obmyśliła najlepszą trasę do Denfert - Rochereau, część pieszo, część autobusem. Z Cite des Arts przeszła mostem Pont Marie na drugą stronę Sekwany, usiadła na chwilę na ławce na słonecznym placu przed katedrą Notre Dame, potem ulicą Petit - Pont, wzdłuż brzegu do placu SaintMichel. Tu poczekała chwilę na autobus, ale zdecydowała się w końcu ruszyć pieszo aż do Ogrodu Luksemburskiego.

Zagłębiła się w niego od strony skrzyżowania bulwaru Saint - Michel z ulicą Gay - Lussac i przypomniała sobie czas dorostania. Nie była tu jeszcze od dnia swego powrotu do Paryża. Białe schody zaprowadziły ją do fontanny pośrodku trawnika, wokół którego uprawiała kiedyś poranny jogging przed lekcjami w liceum. Nic się tu nie zmieniło - te same zielone krzesła, te same dziecinne żaglówki pływające w okrągłym basenie przy fontannie. Zatrzymała się przy niej przez chwilę, popatrzyła na pływające się w wodzie kaczki i rybitwy.

Z drugiej strony ogrodu, równolegle do ulicy Guynemer, ciągnęła się ulica Madame, gdzie jej rodzice wynajmowali kiedyś mieszkanie. Ciekawe, czy jest tam jeszcze karuzela, i huśtawki, i pani sprzedająca cukrową watę? Zapragnęła nagle odwiedzić to miejsce i pokrzepić się wspomnieniami.

Wspięła się po białych schodach, weszła w jedną z wąskich alejek prowadzących do teatrzyku Guignola i placu zabaw. Karuzela, identyczna jak ta z jej wspomnień, nadal stała pośrodku, drewniane kolorowe konie brykały zawieszane w powietrzu. Trochę dalej w stronę oranżerii, wokół kortów tenisowych i odzianych na biało graczy, kwitły wiosną na fioletowo drzewa, a młodzież grała w koszykówkę na wyasfaltowanym terenie z jednym koszem.

Wyszła od strony ulicy Fleurus, znalazła się na ulicy Madame, zatrzymała się naprzeciwko kamienicy, gdzie mieszkała przez trzy lata, i odnalazła okno swego pokoju. Białe zasłony zastąpiły te w zielono - niebieskie pasy.

Kilka minut później usiadła na tarasie kawiarni na rogu ulicy Vavin i d'Assas. Zamówiła kawę z kroplą mleka, przypomniała sobie popołudnia spędzone tu z bratem i przyjaciółmi, papierosy, lemoniadę z miętą lub z piwem, plecaki z wysypującymi się piórnikiemami, lekcje z fizyki lub z matmy przepisane byle jak w czasie przerwy, kartki wypadające z notatników i książki z pozaginanymi rogami. Mieli tu dużo więcej wolności i samodzielności niż w Stanach. Z pewnością jest to kwestia miejsca, dużego miasta. Niekończące się dyskusje, klasowe zdjęcia, Maksim, pasjonat piłki ręcznej, jej pierwsza miłość.

Naprzeciwko wznosiło się dumnie jej świeżo odnowione liceum Montaigne przypominające okręt płynący ku nowej przyszłości. Dopiła kawę. Na ulicy zawahała się chwilę, po czym wróciła do ogrodu i ruszyła wzdłuż ulicy Auguste - Comte od strony szpaleru grusz Shiva o poziomo rozpostartych gałęziach.

Mogłaby maszerować tak bez końca, ale u wylotu bulwaru Saint Michel zdecydowała się jednak wsiąść do autobusu numer 38.

Rozdział 11

Dokładnie w tej samej chwili kiedy Mirna wyszła z galerii Dalila, by udać się na basen w Halach (Les Halles: jedna z dwudziestu dzielnic Paryża), James Allen zbliżał się do placu Denfert - Rochereau. Jedyną rzecz, na jaką miał ochotę, to spotkanie z Mirną. Niesamowity błękit nieba, świeży powiew wiosny, satynowa zieleń wykluwających się pączków drzew wprawiły go w pogodny nastrój.

Za pomocą uprzejmego: „Przepraszam, że przeszkadzam, ale...”, które przewodnik po Francji polecał jako jedyne magiczne zaklęcie, dzięki któremu można liczyć na pomoc każdego, nawet mocno spieszącego się przechodnia, James Allen dotarł wreszcie do Popadom & Co, nieopodal ulicy Gassendi. Wejście pomalowane było na fioletowo - zielono, kołysał się nad nim sztyl w kształcie słonia, a na chodniku stały dwa małe, okrągłe, zajęte już stoliki.

Z miejsca, w którym się znajdował trudno mu było dostrzec cokolwiek z tego, co działo się wewnątrz. Pojawiły się zarysy dwóch postaci: z pewnością Mirna i jej matka. Serce waliło mu jak młotem, kiedy przechodził przez ulicę. Poprawił marynarkę, przyczesał włosy i zdecydowanym krokiem wszedł do środka.

Powitały go korzenne zapachy. Cztery osoby stały w kolejce, dwie siedziały przy stoliku w głębi sali. Ani śladu Mirny i Carlotty. Między kasą i stolikami uwijała się Pimmi. Kiedy nadeszła jego kolej, stało już za nim sporo osób. Wybrał menu za sześć euro, na miejscu, na wejście raita, palak paneer jako danie i nan z serem.

Pimmi Sharmę ucieszył widok Jamesa Allena, więc uśmiechnęła się do niego szeroko, kiedy zbliżył się do kasy. Powiadomiła go współczującym tonem, że Mirna w środy ma wolne. Wiadomość ta zasmuciła go: tak mile rozpoczęty dzień stracił trochę blasku.

Siedząc wśród małych cumulusów przypominających apetyczne bezy, Kupidyn Lilian ciężko westchnął.

James Allen usiadł przy stoliku w głębi, pozwoliło mu to obserwować salę. Już dawno nie jadł pysznego dania ze szpinakiem i kozim serem i na samą myśl ciekła mu ślina.

- Przepraszam, czy nie jesteś przypadkiem Lilian Stevenson?

Ból brzucha. James Allen poczuł, jak pałą go policzki. Odwrócił wzrok w stronę siedzącego przy stoliku obok mężczyzny. Rzucił szybkie spojrzenie w kierunku właścicielki rozmawiającej z jakąś klientką na drugim końcu restauracji. Odpowiedział sztucznym

uśmiechem na jej przyjazne kiwnięcie głową. Chyba nie usłyszała pytania zadanego przez klienta z sąsiedniego stolika.

- Chodziliśmy razem do liceum. Do Montaigne. Nazywam się Thierry Garnier. Byliśmy w tej samej klasie maturalnej. Miałem wtedy dużo krótsze włosy, takie jak ty teraz.

Nieodgadniony jak zwykle przypadek uznał za stosowne zaingerować - James Allen spotkał znajomego sprzed lat! Naprawdę ani razu, odkąd pojawił się w Paryżu, nie przyszło mu do głowy, że mógłby spotkać kolegę z klasy: przecież to olbrzymie miasto, a jego przyjaźnie nawiązane w licealnych czasach szybko wygasły. Prawdopodobieństwo spotkania jakiegokolwiek znajomego z tamtych czasów wydawało się znikome.

Mimo że kolega miał obecnie dużo bardziej opaloną, trochę lalkowatą twarz, James Allen rozpoznał go bez problemu. Orzechowe oczy, włosy blond, miły uśmiech. Kiedyś był jednym z licznych przyjaciół Alana.

James Allen przyznał cichym głosem, że tak, jest Lilian. Zachwycony Thierry przysiadł się do jego stolika. Młoda Amerykanka poczuła nagle bóle brzucha. Panikę, jaka ją ogarnęła na myśl o tym, że ktoś mógłby zdemaskować Jamesa Allena, wzmożyły miesięczkowe dolegliwości.

Zajadając tandoori z kurczaka, dawny kolega z liceum wypytywał ją, skąd się wzięła w Paryżu. Odpowiedź na to pytanie była prosta i nie wymagała żadnego wybiegu. Thierry opowiadał o sobie: mieszka na południu Francji, w Nicei, gdzie zajmuje się handlem. Ma już trójkę dzieci. W rodzinie Marii, jego żony, wczesne zakładanie rodziny było tradycją.

Lilian słuchała go i zastanawiała się nad swoim własnym życiem, nad życiem brata, przyjaciół. To dziwne, ale do tej pory nawet nie przyszło jej do głowy, żeby mieć dzieci. Wśród jej znajomych nikt jeszcze nie znał rodzicielskiego stanu. Może jeszcze do tego nie dojrzeli... Jedyne Maggie zdawała się być wystarczająco dorosła, by podjąć przygodę z macierzyństwem. Ale z partnerem takim jak Alan być może zabrakło jej odwagi.

Aby uniknąć rozmowy na swój temat, zapytała Thierry'ego o pracę. Rodzina żony miała fabryczkę słodczy pod Niceą. Wyrób własny, ekologiczny. Na czasie i szło nieźle. Wyjął z kieszeni marynarki małe pomarańczowe, podłużne pudełko, udekorowane

rysunkami kwiatów i liści. Chciał rozszerzyć działalność. Brat Marii zajął się rozprowadzaniem ekologicznych przez Internet; on sam przyjeżdżał często do Paryża odwiedzić rodziców, więc postanowił zakreślić się wśród nowo powstałych, modnych miejsc w stolicy. Zupełnie przypadkowo wpadł na Popadom & Co.

Otworzył pudełko i zaprezentował jej zawartość: zestaw lizaków i cukierków o geometrycznych kształtach w wesołych kolorach. Każdego miesiąca pani Sharma upływniała mu znaczną liczbę pudełek.

- Trudno jest wybrać między tyloma kształtami i kolorami - wyjaśnił. - Ale zdradzę ci tajemnicę konesera: im bardziej ekscentryczna forma, tym wyrazistszy smak.

Zaintrygowana widokiem sympatycznego pana Garnier amatora kurczaka tandoori, w towarzystwie amerykańskiego artysty, do którego zaczęła wzdychać jej córka, pani Sharma zbliżyła się do ich stołu, aby zasięgnąć języka.

- Czy wszystko w porządku? - zapytała, zbierając ze stołu talerze.

- To niesamowite - rzekł Thierry. - Właśnie spotkałem kogoś, z kim byłem w liceum.

- Zna pan Jamesa Allena?

Marszcząc brwi Thierry powtórzył: „James Allen...” niepewnym tonem. Spojrzał na Lilian i zdawało się, że dopiero teraz dociera do niego jej wygląd. Zdziwienie odmalowało się na jego twarzy.

Wyjątkowość sytuacji dodała Jamesowi Allenowi tupetu. Opowiedział pani Sharma, jak to kiedy razem chodzili do liceum Montaigne, Thierry pisał wspaniałe wypracowania. Czy nadal pisze? Ten ostatni zaczerwienił się nieco. Bajki. Nic jeszcze nie opublikował, ale w sobotnie popołudnia udzielał się w kółku czytelniczym w dzielnicowej bibliotece. Tam też zresztą poznał Marię.

Pani Sharma zaproponowała herbatę, którą Thierry zaakceptował z przyjemnością.

- A lassi, czy mają panie lassi? - zapytał James Allen.

Też pytanie! Oczywiście. Różane lassi. Mirna wymyśliła również nowy smak - owoc mango z ananase. James Allen zdecydował się spróbować tego specjału. Lilian zaś obserwowała oddalającą się panią Sharma z bólem brzucha: nadszedł czas wyjaśnień.

- James Allen? - zapytał Thierry. - Cóż to za historia? Znowu chcesz udawać brata? Wie o tym?

Lilian zawahała się, bo nie miała ochoty zwierzać się komuś, kto właśnie przypominał jej nieprzyjemny epizod, o którym wolałaby zapomnieć. Ten głupi zakład - czy będzie miała odwagę podszyć się pod brata na lekcji włoskiego - należał do przeszłości.

Thierry czekał na odpowiedź, więc zdecydowała się na ujawnienie mu części prawdy.

Oczywiście, że Alan wiedział. Nigdy w życiu nie mogłaby uzurpować sobie czyjejs tożsamości. Dlatego też przyjęła inne imię. James Allen nie Alan. Coś jak pseudonim.

- A co na to inni? - zapytał z ciekawością Thierry. -

Wierzą ci?

Wierzyli w to, w co chcieli. James Allen wypił łyk orzeźwiającego lassi. Thierry powiedział, że on sam nie miał trudności z rozpoznaniem jej. Miała plamkę na tęczęwce lewego oka, a Alan nie.

Zdziwiło ją, że pamięta takie szczegóły. Kolega z klasy brata nie spuszczał z niej wzroku, chciał dowiedzieć się czegoś więcej o jej transformacji. Wyjaśniła mu, że tak naprawdę to chodzi tu o inny sposób ubierania się, bowiem w głębi duszy nadal czuła się kobietą. Śmieszyło ją mówienie o sobie samej w rodzaju męskim i nie docierało do niej, że „James Allen” to „on”.

Oczywiście przykładała się do roli sumiennie. Stworzyła postać Jamesa Allena i wcieliła się w nią, ale kreacja ta nie zastępowała Lilian.

Problemem stał się odpowiedni tembr głosu, szczególnie kiedy pytano ją o coś znieca. Odpowiadała wtedy automatycznie swoim naturalnym głosem, zbyt wysokim dla mężczyzny. W rozmowie, do której była przygotowana, radziła sobie dość dobrze z zachowaniem niższej tonacji. Siadanie z szeroko rozstawionymi kolanami nie sprawiało jej trudności, gorzej było z dłońmi: miała zwyczaj wsuwania ich pod uda lub przyglądania sobie nimi włosów, więc żeby tego uniknąć najczęściej krzyżowała ramiona. Często żałowała, że nie pali, ułatwiłoby jej to zachowanie pozorów.

Po tygodniu w Paryżu poczuła się obolała. Trwało to kilka dni, zanim zrozumiała, że porusza się przygarbiona. Musiała nauczyć się chodzić wyprostowana, z dumnie podniesioną głową.

Od dzieciństwa uczono ją dyskrecji, skromności, spuszczenia głowy. James Allen bez wahania patrzył wszystkim prosto w oczy. To

właśnie ta różnica między nią a nim wydawała się Lilian najważniejsza i dawała jej poczucie większej swobody.

Thierry zapytał, czy miała okazję poznać Hanifa, syna pani Sharma. Nie, jeszcze nie. To ktoś tajemniczy i skomplikowany. Trochę jak ona. Też artysta, fotograf.

A jak Alan zareagował na metamorfozę siostry? Thierry uśmiechnął się widząc minę Lilian. W słowach, jakich użył, by wytłumaczyć jej jakoś postępowanie Alana, wyczuwało się jednocześnie podziw i lekko kpiącą sympatię - coś na skraju wrażliwości i drażliwości - brat Lilian miał duże problemy z opanowaniem swoich reakcji. Maggie nie potrafiła z pewnością mu w tym pomóc. Lilian zaskoczył fakt, że zna jej szwagierkę. Nie, nie miał tej przyjemności, ale pisywali do siebie często z Alanem.

W zamyśleniu pokiwała głową. Między nią a bratem nie nastąpiła nawet najskromniejsza wymiana korespondencji, od kiedy jest w Paryżu. Alan z pewnością nadal nie akceptuje faktu, że siostra udaje faceta.

Uśmiechając się do Thierry'ego, który koniecznie chciał zapłacić rachunek - jak za starych dobrych czasów - pomyślała o tym, jak mało mają z bratem wspólnych znajomych. Gdyby dzieliła ich tylko odległość, wiedzieliby o sobie więcej. Ale tu chodziło o coś znacznie ważniejszego - brak więzi emocjonalnej. W innym wypadku Alan dałby jej z pewnością telefon do kolegi z Nicei.

Ale, między Bogiem a prawdą, czy zadzwoniłaby do niego? Raczej nie. Lepiej chyba zdać się na przypadek. Los sprawił, że może sobie teraz wszystko spokojnie przemyśleć, a po powrocie do Nowej Anglii być może pójdzie do Alana i zastanowią się wspólnie, jak zmniejszyć oddalenie i wzajemną rywalizację, być może uda jej się powiedzieć: kocham cię, Alan.

Lilian wyjęła z kieszeni notes, wyrwała z niego kartkę i zapisała na niej swój numer telefonu. Kiedy Thierry będzie ponownie w Paryżu, mogliby pójść razem na kolację. Uścisnęli sobie dłonie.

- Do zobaczenia, Jamesie Allenie - rzekł Thierry.

W sposobie, w jaki wymówił jej nowe imię, Lilian nie usłyszała ironii, na jaką była przygotowana. Raczej prostoduszność i zaciekawienie. Ze zdecydowanie lżejszym sercem uśmiechnęła się do niego i podeszła do pani Sharma, aby się pożegnać.

Pogratulowawszy jej wyśmienitej kuchni, James Allen wziął dwie wizytówki. Jedną z nich wsunął do notesu, a na drugiej napisał kilka słów do Mirny i swój numer telefonu. Wręczył Pimmi kartonik z prośbą o przekazanie go córce i wyszedł z restauracji.

Na zewnątrz wiosenne słońce zawładnęło niebem, nie pozostawiając na nim nawet skrawka błękitu. Wszystko było światłością.

Rozdział 12

Po kolacji Hanif wybrał się w towarzystwie Dalila i Boba do nocnego baru przy ulicy au Maire. Rzadko bywał wolny o tej porze, ale kabaret, gdzie występował w sobotnie wieczory, został przez kogoś zarezerwowany na całą noc, dysponował więc własnym czasem.

Bob wyginał się przed jakimś dość przystojnym, nieogolonym brunetem, a Dalil gawędził przy barze z dwoma facetami o nieskazitelnej, kabinowej opaleniznie. Hanif nudził się jak mops. Zastanawiał się, czy nie wrócić po prostu do domu, posłuchać dobrej muzyki i dokończyć opracowanie zdjęć, które zrobił ostatnio na kilku cmentarzach.

Ubrany normalnie i banalnie czuł się tu nieswojo. Zazwyczaj wzbudzał zaciekawione spojrzenia. Ale w dusznym, przepelnionym barze nikt go nie zauważał wśród poruszających się w rytmie techno stałych bywalców. Mógłby wprawdzie ubrać się trochę bardziej wyzywająco, jak Bob, ale tego wieczoru wybrał dyskrecję.

Hanif od wczesnej młodości bawił się dwuznacznością własnej aparycji, starając się zawsze podkreślić twarz o profilu sylfidy. W wieku, kiedy najważniejsze jest, aby być podobnym do innych, zauważył, że bez problemu może uchodzić zarówno za chłopca, jak i za dziewczynę. Hermafrodyta. Znalazł wyjaśnienie słowa w słowniku, dyskutował też o tym z koleżanką ze szkoły, Amelią o nieforemnej, umartwionej twarzy. Wpadła w szpony anoreksji i jej powolne schodzenie do piekieł sterroryzowało go.

Kiedyś spotkał ją na basenie: niezwykle powoli wchodziła do wody po drabince, jej długie chude nogi przypominały bocianie łapy, kończyny łącznie z palcami wydawały się nieskończenie długie. Kości obojczyków wystawały spod skóry. Miała zielone oczy o bolesnym, trudnym do zniesienia spojrzeniu. Hanif odwrócił wtedy wzrok i poczuł się jak wrak. Udał, że jej nie widzi, zignorował jej obecność, jej chorobę, nie dopuścił do siebie myśli, że ta dziewczyna bez biustu, w opadającym za dużym kostiumie kąpielowym jest Amelią. Pływała krótko w zimnej wodzie pod baczna kontrolą ratownika. Przyszła jeszcze kilka razy do szkoły, a po wielkanocnych feriach już jej nie było.

Hanif wpadł w depresję, zmagania duszy z ciałem, które budzi się i dojrzewa, dały mu się brutalnie we znaki. Mirna wyjaśniła mu, że

anoreksja spowodowana jest najczęściej problemem między matką a córką, jest negacją własnej kobiecości. Zastanawiał się często, czy jego negacja męskości doprowadzi go do śmierci. Nie mógł sobie poradzić z odejściem Amelii. Po latach nadal mu jej brakowało.

Zapamiętał włosy, nie wiedział, kim jest i czy woli grę w piłkę i wystawanie z kolegami pod liceum ze skrętem w zębach, czy gadki o chłopakach z koleżankami, z papierosami w dłoniach, o źle ufarbowanych włosach i w długich, ukrywających zaokrąglające się kształty swetrach.

„Hanif się szuka”, mówiła matka przyjaciółkom, które ze zdumieniem patrzyły na smukłą sylwetkę nastolatka o długich, tłustych włosach, przechadzającego się po salonie z umalowanymi oczami, ubranego w jedno z jej licznych sari. Hanif szukał się i prawdę mówiąc do dziś się nie znalazł. Wybrał opcję androgenną, przechodząc z kobiecości w męskość w zależności od nastroju, momentu i ochoty. Był przekonany, że nigdy nie zdoła się zdecydować - na samą myśl o konieczności wyboru dostawał migreny. Nie chciał się rozdwajać. W końcu w mitologii greckiej hermafrodyty mieli cztery ręce, cztery nogi i dwa organy płciowe. A ponieważ chcieli zaatakować Olimp, Zeus za karę przeciął ich na dwoje, zmuszając tym samym do bycia kobietą lub mężczyzną. Hanif nie chciał tak drastycznego rozwiązania. Wolał przejść z jednej postaci w drugą, zadowolony ze swego aseksualnego ciała, ze swojej zagadkowej postaci.

Na uniwerku, na historii sztuki poznał Boba. Swoją pierwszą prawdziwą miłość. Mieszkał jeszcze wtedy z matką. Rodzice rozwiedli się już dawno. Mirna przechodziła właśnie przez okres gotyku - nosiła kolczyki w nosie, malowała się czarną szminką i wyglądała jak widmo. Miała ponurą przyjaciółkę, obwieszoną naszyjnikami i bransoletkami ze skóry i aluminium w kształcie pajaków, z którą zjadała makaron lub risotto zabarwiane sepią mątwy.

Bob wynajmował kawalerkę. Był Amerykaninem, niespecjalnie pięknym ani dbałym o wygląd, który uważał, że Francuzi nie znają dobrej muzyki, nie wiedzą, co to jest prawdziwy rock, ale potrafią żyć i piec ciastka, za które można by oddać życie. Paryż wobec Nowego Jorku przypominał wprawdzie prowincję, ale on zakochał się w tym

mieście, kiedy przyjechał na wakacje mając osiemnaście lat i zrobił wszystko, aby tu zamieszkać.

Po rozstaniu z Bobem Hanif wyjechał poukładać sobie życie uczuciowe do Irlandii. Był to jego pierwszy miłosny zawód, pierwsza ucieczka. Mirna, słomiany ogień, porzuciła właśnie gotyk dla sportu, zamieniając się z zawiniętego w czarną pelerynę kruka w różowego flaminga w obcisłych szortach i koszulce. Mieszkanie, w którym zamieszkali na krótko razem, przypominało siłownię. Namawiała go, aby poszukał zapomnienia w wysiłku fizycznym i rozpuścił smutek w pocie, tak jak robiła to ona od momentu, kiedy dziewczyna od czarnego risotta zostawiła ją dla angielskiej, oblepionej gwoździami od stóp do głów punkowy. Nic to nie dało: Hanif nie miał w sobie za grosz sportowca.

W wieczór poprzedzający wyjazd do Irlandii popijali z Mirną gin z sokiem pomarańczowym i wspominali dzieciństwo. Ogarnął ich szalony śmiech na wspomnienie rodzinnej wyprawy rowerowej w czasie wakacji na wsi, pod Brighton. Złapali wtedy gumę, pokłócili się, przyszła burza z piorunami - a Hanif, żeby rozluźnić atmosferę, zaczął się wygłupiać i, pedałując bez trzymania, wpadł do rowu, walnął w słupek i skończyło się złamaniem otwartym. Siedząc obok siebie na pokrytej kolorową tkaniną sofie, brat z siostrą pili za miłość i stracone bezpowrotnie złudzenia.

Mglista Irlandia pocieszyła Hanifa. Pewien rudy i roześmiany Irlandczyk, gracz rugby poznany w pubie w Ulster w czasie Turnieju Sześciu Narodów, też się do tego przyczynił. Transmitowano właśnie mecz Anglia - Irlandia, katolicy i protestanci ochoczo stukali się szklankami na cześć wspólnej ekipy. Patrick zaczął wyjaśniać mu strategię stosowaną przez zawodników w białych koszulkach wobec przeciwników w zielonych strojach, zażartych shamrocków. Wy tłumaczył mu, jak zdobywa się punkty za przyłożenie lub kopiąc drop - goala i na czym polega wielki szlem. Piwo, orzeszki ziemne, entuzjastyczny hałas, dym z papierosów: idealna sceneria na chwileczkę zapomnienia.

Patrick grał mecze w weekendy, trenował dwa razy w tygodniu. Poza tym wykładał literaturę anglosaską na uniwersytecie w Coleraine. Był specjalistą od poezji irlandzkiej. Hanif przeczytał wszystko Seamusa Heaney'a i Paula Muldoona, ale wolał Thomasa Kinsella. Patrick mieszkał w Portstewart, nadmorskim miasteczku

między Belfastem a Derry, do którego jechało się pociągiem z Dublina z godzinną przesiadką w Limavady. Biały dom wisiał na skale i patrząc w dół z okna w lewym rogu salonu można było u jej podnóża dostrzec plażę. Na ścianach sypialni, mimo nieustannych walk Patricka z wilgocią, widniały zacieki. Wiatr i deszcz zrobiły swoje. Hanif ze zdziwieniem zauważył, że w północnej Irlandii rosło bardzo mało drzew.

W tygodniu, kiedy Patrick wykładał, Hanif zwiedzał stare cmentarze. Większość z nich była zaniedbana, zostawiona na pastwę dzikiej roślinności; zielono - żółty mech porastał grobowe płyty ze stojącymi na nich żelaznymi, zardzewiałymi krzyżami. Na cmentarzu, gdzie pochowany był Yeats, niedaleko Sligo, wznosiły się olbrzymie drzewa obsiadłe przez kruki.

W czasie tych eskapad oczom Hanifa ukazywały się statyczne, naznaczone samotnością krajobrazy. Jak u zarania dziejów. Wrażenie to pogłębiała panująca wśród zieleni i na rudych wrzosowych torfowiskach cisza. Między listopadem a lutym nad Irlandią wisiało szare niebo. Niekiedy jednak pojawiał się świetlisty lazur, jak tego ranka, kiedy udał się na Drogę Olbrzymów. W nocy śnieg pokrył zazwyczaj zielone pola i murki odgradzające je od drogi. Niezwykła biel szklila się w słońcu, a powietrze było tak przejrzyste, że miało się ochotę przepłukać nim gardło.

Hanif codziennie spędzał kilka godzin na odcyfrowywaniu napisów i rysunków na płytach nagrobnych za pomocą jedwabnego papieru i węgla. Anioły, daty, zdania. Pojedyncze słowa. Streszczały życie i przeżycia, miłość i cierpienie.

Dalil pisał do niego często, pytając o datę powrotu do Paryża, donosząc o zakończonej historii Boba z Simonem, zapewniając o przyjaźni.

Ramiona Patricka i spokój irlandzkich cmentarzy pogodziły Hanifa z samym sobą. Miał również czas na zastanowienie się nad sensem własnego życia. Znalezienie jednoznacznej odpowiedzi na nurtujące go egzystencjalne wątpliwości nie było łatwe. Kochał Patricka jeszcze bardziej niż kiedyś Boba. Ale mimo że przepadał za tutejszymi lodami waniliowymi - '99 Flake - podawanymi z dwoma czekoladowymi batonikami, nie potrafił zdecydować się na zamieszkanie na stałe w Portstewart. Patrick też nie zamierzał

porzucić studentów i kumpli z klubu, nie chciał zamieniać życia wśród porywistych irlandzkich wiatrów na paryski smród, nawet dla miłości.

Po roku Hanif uznał, że powinien wracać. Nie udało mu się przekonać Patricka, aby z nim jechał. Po pożegnalnej kolacji zeszli razem na plażę. Nad ich głowami pomarańczowe smugi zmierzchu znikwały powoli w ciemności nocy. Migotały gwiazdy, morze uciekało odpływem spod stóp, ciemność odbijała się w zwierciadle mokrego piasku.

- Nie wyjeżdżaj. Kocham cię - powiedział Patrick z rozpaczą w głosie.

Hanif chwycił kochankę za ramię i pociągnął go w stronę morza, tam gdzie na drobnych kamyczkach drżała morską piana. Przykucnął, zaczerpnął w dłonie trochę lodowatej wody, zmoczył twarz, poczuł chłodny, słony smak.

- Ja też cię kocham - rzekł, wyprostowując się.

Pocałował Patricka, pogłaskał go wilgotnymi dłońmi po policzkach i wtedy fala zalała im stopy po kostki.

Śmiech, łzy, smutek rozstania, zapadająca noc, światła z oddalonego brzegu, szum fal, wypełniające się wilgocią powietrze. Długo siedzieli obok siebie na skraju plaży, wśród nadmorskich traw. Hanif chciał wytłumaczyć Patrickowi, dlaczego nie może zostać. Nie umiał jednak znaleźć słów. I w końcu wyjechał bez wyjaśnień.

- Hej, Hanif! Zejdź na ziemię! Przedstawię ci kogoś. Powracając do rzeczywistości, Hanif odwrócił się w stronę przyjaciela. Dalil uśmiechał się tajemniczo. W oczach zapaliły mu się iskierki zwiastujące private joke, co zaniepokoiło Hanifa. Spojrzał na mężczyznę stojącego obok Dalila i poczuł się, jakby ktoś podciął mu nogi - całe szczęście, że siedział.

Wyrwany ze słodkich marzeń Wibracjami Miłosnymi o tak silnej mocy, obezwładniony Kupidyn Hanifa natychmiast zdał sobie sprawę z zakłopotania, w jakie popadła istota ludzka, nad którą miał pieczę.

- Pozwól, że ci przedstawię Jamesa Allena Stevensona, amerykańskiego artystę, którego wystawię wkrótce u siebie w galerii. Przyjechał na trochę. A oto Hanif. Jest synem pani Sharma, którą poznałeś na wernisazu Ernesto Diaza. Znamy się z Hanifem od liceum, studiowaliśmy potem razem historię sztuki. Jest fotografem. Specjalizuje się w fotografii czarno - białej. To trudne. Wybiera często makabryczne tematy. Ale ma talent.

Hanif pokiwał głową, przyzwyczał się już do komentarzy Dalila na temat swojej twórczości. Przyjaciel nigdy przed nim nie ukrywał, że jego fascynacja cmentarzami i umierającymi miastami, takimi jak Wenecja, napawała go zgrozą. Dalil nienawidził wszystkiego, co kojarzy się ze śmiercią. James Allen usiadł obok Hanifa, odstawiając na stół kieliszek białego wina.

- Idę po whisky z kolą. Chcesz coś, Hanif? - zapytał Dalil.

Hanif podziękował. Postanowił zaprosić przyjaciela na kolację do matki. Pragnął mu się odwdziżyć za podanie mu na tacy tak interesującego młodzieńca. Dalil puścił do niego oko i zniknął wśród gęstniejącego powoli tłumu tańczących.

- Dalil mówił, że byłeś na wernisażu - rzekł James Allen. - Musieliśmy się minąć, bo cię nie pamiętam.

Hanif nie odpowiedział od razu. James Allen rzeczywiście zdawał się go nie rozpoznawać. Nic dziwnego, na wernisaż udał się jako Carlotta ubrany w sari, które ofiarowały mu matka i siostra. Miał mieszane uczucia: z jednej strony cieszył się ze spotkania z kimś, kto spodobał mu się od pierwszego wejrzenia, krępowała go jednak sytuacja, w której pokazuje swe męskie oblicze. No i onieśmiało go własne zakłopotanie, bo zazwyczaj tego rodzaju podboje nie stanowiły dla niego problemu.

Wymienili kilka banalnych uwag na temat sztuki malarskiej Ernesto Diaza. James Allen wydawał się bardziej onieśmielony niż na wernisażu. Hanif zauważył malusieńką plamkę na tęczęwce jego lewego oka. Zastanowił się w duchu, czy ten niespotykany detal zmienia jego spojrzenie na świat. Pozwala na inną percepcję? Subtelność rysów twarzy Jamesa Allena fascynowała go.

Zupełnie jakby jeszcze nic o nim nie wiedział, wypytywał go o to, co robi, skąd pochodzi; zaproponował z najczystszy brytyjskim akcentem rozmowę po angielsku, jeśli woli. Szukał sposobu, aby cudzoziemiec czuł się swobodnie, gdyż jego skrępowana postawa stawała się żenująca.

Nie uszło jego uwadze, że James Allen łakomym wzrokiem obserwował mężczyzn wokół. Poczł nawet z tego powodu lekką zazdrość. A kiedy ten zaprosił go do tańca, zawahał się, ale spragnione i jednocześnie lęklive spojrzenie

Jamesa Allena przekonało go. Chłopak przyznał się, że po raz pierwszy w życiu znajduje się w podobnym lokalu. Jego zakłopotanie było urzekające. Hanif poszedł więc za nim na parkiet.

Zaskoczony Kupidyn Hanifa podziwiał finezję, z jaką kilka dni temu strzała przebiła serce jego podopiecznego, i zastanawiał się, co tego wyniknie.

Już dawno nie zdarzyło się, by Hanif do tego stopnia dał się ponieść muzyce. Obok niego James Allen przymknął oczy. Hanif obserwował go ukradkiem. Przylepione żelem do czaszki włosy, długie czarne rzęsy, dyskretny zapach nieznannej wody po goleniu. Twarz, tak jak i wszystkie inne twarze wokół, drgała w synkopowym rytmie przesuwających się po niej kolorowych świateł. Muśnięcie. Dotknął dłonią ramienia Jamesa Allena, pogłaskał go po plecach. A ten otworzył oczy, odsunął się, potrąciwszy przy tym jakiegoś tancerza.

- Nie mogę - wyszeptał zachrypniętym głosem, w którym zdziwienie mieszało się ze smutkiem. - Przepraszam cię. Muszę już iść.

Odręczając Hanifa przepychał się przez tłum. A ten chwycił go przy wyjściu.

- Poczekaj! Powiedz, o co chodzi.

- Zostaw mnie.

- Nie mogę. Podobasz mi się. Chciałbym się z tobą znowu spotkać.

- Spotkać? To niemożliwe. Przykro mi Hanif. To jest niemożliwe.

- Dlaczego? Czy powiedziałem lub zrobiłem coś nie tak?

- Nie. To ja... To nie ma nic wspólnego z tobą. Nie powinienem tu przychodzić. Przepraszam cię. Do widzenia.

Zmieszany Hanif obserwował oddalającego się szybkim krokiem Jamesa Allena. Niezdecydowany zawrócił, zastanawiając się, czy ma ochotę przyłączyć się do Boba i Dalila czy wrócić do siebie. Może uda mu się utopić w zgiełku nieprzyjemne wrażenie, od którego nagle rozboleł go kark. Alternatywą był powrót do domowej ciszy, do stosów cmentarnych fotografii, leżących na podłodze w oczekiwaniu na oprawienie, i przygotowanie następnej podróży. List do Patricka.

- Hanif? - Dalil chwycił go przy wyjściu. - Co ty tu robisz? Szukam cię wszędzie. Myślałem, że poszliście tańczyć, a potem nagle zniknęliście. Gdzie jest James Allen?

- Poszedł już.

- Jak to poszedł? Nie rozumiem...

- Ja też nie - rzekł Hanif zawiedzionym głosem. - Mam ochotę potańczyć. Co ty na to?

- Zatańczyć z tobą? Kusząca propozycja. To było tak dawno...

Przechodzące obok chmury zamieszkiwanej przez Kupidyna Lilian trzy Amorki z dezaprobatą pokiwały głowami. Tak bywa, kiedy nie zna się umiaru i niepotrzebnie wysyła zbyt dużo strzał miłości od pierwszego wejrzenia. Miłość to i tak skomplikowana sprawa. Co mu przyszło do amorowej głowy, żeby tak wszystko zagmatwać?

Kupidyn Lilian nic sobie nie robił z tych wyrzutów, wręcz przeciwnie, oblicze jego rozjaśnił uśmiech kogoś bardzo z siebie zadowolonego.

Rozdział 13

Wróciwszy do domu Lilian, zanim jeszcze zdjęła marynarkę, zadzwoniła do Justina i zostawiła mu wiadomość, aby do niej oddzwonił. Opadła na fotel, wstała z niego po chwili i przebrała się w piżamę. Pochłonięła ser (niedawno spróbowała po raz pierwszy reblochon i zjadła się nim bez pamięci) z żytnim chlebem z rodzynkami, popijając kieliszkiem bordeaux. Potem jeszcze jednym.

Podniecenie, jakie poczuła w nocnym barze, opadło trochę po marszrucie, jaką wykonała aż do Cite des Arts. Z tego, co wydarzyło się, lub nie, w barze z Hanifem, wynikało jedno: nie potrafiła pozbyć się nieśmiałości, obcując z ludźmi. Męski strój, który przywdziewała każdego ranka, był tylko iluzją, makijażem. Niczym więcej. Pod garniturem i małym wąsikiem, który rysowała sobie czasem, kryła się ta sama osoba. James Allen miał te same wątpliwości, przeszłość i wychowanie, co Lilian.

W ciszy pracowni rozległ się dzwonek telefonu. Usłyszała zmieniony głos Justina: znowu pokłócił się z Tedem. Wyobraziła go sobie siedzącego przed stołem kreślarskim, na którym piętrzyły się stosy różnego rozmiaru arkuszy papieru i rysunków przyczepionych do blatu kolorowymi klipsami. Otaczał go żółty krąg światła. W dżinsach i bluzie z kapturem, boso, z kieliszkiem wódki z lodem. Opowiedział jej, że Ted właśnie wyszedł i z pewnością nigdy nie wróci. Lilian próbowała go uspokoić. Wróci na pewno. Przecież nie po raz pierwszy kończył kłótnię, wychodząc i trzaskając za sobą drzwiami.

Tak, ale tego wieczoru było inaczej, dziś obydwaj dali ponieść się złości. Ted nie zdawał sobie sprawy, że nieregularne godziny pracy Justina nie pozwalały mu na dysponowanie czasem wolnym równie łatwo, jak jemu samemu. Poza tym firma Henderson & Daughters zamówiła u Justina przygotowanie kampanii reklamowej na nowy produkt, co pociągało za sobą wzmożony rytm pracy. Justin obiecał wcześniej, że pójdą razem z Tedem na przewidziane od dawna urodziny kumpla Teda, ale miał dużo roboty z wykończeniem projektu na poniedziałek. Termin minął już w zeszłym tygodniu, ale Justin się nie wyrobił, bo tak głupio się złożyło, że mieli jakieś wyjścia trzy wieczory pod rząd. A Ted nie chciał tego zrozumieć. Miał spokojną pracę, od dziewiętej do siedemnastej, mógł też

codziennie chodzić na gimnastykę. Wiele się zmieniło, od kiedy zamieszkali razem.

Lilian zapewniła go, że to normalne. Niełatwo jest przyzwyczać się do życia we dwoje, szczególnie jeśli jedno pracuje w dzień, a drugie w nocy. Ale przecież kochają się, znają się już od dawna i z pewnością znajdą wspólny sposób na życie.

- Brakuje mi ciebie, kochanie - powiedział Justin.

Z nią było podobnie. Głos jej się zachwiał. Przyjaciół przypomniawszy jej, że nie jest sama. Przecież ten Gheorghe, o którym wspomniała, wydaje się być przesympatyczny. Ale to nie to samo, on znał tylko Jamesa Allena, a nie Lilian.

Westchnienie. Opowiedziała mu o zauroczeniu Mirną, której James Allen dał swój numer telefonu, a która nawet do niego nie zadzwoniła. Dalil, właściciel galerii, był wyraźnie zainteresowany jego wazami. Tego wieczoru zaproponował mu wspólne wyjście do nocnego baru, gdzie przedstawił mu Hanifa, brata Mirny.

Był to gejowski bar, gdzie się tańczyło. Ze sposobu, w jaki Hanif patrzył na Jamesa Allena, Lilian zrozumiała, że bardzo mu się podoba. Hanif miał czarne, głębokie spojrzenie i ujmujący uśmiech. Objął ją w tańcu, a ona uciekła, bo przestraszyła się tego, co mogłoby wydarzyć się dalej.

Lilian bolała nad własną nieudolnością, nad niemożliwymi do wprowadzenia w życie radami Justina, miała ochotę zostawić wszystko, zaszyć się w pracowni i nigdy z niej nie wyjść. Przyjaciół milczał. Znała go jednak na tyle dobrze, aby domyślić się z sapania w słuchawce, że z trudem opanowuje śmiech. Urażona chciała się rozłączyć.

- Przepraszam, ale trudno jest mi się opanować - czał między jednym wybuchem wesołości a drugim.

Wrodzone poczucie humoru Lilian wzięło górę i rozchmurzyła się.

- No dobrze, możesz się ze mnie nabijać.

- Lilian, idziesz do gejowskiej knajpy przebrana za chłopaka, więc nie dziw się temu, co cię spotkało! Zwłaszcza że jesteś ładniutka jako James Allen.

Justin miał rację.

- Jestem przekonany, że gdyby James Allen poszedł do baru dla hetero, nie mogłabyś opędzić się od dziewczyn, podobnie byłoby

zresztą z Lilian w lokalu dla lesbijek. Masz dużo naturalnego uroku. Każdy na ciebie poleci.

Uspokojona spojrzała na sytuację z dystansem. Zaraziła się wesołością Justina.

- Biedny Hanif, z pewnością nic nie zrozumiał - skomentowała. Oczywiście, że nie. Kto pociągał ją bardziej: brat czy siostra? Co do tego nie miała wątpliwości, z całą pewnością Mirna. Ale co zrobić, żeby ją znów spotkać? Może nie zadzwoniła tylko dlatego, że była bardzo zajęta. Justin poradził jej poczekać jeszcze dwa, trzy dni, a potem zadzwonić do pracy. Między dwoma łykami wódki powtórzył jej te same rady, których ona udzielała mu, kiedy poznał Teda.

Mirna była zupełnie inna niż Lilian. Nie reagowała podobnie, a poza tym miała swoje życie. Obowiązki, spotkania... Potrzebowała czasu na przyzwyczajenie się do myśli o nowym związku. A może już kogoś miała.

To, co Lilian powinna zachować w pamięci, to pieczyta Mirny w momencie pożegnania. Musi uzbroić się w cierpliwość. Justin zapewniał, że dziewczyna wkrótce do niej zadzwoni. Co do Hanifa, jeśli będzie nalegał na spotkanie z Jamesem Allenem, wystarczy powiedzieć mu najzwyczajniej w świecie, że nie jest zainteresowany.

Pokrzepiona Lilian zasugerowała Justinowi zorganizowanie weekendu we dwoje - tylko on i Ted. Czas poświęcony tylko im dwojgu. Lilian była przekonana, że jej rodzice rozwiedli się w dużej mierze dlatego, że nie potrafili odnaleźć się we dwoje, bez dzieci. I że nawet jeśli nie ma się dzieci, weekendy sam na sam są podstawą. Być może Ted miał wrażenie, że praca jest dla Justina ważniejsza od ich związku.

Lilian uśmiechnęła się słysząc reakcję przyjaciela. Chyba strzeliła w dziesiątkę. Wystarczy teraz iść za ciosem, zachęcić go, aby zadzwonił do Teda na komórkę, przeprosił za wybuch złości i powiedział, że go kocha. Justin był uparciuchem, więc nie nalegała, słysząc stanowczą odmowę. Wiedziała, że po kilku bezsennych nocach posłucha jej. Za kilka dni opowie jej, jak wszystko dobrze się teraz układa między nim a Tedem. Ona może również będzie mogła mu coś opowiedzieć...

Z pewnością, mruknął do siebie jej Kupidyn, wyciągnięty wygodnie na materacu z chmur. A ponieważ nie miał nic lepszego do roboty, jak czekać, zamknął oczy i zasnął.

Rozdział 14

Lilian obudziła się następnego ranka dokładnie siedem godzin po zaśnięciu. Jasna niedziela zapowiadała się obiecująco, słońce ukazywało się zza stalowo - szarych chmur, ciężkich od wiosennego, przelotnego deszczu. Lubiła obserwować zmieniające się niebo, sposób, w jaki światło kładło się na ocynkowanych dachach, ciemnych dachówkach, kominach z cegły, telewizyjnych antenach, siedzących na nich szpakach i zaczynających zielenić się drzewach. Różnorodność kolorów zadziałała na nią twórczo.

Kiedy zadzwonił telefon, miała oblepione gliną dłonie. Otarła je byle jak i chwyciła słuchawkę:

- Halo?
- James Allen? Mówi Mirna.
- Cześć.

Czerwieniąc się Lilian oparła się o ścianę.

- Wiesz - podjęła Mirna - przepraszam, że nie zadzwoniłam wcześniej. Mama dała mi twój telefon w czwartek rano, ale... dowiedziałam się, że jedna z moich przyjaciółek dostała kosza i ją pocieszałam. Musiała się wygadać. Teraz jest już lepiej. Poza tym jedna z jej ex przyjechała na kilka dni z Avignonu. Pomyślałam, że fajnie byłoby spotkać się dzisiaj. Wieczorem idę na kolację do mamy, ale jeśli masz czas popołudniu, moglibyśmy pójść na spacer.

- Z przyjemnością. Koło trzeciej?
- Doskonale. Wpaść po ciebie?
- Będę czekał na dole, przy wejściu.
- No to na razie.
- Tymczasem.

Uśmiechnięty Kupidyn Mirny przysiadł się do Kupidyna Lilian. Wesoła i pokrzepiająca wieść o Pierwszej Randce poszybowała wśród zgromadzenia. Zachwycone Amorki usadowiły się licznie na najlepszych miejscach, gawędząc o sposobach życia samą miłością.

Lilian siedziała chwilę bez ruchu, żeby uspokoić szybko bijące serce - glina na jej dłoniach miała czas doszczętnie wyschnąć - a potem wróciła do ceramiki rozpoczętej tego ranka. Zegar wskazywał wpół do pierwszej, trzeba było spieszyć się z pracą i przygotować do spotkania. Nie może powtórzyć klęski z poprzedniego dnia. Ani bać się tego, co nastąpi. Wygładziła wazę, świadoma braku czasu na

dokończeniu jej. Postanowiła pozostawić ją taką, jaką jest: będzie jej służyła do wypróbowywania różnych rodzajów szkliwa.

Zachciało jej się rysować. Wyciągnęła arkusz czerpanego papieru i ołówek, nakreśliła linie plaży, fal, horyzontu, leżącego na brzuchu ciała, ramion, pleców, okrągłych pośladków, narysowała palce u stóp podobne do ziaren grochu w strąku, sploty włosów wokół ledwie zaznaczonej twarzy, dłonie płasko położone na piasku, pod policzkiem. Gorące popołudnie lub raczej zapadający ciepły wieczór pozwalający na nagą samotność. Odpływ morza, piasek jest ciepło wilgotny, kobieta leży na skraju plaży, nad samym morzem. Na innym arkuszu siedzi odwrócona plecami, na jej krągłe ramiona spadają długie włosy, a ona pochylona oplata rękoma kolana, aby się ogrzać lub zasłonić nagość.

Plecy zawsze fascynowały Lilian. Rzadko kto, poza modelkami i aktorami, wiedział, jak wyglądają jego plecy. Ona sama też nie wiedziała aż do dnia, kiedy u fryzjera pokazano jej w lustrze nową fryzurę od tyłu.

Kiedy szła ulicą często obserwowała nogi kobiet w spódnicach, ich sposób poruszania się w niewygodnych sandałach lub w butach na wysokich obcasach, biodra ukryte pod szerokimi płaszczami, wcięte w pasie marynarki, włosy, starannie upięte za pomocą niewidzialnych szpilek koki lub te podtrzymywane ołówkiem, kapelusze przysłaniające twarze. Wyobrażała sobie niekiedy, że głośno klaszcze w rękę. Wszystkie przechodzące trotuarem kobiety odwracają się w jej stronę i może ujrzeć ich twarze, powiedziec im dzień dobry, rzec, że są piękne, wdzięczne, urocze i że teraz, kiedy ujrzała ich twarze, mogą odejść, a ich wspomnienie i tak w niej pozostanie - będzie mogła je narysować, odtworzyć ich ciała, ich krągłe, pociągające kształty.

Ale nie była wróżką ani czarodziejką. Nie odważyła się też nigdy zaklaskać w dłonie i kobiety znikają za rogiem lub po drugiej stronie ulicy, a z nimi ich tajemnice. Pozostawiały za sobą ulotne wspomnienia, fragmenty marzeń, imaginacji i w ten sposób stawały się inspiracją do kreacji. Od dawna marzyła o kobiecie, która by z nią została na zawsze.

Rozdział 15

Czekając na Mirnę, James Allen kupił sobie mocną kawę z dystrybutora mieszczącego się w hallu wejściowym. Usiadł w jednym z czarnych klubowych foteli i pijąc ją, uśmiechał się do przechodzących znajomych rezydentów. O trzeciej dwadzieścia wyszedł przed budynek. Spojrzał na stalowo szare dachy przypominające folię aluminiową.

Kiedy ujrzał Mirnę nadchodzącą od strony skwerku między ulicą de l'Hotel de Ville i des Celestins, serce zaczęło mu bić jak młotem. Chcąc dodać sobie animuszu, wsadził ręce do kieszeni marynarki i odchrząknął w obawie, aby głos go nie zawiódł. Nagle Mirna zamachała entuzjastycznie dłonią, więc odpowiedział jej tym samym. Uśmiechała się, wydała mu się jeszcze ładniejsza niż na wernisażu.

Gdy podeszła, zaproponowała, aby mówili sobie na ty i rozpoczęli spacer od lodów u Berthillon. Po drodze powiedziała mu, że wypróbowała jego oszałamiający przepis na lassi z mango, świeżego imbiru i limonki. Mamie również bardzo smakowało. Czy często je robi? James Allen pokiwał przecząco głową. Wpadł na ten pomysł niedawno, kiedy podano mu gdzieś deser z ananasa, imbiru i limonki; przedtem nie przypuszczał, że te trzy smaki tak bardzo do siebie pasują.

Ucieszył się i trochę go to zaskoczyło, że chciało jej się spróbować przepisu pozostawionego wtedy przez niego na bileciku w Popadom & Co. Roześmiała się: lassi zrobiło taką furorę wśród klientów, że postanowiły z matką umieścić je w menu, jeśli oczywiście on nie ma nic przeciwko temu.

Pimmi, która uważała każdą recepturę za świętą tajemnicę, nalegała, aby wyraził swoją zgodę, udając się osobiście do restauracji i oficjalnie powiadamiając o tym ją, szefową kuchni. Zachwycony taką okazją James Allen obiecał wpaść na obiad w przyszły czwartek.

Mirna zapytała go, skąd zna Thierry'ego Garniera. James Allen z uśmiechem wyjaśnił jej, że ten handlujący słodyczami mężczyzna, z którym zresztą nie miał od lat żadnego kontaktu, był kolegą jego brata Alana. Niewielu mieli z bratem wspólnych znajomych, a ich wzajemne więzi również były dość luźne. Fakt, że byli bliźniakami - James Allen urodził się cztery minuty wcześniej - nic tu nie znaczył. W podstawówce i w gimnazjum rodzice zawsze dbali o to, aby nie

znaleźli się w tej samej klasie, ale w Paryżu byli razem przez trzy lata. Braterska miłość ustąpiła miejsca rywalizacji.

Błyskotliwość Alana kontrastowała z dyletanctwem Jamesa Allena. Brat został malarzem, a on ceramikiem. Widywali się rzadko. Być może teraz, kiedy Alan się ożenił, coś się między nimi odmieni. James Allen bardzo cenił bratową i liczył, że pomoże mu ona dotrzeć do brata.

Leżąc na brzuchu, podpierając rękoma brody i machając nogami w powietrzu, Kupidyny delektowały się widokiem ocierających się o siebie przypadkowo ciał, zgodnie stawianych obok siebie kroków i uwodzicielskich spojrzeń.

W lodziarni Mirna wybrała lody czekoladowo - pistacjowe, James Allen marakuję i karmel. Poszli potem ulicą Saint - Louis - en - Ile w stronę katedry Notre Dame.

- Ty też masz przecież brata... Dogadujesz się z nim?

- Tak - odpowiedziała Mirna uśmiechniętym głosem. - To on jest starszy. Dwa lata. Jesteśmy ze sobą bardzo zżyci.

- A z Carlottą?

Mirna zatrzymała się, oblizując zieloną stronę loda, która zdawała się topnieć dużo szybciej niż czekoladowa.

- Z nią jest gorzej - przyznała w końcu.

Miała na sobie śliwkowe spodnie i czarne trampki, ciemna marynarka rozchylając się ukazywała czerwony sweter, który wraz z kolorowym szalikiem ładnie podkreślał jej czarne włosy. Zapytała Jamesa Allena, jak wygląda jego dom i okolica, w której mieszka.

- To, czego najbardziej mi tutaj brakuje, to ocean, krzyk mew, zapach alg i jodu. Z mojego domu nie widać morza, ale wystarczy pójść trochę dalej drogą i w dziesięć minut jesteś na plaży. To bardzo mała plaża. Ale lubię ją. Latem stoją tam przycumowane do małego mola łódki. Zimą opieram się o pomost plecami i godzinami patrzę na fale. Piasek jest biały i drobny, czasami wieje mroźny wiatr. Szczypie w dłonie i w twarz.

- Masz ogród?

Dom otoczony jest z trzech stron kilkumetrowym trawnikiem. Latem James Allen między dziką wiśnią a klonem rozpina hamak. Kępy rumianku i ziół, mięty, bazylii, szałwi, tymianku, rozmarynu, wszystko to, co mu niezbędne do kucharzenia.

Mirna chwyciła go za ramię:

- Lubisz gotować?

- Uwielbiam - i brakuje mi tego. Chciałbym móc wsadzić dłonie w coś innego niż glina, ale w pracowni mam tylko małą kuchenkę...

- To przyjdź do mnie. Moja kuchnia nie jest duża, ale będziesz mógł w niej spreparować to, na co masz ochotę. Udostępnię ci ją - zawahała się chwilę - z przyjemnością i kiedy tylko zechcesz.

- To naprawdę miło z twojej strony, dziękuję ci bardzo.

Bez wątpienia należy stwierdzić, że mimo braku praktyki Kupidyn Lilian okazał się wyśmienitym łucznikiem: jego strzała z największą precyzją dosięgła głębi ludzkiego serca.

Przechadzali się w milczeniu. Mirna pociągnęła towarzysza wzdłuż nadbrzeżnych bulwarów na północ od wyspy de la Cite. Przeszli przez most Pont - Neuf tuż obok pomnika Henryka IV i zeszli schodami na skwer du Vert - Galant.

Znaleźli tam wolną ławkę. Mogli stąd podziwiać przepływające statki wycieczkowe, nawet o tej porze roku wypełnione po brzegi opatulonymi turystami, podziwiającymi liczne zabytki znajdujące się wzdłuż Sekwany.

- To wprawdzie nie morze, ale jednak woda - rzekła Mirna.

- Bardzo lubię obserwować rzekę. Skłania mnie to do marzeń.

- O podróży? Jest tyle miejsc, gdzie chciałabym kiedyś pojechać. Ale do tej pory nie udało mi się zwiedzić wiele. W mojej rodzinie podróżują tylko mężczyźni. Mój ojciec wrócił do Indii już kilka lat temu. Przysyła mi pocztówki ze wszystkich miejsc, w których bywa w sprawach służbowych. Ciągłe jest w delegacji. Hanif podróżuje głównie po Europie. Obiecał mi, że zabierze mnie do Irlandii. Być może w lipcu.

- Moi dziadkowie ze strony matki są Irlandczykami - rzekł James Allen. - Nigdy tam nie byłem, ale bardzo pociąga mnie ten kraj.

- Widziałam zdjęcia z jego podróży i nabrałam wielkiej ochoty zobaczyć wszystko na własne oczy, mimo że niebo jest tam czasami bardzo ponure. Podobno pada co najmniej raz dziennie.

- Zupełnie tak jak w Paryżu.

- Przesadzasz!

James Allen z przekorą pokręcił głową: naprawdę tak myślał.

- Hanif zabrał mnie do Rzymu z okazji moich osiemnastych urodzin - podjęła Mirna. - Padało bez przerwy oprócz jednego

jedynego dnia, kiedy poszliśmy zwiedzić Koloseum. Podróże z bratem to przygoda na każdym kroku. Deszcz we Włoszech, upał w Amsterdamie. Pociągi zatrzymujące się na kilka godzin w szczerym polu nie wiadomo z jakiego powodu, guma złapana w samym środku nocy. A ty dużo podróżujesz?

- Do tej pory głównie po Stanach Zjednoczonych. Przejechaliśmy z Alanem z San Francisco do Chicago z ciotką, która przeprowadziła się na wschodnie wybrzeże. Jechaliśmy przez pięć dni jej vanem. Przy okazji zwiedziliśmy trochę. Mieliśmy wtedy po piętnaście lat. Było to w wakacje poprzedzające nasz przyjazd do Paryża.

- Pamiętasz, co widziałeś?

- Tak. Pisałem wtedy pamiętnik i notowałem wszystko. Miasta, przez które przejeżdżaliśmy, miejsca, gdzie zatrzymywaliśmy się na noc lub żeby coś zjeść czy zwiedzić. To, co wyryło mi się przede wszystkim w pamięci, to ogromne przestrzenie, niekończące się proste drogi, olbrzymie kukurydziane pola. Któregoś wieczoru w Kolorado zatrzymaliśmy się u wlotu do kanionu. Całą noc widzieliśmy błyskawice. Ani śladu deszczu czy grzmotów, bo byliśmy daleko od burzy.

Siedząc po turecku na ławce, Mirna zamknęła oczy:

- Opowiedz mi proszę coś jeszcze.

- W stanie Utah na mapie zaznaczone były tylko trzy miasta - zaczął James Allen, rozkładając ramiona na oparciu ławki. - Przebrnęliśmy przez zupełnie białą pustynię soli. Przypominała lodowiec, z tym że było gorąco. Kiedy przejeżdżaliśmy przez pierwsze miasto, zaczynało padać, a kiedy dotarliśmy do drugiego, lało jak z cebra. Hotelu ani motelu nie uświadczysz. Nie mieliśmy innego wyjścia, jak jechać dalej. Pamiętam hałas wycieraczek na przedniej szybie. Siedziałam między ciotką Fioną a Alanem. Poza nami nie było na drodze żywej duszy. Alan oparł głowę na moim ramieniu i zasnął. Dzięki mapie pilotowałem ciotkę. Dużo wtedy rozmawialiśmy. Ciotka ma teraz szkółkę leśną w New Hampshire, niedaleko brata. Jechaliśmy jeszcze co najmniej dwie godziny w poszukiwaniu jakiegoś sympatycznego miejsca na odpoczynek. W końcu ciotka zatrzymała się przy wyjeździe z ostatniego miasta. Tej nocy niewiele spałem. Alan i Fiona chrapali, brat wbijał mi przy tym łokieć w plecy lub żołądek. O świcie wyszedłem z samochodu. Wokół

parkingu rosły wysokie drzewa. Pod stopami słyszałem chrzęst mokrego żwiru. Tego ranka zjedliśmy śniadanie w naleśnikarni.

Zaserwowano nam górę naleśników z truskawkami i bitą śmietaną. Potem wyruszyliśmy na nowo w drogę i znów jechaliśmy cały dzień.

Mirna otworzyła oczy. Spojrzeli na siebie.

- Nabrałam ochoty, aby też zobaczyć ten krajobraz. James Allen zbliżył dłoń do twarzy dziewczyny:

- Może wybralibyśmy się tam razem? - zasugerował muskając końcami palców jej policzek.

Mirna chwyciła go za rękę.

- Zapraszasz mnie?

- Do wspólnej podróży? Z przyjemnością.

Pochylili się ku sobie, aby się pocałować. Pierwszy pocałunek. Spojrzeli na siebie ponownie. Dwoje oczu czarnych i dwoje niebieskich. Mirna usiadła normalnie i zbliżyła się do Jamesa Allena, aby go objąć. Drugi pocałunek. Nad ich głowami gęste, atramentowe chmury zasłoniły słońce. Nagła ulewa rozproszyła bawiące się w piasku dzieci i ich gawędzących ze sobą rodziców. Deszcz uczcił trzeci pocałunek Jamesa Allena i Mirny.

Wśród burzy skrzydlatych oklasków dwa zainteresowane Kupidyny - ten Lilian i ten Mirny - w najwyższej ekstazie rzuciły się sobie w ramiona.

- Najpiękniejsze chwile w moim życiu zawsze podlewane są deszczem - wyszeptała Mirna, delektując się smakiem pocałunków Jamesa Allena.

A on zdjął marynarkę i zarzucił im na głowy, aby ochronić ich trochę przed deszczem.

- Wcale mi to nie przeszkadza. A poza tym spójrz: jesteśmy sami, skwer jest wyłącznie nasz.

Hm, hm...

- Zupełnie jakbyśmy stali na dziobie zielonego okrętu niosącego nas w podróż po mglistych odmętach.

- W daleką, spokojną podróż w ciszy.

- Mam przyjaciółkę, która mieszka na barce. Kiedy śpię u niej, słyszę pluskanie wody. Ale jeśli dodać do tego skrzywienie i chrobotanie, nie działa to usypiająco. Nie śpię tam dobrze.

- Mirna... - wyszeptał James Allen, całując ją na nowo.

Ale nie było to łatwe, bo trzymał jednocześnie rozpostartą marynarkę nad ich głowami, szczególnie że deszczowi towarzyszył wiatr. Materiał wyśliznął mu się z dłoni, marynarka upadła za ławkę i zmoczyła się zupełnie. James Allen ujął twarz dziewczyny i odkleił jej od policzków czarne, mokre loki.

- Jesteś taka śliczna. Od wernisażowego wieczoru myślę o tobie bez przerwy. Marzę o tobie, a kiedy pracuję, też cię widzę. Dziękuję, że zadzwoniłaś.

Mirna dotknęła palcami nadgarstków Jamesa Allena i pogłaskała je od wewnętrznej, aksamitnej strony. Ona też ujęła w dłonie jego twarz:

- Jakie to szczęście, że jesteś jednocześnie taki piękny i piękna - rzekła zagłębiając spojrzenie w oczach drżącego Jamesa Allena.

Zaczerwienił się. Wyszwolecił się z jej objęć. Uciekł spojrzeniem w stronę rzeki, po której płynęły belki drzewa.

- Spójrz na mnie. Nie złość się. Naprawdę tak myślę. Proszę, spójrz na mnie.

Metoda Kupidyna Mirny sprowadzała się do czterech słów: muzyka spojrzeń, pieśń dotyków.

James Allen odwrócił się w stronę Mirny. Uśmiechała się do niego w strugach deszczu. Chwyciła go za dłonie, podniosła je do ust.

- Zauważyłam cię, jak tylko pojawiłeś się w galerii. Byłeś taki elegancki, serdeczny, a jednocześnie z dystansem. Z niezwykłą gracją piłeś wino, trzymając delikatnie kieliszek między kciukiem a palcem wskazującym. Niezwykle swobodny wśród całego tego tłumu. Wyjątkowy. Pożerałam cię wzrokiem, a ty niczego nie zauważyłeś.

James Allen z zaskoczeniem dowiedział się, że to Mirna zauważyła go pierwsza.

- Zastanawiałam się, co zrobić, jak do ciebie podejść. A potem dostrzegła cię Carlotta. Pozieleniałam z zazdrości. Ona jest urocza i uwodzicielska. A ja chciałam, żebyś był mój. I tu pojawił się problem. Zawsze wolałam dziewczyny. Nigdy nie pociągał mnie żaden chłopak. Pierwszy raz zakochałam się w liceum. W profesorce francuskiego. Młodziutkiej nauczycielce, która właśnie zaczynała karierę w szkole, rudej, zielonookiej, z piegami na policzkach i ramionach. Często ubierała się na czerwono. Bardzo jej było z tym do twarzy. Nie wiedziałam, co mam zrobić, myślałam o niej bez przerwy. Zwierzyłam się przyjaciółce. Nie skrytykowała mnie, powiedziała

tylko, że może byłoby lepiej, gdybym poznała jakąś dziewczynę w moim wieku. Że profesorka pozostaje profesorką. Pisałam do niej listy, których nigdy nie wysłałam. Po wakacjach odeszła do innej szkoły, minęło sześć miesięcy zanim się otrząsnęłam. Po maturze miałam kilka przygód. Wielką miłość ze Szwedką, cztery lata temu... - skrzywiła się, wstrząsając ramionami, jakby miała dreszcze. - Skończyło to się źle. Cierpiałam potem. Myślałam, że już nigdy nikogo nie spotkam i wtedy, jak za dotknięciem czarodziejskiej pałeczki, pojawiłeś się ty. Dyskretny, urokliwy. Twoje spojrzenie spotkało się z moim i nie mogłam zrozumieć, co się ze mną dzieje. Pomyślałam sobie, że w końcu zakochałam się w chłopaku i przeraziło mnie to.

Nikt nie dorównywał Kupidynowi Mirny w wywoływaniu wzajemnej Miłości od pierwszego wejrzenia. Ustawiał swego podopiecznego na torze przeznaczonej mu strzały i jednocześnie strzelał z łuku w kierunku, skąd nadchodziło miłosne zagrożenie. Przelatujące obok siebie w przeciwnych kierunkach strzały muskały się w locie, pieczętując w ten sposób przymierze korzystnych prądów i wibracji, by przekształcić je potem w nierozzerwalny związek.

- To niesamowite - kontynuowała Mirna. - Nigdy nie pociągali mnie mężczyźni. Zadawałam więc sobie mnóstwo pytań. To, co do ciebie poczułam, podważało to, czym byłam i czym żyłam do tej pory. A potem wpadłeś do Popadom. Nie spodziewałam się tego. Zauroczyłeś mamę. Namawiała mnie do spotkania z tobą, powiedziała, że niepotrzebnie się zastanawiam, bo serce nigdy się nie myli, a pozory są często złudne. Pogadałam z koleżanką, Dafne, tą, która dostała kosza, no i bez przerwy o tobie myślałam. Chciałam się z tobą zobaczyć, ale bałam się tego. Dziś rano zdecydowałam się. Zadzwoiłam i wtedy właśnie zaczęłam mieć wątpliwości na twój temat. Przez telefon masz inny, dużo bardziej kobiecy głos. Obserwowałam cię całe popołudnie. Pomyślałam, że ktoś, kto tak bardzo mi się podoba, musi być kobietą. Kiedy coś opowiadasz, nie zawsze mówisz jak mężczyzna. Zapominasz o swojej męskości i o tym, co ona oznacza. Jesteś dla mnie rodzaju żeńskiego. Sposób, w jaki się śmiejesz, liziesz lody. Szłam koło ciebie i myślałam sobie: James Allen nie jest mężczyzną, nie może być mężczyzną ktoś, z kim czuję się tak dobrze. Kiedy opowiadałeś o podróży do San Francisco i Chicago, powiedziałeś „siedziałam między bratem a ciotką”.

Natychmiast pomyślałam: oho, to na pewno kobieta. Nie pomyliłam się, prawda? James Allen jest kobietą...

W czasie długiego przemówienia Mirny przestało padać i cudowne, zachodzące, zimowe słońce skłaniało głowę do snu.

- Tak, jestem kobietą - przyznał ze smutkiem James Allen.

- Co nie przeszkadza, że wszyscy uważają cię za mężczyznę - wykrzyknęła Mirna. - Jeśli wolisz zachować męską aparycję, dla mnie to żaden problem. Nikt nie musi o tym wiedzieć. Będzie to naszą tajemnicą.

- Nie przeszkadza ci to?

- Nie. Podobasz mi się taka, jaka jesteś. I nawet jeśli naprawdę nazywasz się inaczej, nie musisz mi tego zdradzać. Dla mnie jesteś James Allen.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie pewna.

Mirna uśmiechnęła się. Palcami odrzuciła włosy do tyłu. Spojrzała na zegarek. Była już prawie siódma i matka czekała na nią z kolacją. Nadszedł czas rozstania. Wstała, podczas kiedy James Allen schylił się, aby podnieść marynarkę z ławki. Nagle Mirna kichnęła.

- Na zdrowie - rzekł James Allen.

Zacząła kichać na dobre. Za każdym razem James Allen powtarzał to samo. Po szóstym razie wybuchnęły śmiechem.

Trzymając się za ręce przeszły przez usiany kałużami skwer. Mirna podniosła zapomnianą przez jakieś dziecko czerwoną łopatkę i położyła ją na ławce, James Allen wydobyła z błota piłkę i zrobiła to samo. Turyści zsiadali ze statku, który właśnie przycumował. Weszły po schodach wraz z grupą rozmawiającą w niezrozumiałym dla nich obu języku. Zapanowała między nimi cisza, spokojna cisza, jaka następuje zwykle po wypowiedzeniu ważnych słów. Tak wiele zostało powiedziane. Każda z nich potrzebowała teraz w samotności zastanowić się nad tym, co się między nimi wydarzyło.

Po tym pierwszym udanym spotkaniu Kupidyn Lilian uznał, że spełnił misję: jego strzała, jak każdy mógł to stwierdzić, osiągnęła swój cel, miłość zaczerwieniła policzki, serca zagrały w rytmie djembe, dusze połączyły się i mimo deszczu zapanowała w nich radość. Spieszyło mu się do powrotu do sztuki, do zmysłowego piękna i do rozkoszy lenistwa i w takim właśnie stanie ducha stawił się przed Dostojnikami Bractwa Kupidynów.

Miał bardzo małe doświadczenie w kwestii ludzkiej miłości. Koledzy przypomnieli mu kilka podstawowych zasad. Wśród nich była absolutna konieczność kilkutygodniowego czuwania nad rozwojem rozbudzonych celnym strzałem uczuć w celu ewentualnego odsuwania przeszkód bardzo często piętrzących się przed świeżymi kochankami.

Rozdział 16

Na zewnątrz, wśród drutów elektrycznych szumiał wiatr. Wewnątrz białego domu, na kanapie przy kominku siedziała naburmuszona Deirdre, współlokatorka Patricka, z którą ten po raz setny pokłócił się o zakupy. Nie mogła zrozumieć, dlaczego wymagał od jej chłopaka Seana, który przebywał tu co najmniej cztery dni w tygodniu, w tym również w weekend, aby ten dzielił z nimi wydatki domowe, dokładał się do opału, mleka, piwa i płacił część czynszu.

Nastąpiła tak ciężka cisza, że Patrick wyszedł na chwilę przed zapadnięciem nocy. Sprawdził, czy dobrze zamknął samochód, a potem z rękami w kieszeniach czerwonej kurtki ruszył w stronę plaży. Zimą o tej porze nie było tu żywego ducha. Żadnego zaparkowanego nad brzegiem auta. W niedzielne popołudnia mieszkańcy najczęściej gromadzili się w pubie, gdzie popijali whisky lub grzane porto, zagryzając je chipsami lub słonymi orzeszkami, podczas gdy dzieciaki bawiły się w kotka i myszkę pod stołami.

Patrick szedł ścieżką wśród ostrej trawy. W dali fale oddawały ziemi odwieczny i huczący hołd. Zatrzymał wzrok na esach floresach, które odpływająca woda żłobiła w mokrym piasku. Lekko pomarańczowa poświata zachodzącego słońca paliła się na horyzoncie.

Nie wiedział, czy Hanif dostał jego list. Czy go przeczytał? Czy mu odpowie? Przez całą słotną zimę zastanawiał się nad wzięciem bezpłatnego urlopu, co najmniej sześciomiesięcznego, aby spędzić go z Hanifem w Paryżu. Wszczął nawet w tym celu przygotowania, uprzedził wstępnie dziekana. Miał wprawdzie bardzo skromne oszczędności na koncie, ale mógłby zaoszczędzić na czynszu, wydawać jak najmniej, udzielać lekcji angielskiego. Co do rugby, znalazł w internecie kilka klubów zainteresowanych jego kompetencjami w tej dziedzinie. Tak naprawdę brakowało tylko zgody Hanifa.

Korespondencja między nadmorską miejscowością na północ od Ulster a stolicą Francji nie odznaczała się szczególną regularnością, przypominała autobusy kursujące po tym zielonym, mglistym kraju. Kiedy studiował na Univeristy College w Dublinie, jeden z profesorów żartobliwie powiedział jakiemuś studentowi z zagranicy, że najznamienszym dziełem irlandzkiej fikcji jest rozkład jazdy autobusów, które nigdy nie przyjeżdżają o wyznaczonej godzinie.

Poczta też nie ręczyła za terminy. Niekiedy list wysłany w Portstewart po trzech dniach czekał już w skrzynce Hanifa, a innym razem korespondencja docierała dopiero po dwóch tygodniach, przy czym nie sygnalizowano burzy ani na morzu, ani w powietrzu. Kartki pocztowe z Francji dochodziły do adresata dopiero po kilku tygodniach, mimo że w tym kraju autobusy i pociągi odjeżdżały punktualnie. W dobie Internetu obaj mieli do dyspozycji korespondencję mailową. Ale ta forma dialogu, jak również rozmowy telefoniczne, dostarczały im więcej frustracji niż przyjemności. Podkreślały tylko beznadziejność sytuacji i rozłąkę, która ich unieszczęśliwiała.

Woleli tradycyjną wymianę listów. Przyjemniej było trzymać w palcach kopertę z wiadomością od ukochanej osoby, dotknąć wykaligrafowanych na papierze słów, zastanowić się nad nimi, nad charakterem pisma, nad wahaniami i skreśleniami. Patrick schował w portfelu dwa złożone w czworo listy Hanifa. Często rozkładał je i czytał na nowo niczym fetyszysta. Nie zniósłby, gdyby zginęły.

Swój ostatni list wysłał poleconym, chciał być pewien, że dojdzie. Prosił w nim Hanifa o telefon, aby przedyskutować decyzję przyjazdu; chciał wiedzieć, jak przyjaciel zapatruje się na próbę wspólnego życia i czy warto zamienić chmury, wiatr, morskie fale i plażę na miejskie światła i hałas. List pewnie już doszedł. Wysłał go dziesięć dni temu. Pójdzie jutro sprawdzić na pocztę.

Ostry nocny chłód przedostał się przez kurtkę i gruby sweter. Patrick zadrzał z zimna. Perspektywa kolacji w towarzystwie skrzywionej Deirdre skłoniła go do udania się do pubu. Kufel Guinnessa, gra w lotki i weekendowe sprawozdanie sportowe pomogły mu spędzić w miarę spokojny wieczór.

Rozdział 17

Mirna zjawiała się u matki prawie punktualnie, przyniosła bukiet żonkili.

- Z podziękowaniami - rzekła, zawieszając kurtkę na wieszaku w malutkim przedpokoju. Poszła za matką do kuchni i nie mogła oprzeć się pokusie spróbowania dosai - placków z pszennej mąki i mielonego suchego grochu - z jej ulubionym, gęstym sosem z soczewicy. Czekając na Hanifa i Dalila, zaserwowały sobie kir (Tradycyjny francuski aperitif z białego wina z dodatkiem likieru owocowego (z czarnej porzeczki, jeżyn, malin, rzadziej z brzoskwiń)). Przygotowując warzywa, Pimmi starała dowiedzieć się, z jakiego powodu dostała kwiaty od córki. Nie przyszło jej to łatwo, bowiem Mirna bywała bardzo skryta.

Wiadomość o tym, że córka poszła za jej radą i spędziła popołudnie w towarzystwie uroczego (jak sama go określiła) Jamesa Allena, była jak promień słońca w jej malutkiej, ciemnej kuchni. Poza tym młodzi najwyraźniej doskonale się rozumieli.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę - powiedziała Pimmi opłukując ręce. - Od dawna miałam nadzieję, że spotkasz kogoś, kto pozwoli ci zapomnieć o tej Liselotte!

- Mamo, proszę cię, przestań. Zerwałyśmy, ale Liselotte na zawsze pozostanie moją pierwszą miłością. Nigdy o niej nie zapomnę.

- Skrzywdziła cię i nigdy jej tego nie zapomnę - odparła zazwyczaj wyrozumiała Pimmi ostrym tonem. - Nigdy jej nie lubiłam i wiedziałam od razu, że nie jest odpowiednią dla ciebie osobą.

- Wiem już o tym. Powtarzałaś mi to wielokrotnie. Nie chce mi się rozmawiać na ten temat właśnie dzisiaj. Historia z Liselotte jest zakończona.

- A z Jamesem Allenem właśnie się zaczyna.

- Na razie spędziliśmy razem tylko jedno popołudnie, mamusiu - rzekła czule Mirna, otaczając ramionami niższą od niej o głowę matkę. - Nie wyobrażaj sobie za wiele, dobrze? To spotkanie nic nie zmieniło. Nadal jestem kobietą i wolę kobiety.

- Oh, przecież wiem - uśmiechnęła się z nostalgią Pimmi. - Wiem, że mam nikłe szanse na wnuki. Wiem, że wolisz dziewczyny i że twój brat woli facetów. Wiem to wszystko i to, co w związku z tym czuję i co o tym myślę, to mój problem, a nie wasz. Ale jesteś moją córką i mam prawo uważać, że zasługujesz na poznanie kogoś

wartościowego, kogoś, kto zapali ci gwiazdy w oczach i zabarwi rumieńcem policzki - dopiła jednym haustem kieliszek. - Chcę, żebyś była po prostu szczęśliwa.

Mirna szepnęła ze ściśniętym gardłem:

- Mamo...

- Ja naprawdę myślę, że James Allen może uczynić cię szczęśliwą. Ma wiele zalet.

- Pożyjemy, zobaczymy... Obiecał wpaść do Popadom w czwartek, aby osobiście upoważnić cię do propagowania jego przepisu na lassi.

Rozległy się dwa krótkie dzwonki.

- Pójdę otworzyć - oznajmiła Mirna. Odwróciła się w stronę matki, kładąc wskazujący palec na ustach.

- Nic im nie powiesz a propos Jamesa Allena i mnie?

- Obiecuję. No idź już otworzyć, jestem pewna, że się niecierpliwią. Wiesz, jacy są...

Na nieszczęście dla Mirny rozmowa przy stole szybko przeszła z plotek o sąsiadach i rodzinie na amerykańskiego artystę spotkanego na wernisażu. W przeddzień złożył wizytę w galerii Dalila, aby pokazać mu jedyną wazę przywiezioną do Paryża i zdjęcia swoich innych ceramicznych rzeźb. Z łakomym wyrazem twarzy Dalil opisywał zmysłowość ich form. Oczarowany, chciał wystawić tego niezwykłego artystę. Namawiał wszystkich do wizyty w galerii, aby podziwiali eksponat, który młody człowiek zgodził się mu powierzyć i który króluje teraz w niszy zarezerwowanej dla nowości artystycznych.

Mirna słuchała jednym uchem, a w duchu wspominała popołudnie spędzone z Jamesem Allenem, jego chropowate jak skórka kiwi palce głaszczące ją w deszczu i myślała o zakochanym podnieceniu, które ogarnęło ją w chwili wymiany pocałunków.

Podając półmisek z dosai, Dalil zrobił aluzję do enigmatycznego zakończenia wczorajszego wieczoru; z udanym wyczerpaniem Hanif pokiwał głową i piękny Amerykanin ponownie znalazł się w centrum rozmowy. Hanif przyznał, że młodzieniec jest fascynujący, co potwierdziło obawy Mirny z wernisażu.

A przecież Hanif mógł stwierdzić bez wahania, że James Allen nie jest w jego typie. Gdyby zrobić listę jego byłych chłopaków i dorzucić do niej tych, których tylko starał się poderwać, nieśmiały

Amerykanin nie pasował do żadnej kategorii. Ale był uroczy... Wczoraj wieczorem wydał się Hanifowi jeszcze bardziej pociągający niż za pierwszym razem.

Kręcąc głową, Dalil kpił sobie dobrotliwie z przyjaciela i opowiedział, jak to James Allen oparł się jego uwodzicielskiej, magnetycznej mocy. Obserwując córkę kątem oka, Pimmi chciała dowiedzieć się czegoś więcej. Co tak naprawdę się wydarzyło?

- Dalil przedstawił nas sobie, a James Allen w ogóle mnie nie rozpoznał - wyjaśnił Hanif. - Od tak dawna staracie się mnie przekonać, że Carlotta nikogo nie zmyli, więc myślałem, że natychmiast zrozumie, kim jestem.

- Krępowano cię to? - spytała Mirna.

- Nie. Ale nie miałem ochoty oświadczyć mu ni stąd, ni zowąd, że Carlotta to ja.

- Dlaczego? Zazwyczaj tak robisz.

- Mirna, wiesz dobrze, że niektórzy mężczyźni nie lubią transwestytów.

- I myślisz, że James Allen należy do tej kategorii?

- Sam nie wiem... Ale wczoraj coś mu przeszkadzało. Nie czuł się swobodnie. Więc gdybym powiedział mu, że Carlotta i ja to ta sama osoba...

- Może wyczuł, że nie jesteś sobą - zasugerowała lekko kpiącym tonem Mirna, a matka i Dalil spojrzeli na nią badawczo. - Nigdy nie wiadomo, być może to właśnie dlatego nie udało ci się go uwieść. Bo tak właśnie się stało, nieprawdaż? Nie wyszedł z tobą?

- Nie - Hanif nie mógł ukryć zakłopotania. - Zostawił mnie na środku parkietu i uciekł.

- Biedny Hanif! Zdarzyło ci się to chyba po raz pierwszy... - drażniła się z nim uspokojona w głębi duszy Mirna.

Niewyjaśniony powód ucieczki Jamesa Allena pozostał jednak tajemnicą. Dalil twierdził, że chłopak nie chce się pogodzić ze swoją homoseksualnością. Rozgniony Hanif starał się kilkakrotnie do niego zadzwonić w ciągu dnia. Bez rezultatu.

Mirna poradziła bratu zapomnieć, najwyraźniej facet nie był zainteresowany. Aby uniknąć osobistych pytań, zapytała Dalila, czy zastanowił się nad jej propozycją. Objęła spojrzeniem matkę i brata, wyjaśniając, o co chodzi: Popadom & Co zapewni gastronomiczne zaplecze wernisażów, aby nadać galerii większy prestiż. Pomysł

spotkał się z entuzjazmem Hanifa. Dalil, nie do końca przekonany do tego przedsięwzięcia, nadal się zastanawiał. Obawiał się, aby kunszt kulinarny Mirny i Pimmi nie przyćmił talentu eksponowanych artystów. Mirna, mimo że rozumiała stanowisko Dalila, który zaproponował powrót do tematu za rok czy dwa, poczuła się bardzo zawiedziona. Wstała, aby posprzątać ze stołu. Zniosła talerze do kuchni. Rozmyślała o Jamesie Allenie. Przy wejściu do metra przyjaciółka powiedziała jej, że idzie na kolację z Gheorghe. Pozazdrościła rumuńskiemu artyście mieszkającemu w studio obok Amerykanina. Mógł go widzieć, kiedy chciał, podczas gdy ona musiała czekać do czwartku. Inaczej mówiąc - wieczność.

- Zrobimy chai do deseru - powiedziała Pimmi wchodząc do kuchni i wrywając tym samym córkę z rozmyślań.

- Czy możesz nastawić wodę i mleko? Będziesz chyba musiała powiedzieć o Jamesie Allenie bratu.

- Wiem...

- Myślałam, że kocha się w Irlandczyku.

- Bo tak jest.

- Ale wyglądał na zadurzonego w Jamesie Allenie, kiedy opowiadał o nim przed chwilą.

- Patrick mieszka w Irlandii, a Hanif we Francji. Dopóki nie zdecydują, który z nich przyjedzie do drugiego, nie będą szczęśliwi i ciągle będą szukać przygód. Wiesz, jacy są mężczyźni... Tego rodzaju skok w bok nic nie znaczy.

- Pewnie pomyślisz, że jestem starej daty, ale naprawdę tego nie rozumiem. Nigdy nie mogłam się z tym pogodzić. Zresztą to właśnie dlatego rozstałam się z waszym ojcem. Nie akceptowałam innych kobiet w jego życiu.

- Póki co Patrick i Hanif nie żyją razem. Sytuacja jest trochę inna.

- Ciągle gadu gadu... - wykrzyknął pojawiający się w drzwiach Hanif. - To nie do wiary. Widzicie się codziennie, pracujecie razem, a mimo to musicie uciekać w niedzielny wieczór do kuchni, żeby opowiadać sobie jakieś sekrety!

- Rozmawialiśmy o tobie i twoich przygodach miłosnych - rzekła Mirna, czule klepiąc brata po policzku. - Mama się martwi.

- Mamo... - Hanif cmoknął matkę. - Nie martw się...

- Jestem twoją matką więc to oczywiste, że się niepokoję. Chciałabym, żebyście byli w życiu szczęśliwi.

- Ależ jesteście...

Stwierdzenie to nie przekonało Pimmi, ale nie chciała psuć wieczoru i udała, że wierzy.

Zarząd Bractwa Kupidynów, zażenowanych i wściekłych z powodu lekceważącego stosunku Kupidyna Lilian do miłości, wezwał go do złożenia wyjaśnień. Musiał jakoś załagodzić sytuację, w której znaleźli się podopieczni jego kolegów po fachu z powodu Lilian.

Kupidyn Mirny nie zgłaszał pretensji. Na efekt Zakochania od Pierwszego Wejrzenia trzeba było wprawdzie trochę poczekać, zauważył jednak, że Strumień słodkich wzruszeń bez żadnych przeszkód dotarł do Kaskady pierwszych pocałunków; bez wątpienia zresztą wpłynie wkrótce w meandry Rzeki namiętności. Z optymizmem zatem czekał na mający wszelkie szanse komplikacji rozwój wydarzeń.

Co do Kupidyna Hanifa, tradycjonalisty, absolutnie nie pochwalał on incydentu ze strzałą wypuszczoną przypadkowo prosto w serce jego podopiecznego.

Od dawna robił wszystko w imię Wielkiej Miłości (tej z dużym W i dużym M), której Przeszkoda odległości utrudniała rozwinięcie skrzydeł. Działał tutaj w absolutnej harmonii z Kupidynem Patricka. Ci dwaj Kupidynowie wiedzieli, że ich podopieczni są sobie przeznaczeni. Ich zgodne ze sobą serca zdolne były zgotować wspaniały koktajl uczuć. Aby skonkretyzować związek, aby odnaleźć się i wspólnie cieszyć, Hanif i Patrick musieli przebrnąć przez wiele stromych dróg pełnych zakrętasów i ślepych zaułków, inaczej mówiąc słynny Labirynt miłości.

Podczas gdy Patrick planował spędzenie kilku miesięcy z Hanifem w Paryżu, Hanif poważnie zastanawiał się nad zrobieniem mu niespodzianki i wyjazdem do Irlandii na dłużej. Dokładnie w chwili, kiedy obydwaj niezdecydowani kochankowie zrozumieli wreszcie, jak mato ważne jest dla nich miejsce, w jakim żyją, jedna ze strzał Kupidyna Lilian trafiła Hanifa w lewą komorę serca, powodując Zauroczenie Jamesem Allenem.

Zdezorientowany tym niewiarygodnym i niewyobrażalnym odwróceniem sytuacji Kupidyn Patricka stracił apetyt. Jego wrodzona dobrotliwość stopiła się w kałużę uszczypliwości. A sąsiedzi z

pobliskich chmur mogli mu tylko współczuć, bowiem jakakolwiek interwencja była w takich sytuacjach zabroniona. Zresztą to właśnie uczucie bezsilności sprawiało, że na dłuższą metę życie Kupidyna stawało się tak ciężkie do zniesienia: kiedy strzała wbiła się w serce, jakakolwiek późniejsza ingerencja stawała się niemożliwa.

Dla istot tak głęboko oddanych Miłości zakaz ten bywał czasami bardzo bolesny.

Rozdział 18

Przez następnych kilka dni rozterki i przygnębienie ogarnęły wszystkich oprócz Mirny i Jamesa Allena. Bez ceregieli dzwoniły do siebie bez przerwy, by napawać się wzajemnie swoimi głosami. Rozmawiały o niedzielnym popołudniu, o miłym spacerze, o deszczu, który poskręcał im loki na głowie i zniszczył fryzury. Odkryły, że mają urodziny tego samego dnia, ale nie tego samego miesiąca - Lilian 18 lipca, a Mirna 18 listopada. Obie uwielbiały saksofon, książki Banana Yoshimoto i Dorothy Allison, poranne wylegiwanie się w łóżku, Merce Cunninghama i Pinę Bausch. Przedkładały bułeczki z rodzynkami nad croissanty, czerwoną soczewicę nad zieloną, a zimą zakładały na noc skarpetki.

Rozmawiały o samotności ludzi z obrazów Hoppera, o alienacji mnichów z chińskich malowideł i ich zaledwie widocznych wśród gór i drzew postaciach. James Allen zaproponowała Mirnie wspólne niedzielne wyjście do Muzeum Guimet. Ona sama była już tam kiedyś, ale chętnie zwiedzi je jeszcze raz. Wśród białych ścian, w spokojnych widnych salach wyeksponowane zostały głowy Buddy, delikatne chińskie figurki z gliny, sztychy Hiroshige przedstawiające skąpane w deszczu pejzaże.

Mirna nie chciała być dłużna i podzieliła się z przyjaciółką swoją pasją filmową, obiecała też zaprosić ją przy najbliższej okazji do słynnego kina la Pagode (Kino paryskie mieszczące się w 7. dzielnicy, zaprojektowane przez architekta Alexandra Marcela w 1895 roku o kształcie japońskiej świątyni, zaskakujące wśród wznoszących się wokół kamienic w stylu Haussmanna.

Program tego kina również odstaje od standardów - wyświetlane tam są filmy ambitne i eksperymentalne.). James Allen bardzo lubiła stare kino. Długo dyskutowały na temat roli Blanche Dubois w filmie „Tramwaj zwany pożądaniem”. Postać patetyczna i wzruszająca, dużo bardziej interesująca niż rola Kowalskiego. I znacznie bardziej sugestywna. Tego wieczoru wspólnie doszły do wniosku, że kobieta jest wolna wtedy, kiedy może żyć tak, jak chce i ani ocena innych, ani presja społeczeństwa nie są w stanie zmusić jej do zmiany wyboru. Nie musi mieć dzieci, jeśli tego nie pragnie, może żyć samotnie i poświęcić się karierze, wszystko jedno jakiej - cukierniczej, inżynierskiej czy artystycznej - lub żyć z kimś bez ślubu, nawet z inną kobietą, puszczać się, kiedy chce i z kim chce, albo poświęcić się

rodzinie i dzieciom. I nic sobie nie robić z męskich spojrzeń, osądów i konwenansów, zgodnie z którymi największą wartością kobiety jest jej cnota.

Kołysany szeptem zakochanych Kupidyn Lilian rozmarzył się, obserwując kontury łączących się w ulotne puzzle chmur.

We wtorkowy późny wieczór Mirna zatelefonowała do Jamesa Allena z propozycją wycieczki do Wersalu następnego dnia rano. Pojadą Vespą, zwiedzą pałac i park, pójdą na obiad i w ten sposób spędzą cały dzień razem. James Allen zaakceptowała ten plan bez wahania. Mirna nigdy nie była w okazałej posiadłości Ludwika XIV, jakoś brakowało okazji. Ale знаła wiele fragmentów jego życia z powieści Alexandra Dumas, które czytała w college'u. Mimo entuzjazmu przyjaciółki osaczyły ją wątpliwości: a jeśli James Allen, tak jak Liselotte, uzna ją za ignorantkę i nie zniesie jej braku wiedzy?

Powróciły przykre wspomnienia i odebrały jej sen. Wielokrotnie zdarzało się, że Liselotte wprowadzała ją w duże zakłopotanie, kiedy w czasie przyjacielskich spotkań, najczęściej w towarzystwie Dalila i Hanifa, z rozbawieniem i pobłażliwością - był to jej sposób na krytykowanie, co na początku bardzo bawiło Mirnę - powtarzała jej naiwne pytania i niektóre komentarze na temat wspólnie obejrzonej wystawy. Edukacja artystyczna, której chciała udzielić jej Liselotte, skończyła się fiaskiem, bowiem Mirna okazała się hermetyczna na wszystko, co związane jest ze sztuką.

Koszmary wypełniły jej prawie bezsenną noc. Rano zaś walczyła z chęcią odłożenia wycieczki na inny dzień. Kiedy pojawiła się pod Cite des Arts, na ulicy de l'Hotel - de - Ville, niepokój wiercił się po jej żołądku niczym kolczasty jeż. James Allen czekała na nią z plecakiem i niepewnym uśmiechem. Z zakłopotanym wyrazem twarzy przyznała się, że niepokoiła ją nieco podróż na dwóch kółkach skutera - do tej pory z dwukołowych pojazdów znała tylko rower. Mirna zaproponowała jej jazdę próbną. Jeśli nie wypali, pojadą RER'em (RER - sieć kolejowa w aglomeracji Paryża).

Okazało się to zbędne. James Allen szybko oswoiła się z nieznanym jej dotychczas środkiem lokomocji, szczególnie że pozwalał jej na objęcie Mirny i przytulenie się do niej.

Po przybyciu do Wersalu Mirna odkryła niezwykle talent przyjaciółki do opowieści z życia pałacu zaczerpniętych z licznych lektur. Początkowo onieśmielona, szybko oswoiła się i

rozentuzjasmowała ciekawostkami historycznymi, które tchnęły życie w miejsce, w architekturę i ośmieliła się pytać.

James Allen wspomniała kiedyś o swojej pasji do roślin, będących dla niej źródłem marzeń i ukojenia, więc Mirna zaproponowała wyjazd do Giverny (Miasteczko w Górnej Normandii, około 60 km na północ od Paryża, w którym tworzył i zmarł Claude Monet. Po artyście pozostał piękny dom i ogród, chętnie zwiedzany przez turystów.) w jakiś słoneczny weekend. Tymczasem setki ogrodów czekało na nie w Paryżu: tych, po których się spacerowało, i tych dużo bardziej oryginalnych, które Mirna nazwała ogrodowymi oknami. Wystarczyło podnieść głowę i podziwiać. Niektórym Paryżanom udawało się wyhodować prawdziwe cuda na ograniczonym skrawku parapetu okna lub małego tarasu: pyszniły się na nich typowe balkonowe girlandy bluszczu i pelargonie, ale też forsycje, glicynie, wiciokrzewy, pomidory i truskawki, a na niektórych krzewy odporne na porywiste wiatry.

Mirna marzyła, aby sfotografować te okienne cacka, porozmawiać z mistrzami ogrodniczego kunsztu wyczarowującymi zawieszane w powietrzu ogrody i zrobić potem z tego książkę o przemijających porach roku. Zachwycona pomysłem James Allen zachęcała przyjaciółkę do realizacji projektu. A może wspomnieć o tym siostrze, która zajmuje się przecież fotografią? Oстрыm, zniecierpliwionym tonem Mirna zdecydowała, że projekt jest bez żadnej przyszłości. Daleko jej do pisarstwa i fotografii i z pewnością nie poprosi o pomoc Carlotty czy Hanifa.

Zaskoczona nagłą zmianą nastroju przyjaciółki James Allen nie nalegała. Zaproponowała wspólną kolację w swoim studiu, za wszelką cenę pragnęła przedłużyć ten miły dzień. Kupią sobie ravioli z ricottą i szpinakiem we włoskim sklepie na ulicy Buci, o którym mówił jej Gheorghe, i musujące, wytrawne wino lambrusco.

Mirna odrzuciła zaproszenie, wyrzucając sobie w duchu, że nie potrafi wyjaśnić Jamesowi Allenowi, co tak naprawdę ją gryzie. Jej odmowa stworzyła między nimi barierę, zabarwiając goryczą niedomówień uczucie, jakie między nimi zakwitło.

Ogrodowe alejki pustoszały powoli. Posuwistym, smutnym krokiem poszły w ślady ostatnich spacerowiczów.

Rozdział 19

Kiedy Patrick zatelefonował w czwartek koło południa, Hanif pił właśnie herbatę, siedząc przy stole w kuchni i przerzucając strony poświęcone kulturze w brytyjskim dzienniku „The Guardian”. Począł, aż włączy się automatyczna sekretarka. Nie odebrał, słysząc zawieszony głos i ostry akcent z Ulsteru. Patrick pytał, czy Hanif dostał list, uprzedził, że zadzwoni ponownie dopiero po dziesiątej, bo wieczorem ma trening rugby. Hanif może być dumny z niego, Toma, Stevena i innych - ekipa wygrała cztery mecze pod rząd. Mówił, że tęskni i że muszą porozmawiać. Kiedy odłożył słuchawkę, Hanif odsłuchał wiadomość dwa razy. Był mocno sfrustrowany odległością, jaka dzieliła go od oddalonego o nieskończone godziny pociągiem, statkiem lub samolotem kochanka, a jednocześnie dystans ten wydawał mu się w chwili obecnej konieczny. Wziął z etażerki w przedpokoju leżący tam od tygodnia nieodpieczętowany list i usiadł na kanapie. Otworzył kopertę z namaszczeniem i wyjął z niej złożoną na czworo kartkę zapisaną po obu stronach.

Mój drogi Hanifie,

Patrick pisał równiutkim maczkiem, każda linia unosiła się nieco do góry z prawej strony kartki. Zdaniem Mirny, która kiedyś, po odejściu z firmy ubezpieczeniowej, zamierzała zostać grafologiem, była to oznaka optymizmu życiowego. Aby nabrać doświadczenia w niełatwej dziedzinie, siostra oddawała się namiętnie badawczej analizie charakteru pisma najbliższych. Gdyby Liselotte, zamiast ją wtedy pograżać, popchnęła ku temu, Mirna z pewnością byłaby dziś grafologiem. W każdym razie interpretowała charakter pisma z niezwykłą dokładnością i finezją psychologiczną.

Liselotte nigdy nie zrozumiała, że pod płaszczykiem prowokacji i bezczelności ukrywała się bardzo wrażliwa Mirna. Sposób, w jaki ta landrynkowa blondyna traktowała jego siostrę publicznie, bardzo często oburzał Hanifa. I nie rozumiał, dlaczego matka, Dalil i Dafne przeszkodzili mu, kiedy chciał interweniować. Zgodnie twierdzili, że Liselotte i Mirna same powinny uporać się ze swoimi kłótniami, a Hanif nie ma prawa wtrącać się w życie pary, bo nic o tym nie wie, łajdaczy się na prawo i lewo i nie ma najmniejszego zamiaru się ustabilizować.

Życie z Patrickiem nie pomogło mu zrozumieć, na czym polegają liczne związki jego siostry z innymi dziewczynami. Żadna jej nie

odpowiadała, żadna jej nie doceniała, a uparta i zawzięta Mirna nie chciała rozmawiać z nim o swoich miłosnych przygodach.

Być może mógłby jej coś poradzić, ale od kiedy związała się, a potem zerwała z Liselotte, nie zwierzała mu się tak często, jak kiedyś. Brakowało mu tych wynurzeń, szczególnie teraz, kiedy czuł się zagubiony i sam też chętnie znalazłby w siostrze powiernicę.

Czy Mirna umiałaby dziś wyczytać z jego pisma, z prostych lub pochylonych liter, z nabazgranych jak kura pazurem sylab, niepokój i niepewność jutra, które odczuwał? Czy umiałaby powiedzieć mu, co ma robić?

Hanif przeczytał to, co napisał do niego Patrick, i utopił wzrok w bladym paryskim niebie. Ten miłosny list przyniósł ze sobą zapach oceanu, wspomnienie długich spacerów przy prześwitującym zza chmur słońcu, mżący nieustannie deszcz, mewy, silny wiatr, w czasie którego obejmowali latarnie, aby nie dać się porwać; przyniósł również całusy od Patricka, wspomnienie jego śmiechu, miłości w deszczowe popołudnia, wspólnego przygotowywania kolacji, krokusów i żonkili, „Irish Times” przytrzymywanego kamieniami, żeby wiatr nie porwał gazety. Patrick zaanonsował mu decyzję o porzuceniu wszystkiego na rok, o pozostawieniu za sobą Północnej Irlandii i jej zawieszonych na nadmorskich skałach fortów i pubów i przyjeździe do niego.

A on od dwóch tygodni marzył o Jamesie Allenie.

Tego samego dnia, koło pierwszej, Justin zadzwonił do Lilian. Martwiło go, że historia z Tedem chyli się ku końcowi i szukał oparcia. Rozważali ewentualną podróż we dwoje. Justin pragnął za wszelką cenę wzmocnić więzy i zamierzał zabrać kochankę na tydzień do Paryża. Lilian tak bardzo pragnęła spotkania z przyjacielem, że nie odradzała mu tego. Kiedy dotarło do niej, że już od prawie godziny gada przez telefon, w pośpiechu zaczęła przygotowywać się do wyjścia: Mirna czekała na nią z obiadem w Popadom & Co. Ze słuchawką przy uchu włożyła marynarkę i sprawdziła swój wygląd w lustrze łazienki. Palcami poprawiła kosmyki włosów przylizanych żelem. Zanim odłożyła słuchawkę, Justin poprosił ją, aby w wolnej chwili znalazła mu tani hotel na drugi tydzień kwietnia.

Późnym wieczorem, Dalil, który właśnie porządkował papiery, postanowił zrobić sobie małą przerwę i poszukać w Internecie informacji na temat Jamesa Allena i wzbogacić tym samym bazę

danych poświęconą wystawianym przez niego artystom. Szukał, ale nie było ani śladu Jamesa Allena Steven - sona. Znalazł natomiast Alana Stevenzona, znanego malarza z Nowej Anglii, zaszytego gdzieś w New Hampshire, którego obrazy dostępne na stronie internetowej od razu mu się spodobały, i jego siostrę - bliźniaczkę, rzeźbiarkę parającą się ceramiką, zamieszkałą w Massachusetts, niedaleko Bostonu.

Zaintrygowany szperał dalej. Znalazł zdjęcie czerwonej wazy o krągłych kształtach, mocno podobnej do tej, którą wyeksponował w galerii. Trafił również na zdjęcie artystki. Stojąca obok cokołu z wazą młoda kobieta o półdługich włosach, ubrana w stylu hipisowskim w rozłożystą, sięgającą kostek spódnicę i w za duży sweter, z oczami ukrytymi za przeciwsłonecznymi okularami, uśmiechała się niepewnie. Dziewczyna dzierżyła niezdarnie w dłoniach tabliczkę z nazwiskiem Lilian Stevenson i pierwszą nagrodę za ceramikę w konkursie Akademii Sztuk Pięknych.

Dalil wydrukował fotografię i obserwował ją długo w ostrym świetle halogenowej żarówki. Twarz kameleona, niczym na trójwymiarowych pocztówkach, modnych kilka lat temu, gdzie widok zależał od kąta spojrzenia. Owal twarzy Lilian Stevenson, zapadnięte policzki Jamesa Allena. Fałszywego Jamesa Allena.

Zirytował go fakt, że nic nie zauważył - przecież zazwyczaj poznawał transwestytę rzuciwszy raz na niego okiem. Lilian Stevenson miała sporo tupetu. Sam nie mógł w to uwierzyć. Dziewczyna. Coś podobnego. James Allen to dziewczyna. Kobieta, która zniknęła całkowicie pod męską postacią.

W niczym nie przypominało to Hanifa, który wymyślił Carlottę na potrzeby kabaretu i przybierał postać ekscentrycznej starszej córki pani Sharma tylko od czasu do czasu, kiedy chciał sprowokować lub zaskoczyć innych. Albo kiedy umierał z nudów.

Dalil uśmiechnął się, wspominając zauroczenie przyjaciela Jamesem Allenem. Wobec tego odkrycia zachowanie Amerykanina w nocnym klubie stało się jasne. A tak naprawdę... jasne, ale nie do końca. Dziewczyna znalazła się w rajku dla sexy boys, miała na wyciągnięcie dłoni pierwszy sort niezwykle pociągających i uwodzicielskich tancerzy (wiedział coś o tym, nieźle sam musiał się natrudzić, aby coś złowić tego wieczoru) i nie poddała się czarowi.

Hanif z takim wdziękiem grał rolę tajemniczego księcia o aksamitnym spojrzeniu, a ona po prostu zwiła. Nie ośmieliła się pójść na całość.

W każdym razie była to zaskakująca historia. Dalil aż się palił z chęci opowiedzenia wszystkiego przyjacielowi. To całkiem niezły dowcip, ta przygoda Carlotty z Jamesem Allenem... Tak dobrze wszystkim znana, nieprawdopodobna i ekstrawagancka Carlotta, rozśmieszająca towarzystwo niestrudzonym splataniem i rozplataniem włosów, doprowadzająca słuchaczy do łez opowieściami o swoich nieszczęśliwych miłościach, któregoś marcowego wieczoru zakochała się na śmierć w równie nieprawdopodobnym i romantycznym Jamesie Allenie.

Tak. Podeszedł do telefonu, wykręcił numer Hanifa, odczekał dwa brzęki i nagle odłożył słuchawkę. Czyż powinien zdradzić to, o czym dowiedział się przypadkowo? Czy miał do tego prawo? Dalil spojrzał jeszcze raz na fotografię Lilian Stevenson. Przecież sam głosił wolność wszem i wobec. Nie mógł sprzeniewierzyć się samemu sobie w tak ważnej sprawie. Zgniół zdjęcie w kulkę i wrzucił je do kosza.

Rozdział 20

Lilian zaniedbywała pracę twórczą i zaczęła mieć z tego powodu wyrzuty sumienia. Nazajutrz po wycieczce do Wersalu spędziła cały dzień w Popadom & Co w zastępstwie pani Sharma. Pimmi udała się do fryzjera, bo wybierała się na pierwszą randkę z Włochem Giuseppe Goldino, właścicielem sklepu z przyborami do majsterkowania, mieszczącym się na rogu ulicy.

Spokój i opanowanie Jamesa Allena okazały się bardzo przydatne w chwili, kiedy restaurację zalała chmara azjatyckich turystów, przemarzniętych do szpiku kości po podróży autokarem bez ogrzewania (które zepsuło się już przy wyjeździe z Helsinek). Ćwierkający w niezrozumiałym języku turyści zawitali już drugi raz w tym miesiącu. Na ubraniach mieli emblemat w postaci niebieskiego żurawia na białym tle. Zżerana ciekawością Mirna bez trudu wypatrzyła odpowiedzialną za grupę, na plecach której widniał olbrzymi, haftowany, turkusowy ptak. Przedstawiła się i zapytała, co ich sprowadza do Popadom & Co.

Jeong Hyung - Kim, koreańska przewodniczka, która ledwo radziła sobie z francuskim i w rozbierającym sposób zastępowała brakujące słowa wybuchami śmiechu, z wielkiego plecaka upstrzonego mnóstwem poprzypinanych odznak wyciągnęła złożoną na trzy kartkę. Wyjaśniła, że pracuje dla Towarzystwa Przelotnych Ptaków. Stowarzyszenie to organizowało podróże dla mało zamożnych osób, głównie Azjatów, którzy przyjechali studiować w Europie i pragnęli poznać ziomków zamieszkałych w innych europejskich krajach, aby wymienić doświadczenia i nawiązać kontakty towarzyskie.

Mirna rozłożyła kartkę i zaskoczona stwierdziła, że dzięki niezawodności wyszukiwarki internetowej jej knajpka, ledwo widoczne ziarenko kurkumy w olbrzymim kotle paryskich lokali, znajduje się na trzecim miejscu listy najtańszych restauracji. Ze wzruszeniem odczytała krótki tekst: „Na obiad idźcie do Popadom & Co, niedaleko ulicy Daguerre, nie pożałujecie. Czekają tam na was różnorodne, obfite dania (na miejscu lub na wynos), w niezwykle konkurencyjnych cenach. Wyborna kuchnia domowa pani Sharma z pewnością przypadnie wam do gustu, a jej córka Mirna podająca sprawnie i z uśmiechem do stołu sprawi, że z przyjemnością wrócicie tu przy nadarzającej się okazji”.

Mirna pokazała artykuł zachwyconej matce (która wpadła sprawdzić, jak sobie radzą) i Jamesowi Allenowi, a potem zapytała panią Hyung - Kim, czy może skopiować ulotkę. Koreańska przewodniczka stwierdziła, że bez problemu może ją zostawić, bo weźmie sobie nową z paryskiego biura Towarzystwa Przelotnych Ptaków. W podziękowaniu szefowa zaserwowała jej osobiście gratisowe lassi i pobiegła dalej szykować się na randkę.

Zamykając lokal, James Allen zwierzyła się Mirnie, że zaniedbuje lepienie waz. Zdecydowały od tej chwili ograniczyć się do jednego telefonu dziennie. Mirna niechętnie przystała na to zobowiązanie, bowiem obecnie najbardziej pragnęła, spędzać noce i dni w towarzystwie wybranki. Ale nie dała tego po sobie poznać. Postanowiły więc odpocząć od siebie w piątek i sobotę i spotkać się dopiero w niedzielę popołudniu. Mirna zaprosiła Jamesa Allena do siebie, na ulicę Rochechouart.

Wieczorem, rzucając okiem na wiszący na drzwiach łazienki harmonogram spotkań zespołu muzycznego, do którego należała, Mirna zdała sobie sprawę, że kolejne spotkanie wyznaczone było u niej właśnie w niedzielę. Zawahała się, czy nie odwołać, ale w końcu nie oparła się chęci przedstawienia zespołowi swojej nowej dziewczyny.

Rozdział 21

Giuseppe Goldino zaprosił Pimmi Sharma na kolację do greckiej restauracji, z której właścicielem przyjaźnił się od lat i chadzał z nim na wyścigi konne do Vincennes.

Opowiedział jej o sobie, o żonie, która odeszła od niego z innym, córce, która wyjechała do Kamerunu; a on pozostał, tylko czasami myślał o powrocie do swego rodzinnego miasteczka. Miał tam starą farmę z kawałkiem ziemi wśród cyprysów, niedaleko Florencji. Ale tak naprawdę Francja stała się teraz jego ojczyzną. Lubił chodzić na ryby, spacerować po portach, oglądać kutry, wdychać zapach soli, ropy i morza; o zmroku, kiedy plażowicze wracali do siebie, z przyjemnością wbijał wędkę w piaszczysty lub kamienisty brzeg i czekał, aż jakaś makrela chwyci małego zielonego kraba, który służył mu za przynętę.

Głos mu się zmienił, kiedy zaczął opowiadać, jak wielkim szczęściem są dla niego ostatnio posiłki w Popadom & Co, gdzie odkrył zachwycającą, pikantną kuchnię. Mówił to w sposób niezwykle podniosły, mający podkreślić powagę uczuć, które żywił w stosunku do siedzącej naprzeciwko niego kobiety.

Kupidyny Pimmi i Giuseppe napięły swoje łuki jednocześnie, uśmiechając się przy tym do siebie przez zamgloną tęczę: serca, które już kiedyś kochały, wymagały dużo większej precyzji i delikatności we wdrażaniu Zasad Potencjału Miłości.

Nieśmiała Pimmi słuchała Giuseppe, zadawała pytania, trochę opowiadała o sobie, o doskwierającej jej od dawna samotności, o rozwodzie, który miał miejsce w momencie, kiedy syn i córka wkraczali w okres dojrzewania, o satysfakcji, jaką czerpała ze wspólnego przedsięwzięcia z córką - i powoli ulegała emocjom, o których istnieniu zapomniała. Mówiła o swoich problemach z językiem francuskim, który opanowała późno i jeszcze dzisiaj zastanawiała się nad rodzajem otaczających ją przedmiotów, jej rodzimym językiem był angielski. Dlaczego „ten” widelec i „ta” łyżka? Jej dorosłe dzieci pogodziły się z tym z czasem i bardzo rzadko już teraz poprawiają jej liczne błędy.

Giuseppe, z akcentem o zapachu pesto, panettone i tortelini, podkreślił czułość i pobłażliwość, z jaką dzieci traktują starzejących się rodziców. On zaś, mimo że uważa się za osobę otwartą, z wielkim trudem pogodził się z faktem, że jego jedyna córka poślubiła

Afrykanina. Do dziś nie zrozumiał, dlaczego tam pojechała. Brakowało mu wnuków; tak bardzo lubił się z nimi bawić, patrzeć na nich. Chciałby złożyć im wizytę przyszłego lata, nie bał się ani upału, ani komarów.

Pimmi uśmiechnęła się, poczuła wzruszenie i nostalgię. Nigdy nie zazna szczęścia bycia babcią. Żartobliwie wyjaśniła mu, że kiedy jej dzieci były małe, mylił jej się bez przerwy rodzaj żeński i męski po francusku i fakt ten z pewnością spowodował zamęt w ich uczuciach. Tym sposobem poruszyła temat preferencji seksualnych córki i syna, którzy kolejno zwierzyli jej się kiedyś ze swoich homoseksualnych miłości. Reakcja Giuseppe stanowiła dla Pimmi determinujący punkt w ich przyszłych kontaktach. Iście dziecięca szczerość mężczyzny o mocno przyprószonych siwizną skroniach spodobała jej się. Chciała do końca upewnić się, że nie ma on na tym tle żadnych uprzedzeń i zaproponowała mu, aby któregoś wieczoru wspólnie wybrali się na spektakl jej syna.

Tego wieczoru Kupidyny Pimmi i Giuseppe uroniły po łzie w chwili pożegnania pary. Po odgłosie bicia jej serca i wzruszeniu wyczuwalnym w jego głosie rokowano temu związkowi jak najlepsze nadzieje na przyszłość. Miłość od pierwszego wejrzenia nie zdarzała się często w przypadku osób pod pięćdziesiątkę. Tak więc dwa zacne Kupidyny radowały się na myśl o rozbudzonych na nowo wzruszeniach.

Późnym wieczorem, zgasiwszy wszystkie światła, Pimmi usadowiła się wygodnie z termoforem przy plecach w fotelu przy oknie w salonie. Od dziecka lubiła siadywać z wzrokiem utkwionym w okno i marzyć o niebieskich migdałach. W półmroku rozmyślała o wieczorze spędzonym z Giuseppe, o ich rozmowie, o wspomnieniach, które nagle zaczęły o sobie przypominać.

Ujrzała twarz Jitendra, byłego męża, przypomniała sobie aksamit jego dłoni, kiedy ją pieścił, jego przytulone do niej nocą ciało, zawsze zimne stopy, szepty do ucha i przepaść, jaka otwierała się między nocą a dniem. Noc kojarzyła jej się z czułością, z początkiem ich wspólnego, beztroskiego życia: dzielnica Brick Lane w Londynie, gdzie jej rodzice mieli restaurację, kino, którego właścicielem był ojciec Jitendra, gdzie przesiadywali godzinami, aby całować się i obejmować w ciemności, gdzie słyszeli raczej niż widzieli to, co działo się na ekranie. A po latach, kiedy usłyszała przez przypadek w

telewizji muzykę z jednego z tych filmów, ożyło w niej wspomnienie tych popołudniowych godzin spędzonych w ciemnej sali o ścianach wyłożonych bordowym welurem.

Siadywali na balkonie, na samej górze, aby nikt ich nie podejrział, tuż pod pomieszczeniem, w którym ojciec Jitendra zmieniał szpule. Trudzi się niepotrzebnie. I tak o małżeństwie zdecydowali rodzice. Miała zaledwie siedemnaście lat, Jitendra dwadzieścia pięć. Hanif urodził się, kiedy skończyła dwadzieścia, Mirna dwa lata później. Życie we dwoje szybko przekształciło się w życie rodzinne.

Ojcostwo nie było mocną stroną Jitendra. Egoistycznie nastawiony do życia, zafascynowany dalekimi podróżami nie mógł usiedzieć na miejscu. Zawód komiwojażera sprawił, że często bywał z dala od domu na londyńskim przedmieściu, z dala od pieluch, nieprzespanych nocy, buziaków pachnących czekoladą, przytuleń na kanapie, czerwonych, żółtych, niebieskich porozrzucanych wszędzie zabawek, krótkotrwałych smutków, prac domowych, koleżanek, klubów sportowych z Londynu czy Liverpoolu.

Jitendra rzadko uczestniczył w urodzinach własnych dzieci, pojawiał się, znikał, dzwonił, zapewniając, że o nich myśli, przywoził prezenty, przez tydzień bawił się co wieczór z Hanifem i Mirną - i znowu wyjeżdżał. Pimmi pragnęła częściej widywać męża, wychowywać wspólnie z nim dzieci, więc kiedy Jitendra znalazł stałą i lepiej płatną pracę w Paryżu, zdecydowała się zamienić angielski deszcz na francuską mgłę.

Mieszkanie w bloku zastąpiło domek z ogródkiem. Hanif miał wtedy dziesięć lat, właśnie zdał do college'u. Dzieci mają niesamowity dar przestawiania się na inne życie, inny język.

Pimmi zaś potrzebowała wielu lat, aby móc porozumiewać się w języku, którym Jitendra mówił płynnie, w domu we Francji bywał zaś równie rzadko, co w Anglii. Wiecznie w biegu, wiecznie nieobecny. Umykający. Uciekający. Jego najstarsza siostra, ta, która pierwsza wróciła do Delhi, opowiadała jej kiedyś, że już jako dziecko uciekał wielokrotnie z domu. Ciągle go gdzieś niosło.

W końcu znalazł się na bezrobociu. Po roku jego całodziennego wysiadywania w domu zdecydowali się na rozwód. Hanif miał wtedy piętnaście lat, bardzo niebezpieczny wiek.

Pimmi nie lubiła wspomnień z tych smutnych lat, gdzie skryzalizowały się wszystkie problemy: nieudane małżeństwo,

burzliwe życie rodzinne, kłótnie Hanifa z ojcem, bunt nastolatka, niezrozumianego i pogardzanego; Mirna zawsze biorąca stronę brata i Pimmi ze swymi odwiecznymi marzeniami nastolatki, do której nie docierało, że jej związek z mężem od początku skazany był na niepowodzenie, nie rozumieli się przecież nigdy.

Hanif zaczął pożyczać od niej sari i przebierać się za kobietę; Jitendra denerwował się tym strasznie. Któregoś dnia ojciec wszedł bez pukania do pokoju Hanifa i zastał go nagiego w łóżku z Dalilem.

Pimmi przymknęła oczy, aby odsunąć od siebie wspomnienie awantury, która wtedy wybuchła, podskakujących od uderzeń pięścią naczyń na stole, słów, które padły. Hanif wykrzyczał ojcu to, z czego zwierzył się jej kilka tygodni wcześniej: wołał chłopców niż dziewczyny.

Upływający czas koił cierpienie, polerował wspomnienia, niczym morze kamienie i rozbite szkło. Pozwalał nabrać dystansu, nawet jeśli ból nadal tkwił w sercu. Pimmi zauważyła niejednokrotnie, że czas robi swoje, wystarczy być cierpliwym, czekać, aż powoli upływające miesiące złagodzą gorycz niektórych wydarzeń i pozwolą spojrzeć na nie inaczej.

Wpatrzona w noc Pimmi przyznała sama przed sobą, że czas niezwykle długo już zaciera w jej pamięci słowa, jakich użył Jitendra w stosunku do Hanifa i do Mirny, kiedy ta również wyznała swoją homoseksualność. Jak również te, które wykrzyczał jej, kiedy odchodził z domu na zawsze, obwiniając ją o nieszczęście, nienormalne dzieci i niech sobie teraz radzi z nimi sama. Słów tych nic nie zdołało wymazać, nawet skruszony przeprosiny, które wyszeptał jej do ucha jakiś czas po rozwodzie, kiedy spotkali się przypadkiem w Jardin des Plantes (Paryski Ogród Botaniczny).

Rozdział 22

Nadeszła sobota, a Hanif ciągle nie dzwonił do Patricka.

Ich zawieszony w chmurach Kupidyny zaniepokojony tym byty w najwyższym stopniu.

Nagrał się natomiast kilkakrotnie na automatyczną sekretarkę Jamesa Allena. A ponieważ ten nie dawał znaku życia, Hanif szukał pocieszenia u dziwnie niechętnego Dalila. Przyjaciel zasugerował mu, aby uznać ciszę ze strony Amerykanina jako odpowiedź odmowną. Być może obaj pomylili się co do niego, może tak naprawdę woli kobiety?

Hanif słuchał tych rad, ale nie docierały one do niego. Marzył o tajemniczym młodzieńcu dwie noce pod rząd i było to dla niego dowodem, że się nie myli. Musi się z nim spotkać. Poprosił Dalila, aby dowiedział się czegoś pod pretekstem rozmowy o sztuce.

Początkowo spotkał się z kategoryczną odmową. Jednak Dalil miał duży kłopot z usprawiedliwieniem swego braku entuzjazmu, szczególnie że to on sam podsunął mu pomysł poderwania Jamesa Allena. No i przecież byli przyjaciółmi, jeszcze z czasów liceum. Przeszli razem przez wiele problemów i kłótni, a przyjaźń ich pogłębiała się z każdym dniem. Kwestia lojalności odgrywała również dużą rolę.

Dalil zatelefonował więc do Amerykanina. On też trafił na automatyczną sekretarkę. Nagrał wiadomość, że wiele osób zauważyło wystawioną wazę, co było szczerą prawdą; chciałby zatem obejrzeć dzieła, które artysta stworzył od czasu swego przyjazdu do Paryża. Czy James Allen mógłby odwiedzić go w pracowni?

James Allen zatelefonował pół godziny później. Nastawiając głośnik, aby przyjaciel mógł śledzić rozmowę, Dalil wspominał o wystawie. Zdziwienie dało się odczuć bardzo wyraźnie w tonie wahającego się Amerykanina (Hanif uznał jego lekko zachrypnięty głos za niezwykle zmysłowy). Zgodził się na pokazanie kilku rysunków i trzech waz, umówili się z Dalilem na dwunastą w południe następnego dnia.

Korzystając z pomocy użytecznych sąsiadów, Kupidyny Hanifa i Patricka starały się chociażby na siebie spojrzeć, co nie było łatwe w gęstej mgle, która zawitała nagle wśród chmurnego krajobrazu.

W czasie wieczoru zorganizowanego dla artystów w Cite des Arts, James Allen znalazł się przy stole tuż obok Gheorghe. Nie

widzieli się od kilku dni. Gheorghe pospieszył z przekazaniem mu dobrej nowiny: właśnie poznał u Ernesto wspaniałą dziewczynę, Francuzkę polskiego pochodzenia, która zwiedziła już całą Europę Środkową. Nazywa się Sylwia, pracuje w małym wydawnictwie jako asystentka dyrektora. Wczoraj zaprowadził ją do Buddha Bar. Byli tam późnym popołudniem, więc udało im się jeszcze znaleźć wolny stolik na antresoli i pogawędzić sam na sam.

James Allen wypił łyk czerwonego wina, które uznał za cierpkie. Zdecydowanie wolał białe.

Gheorghe spotykał się z Sylwią codziennie. Był nią zachwycony i jednocześnie lekko przerażony, bowiem kompletnie nie mógł się skoncentrować na pracy twórczej. James Allen doskonale to rozumiał: sam znalazł się w identycznej sytuacji. Rozcieńczył wino, myśląc, że w ten sposób będzie nadawało się do picia, ale to nadal nie było to. Tym razem nie mógł powstrzymać się od wykrzywienia ust, kiedy umoczył je w kieliszku.

Przyjaciel starał się za wszelką cenę wyciągnąć go na spytki, więc aby ukryć oblewający go rumieniec, James Allen odwrócił się do sąsiadki z lewej prosząc o podanie salaterki z tabule.

- No to opowiadaj - rzekł Gheorghe, nakładając łyżkę sałatki sobie i koledze. - Kto to jest? Znam ją?

- Nie wiem, czy ją znasz, ale na pewno już ją widziałeś - odparł James Allen. - Poznałem ją na wernisażu twego przyjaciela Ernesto, a i on ją zna.

- Któż to taki?

- Mirna Sharma.

- Mirna Sharma?

Gheorghe obrzucił Jamesa Allena skonsternowanym spojrzeniem.

- Mirna Sharma jest lesbijką - rzucił po chwili.

- Wiem - uśmiechnął się James Allen. - Ja również. Zaskoczony Gheorghe uważnie przyjrzał się koledze.

- Możesz powtórzyć? Chyba się przesłyszałem.

- Nie, nie przesłyszałem się - tym razem James Allen nie mógł opanować palącego rumieńca, którym oblał się tak, jakby stał tuż obok płonącego ogniska. - Nie jestem mężczyzną. Jestem kobietą przebraną za faceta i zakochałam się w Mirnie.

- Kobieta? - Gheorghe szukał w twarzy sąsiada przy stole znaków, które poddałyby w wątpliwość tę niesamowitą rewelację.

Gładkie policzki i brak jabłka Adama nie zaintrygowały go do tej pory. Prześliznął się wzrokiem po sylwetce: pod białą, zapiętą pod szyję koszulą i ciemnoszarą marynarką trudno było odgadnąć kobiece piersi. Spojrzał w oczy Jamesa Allena. - Dlaczego...?

James Allen wzruszył ramionami oddzielając starannie nożem pomidory od ogórków w sałatce tabule, której najwyraźniej brakowało zielonej pietruszki i mięty.

Konieczność ciągłego wyjaśniania - a wręcz usprawiedliwiania się - zaczęła ją denerwować. Udzieliła mu innej odpowiedzi niż ta, którą otrzymał Thierry Garnier: w męskiej postaci traktowano ją poważniej i ona sama wołała siebie właśnie taką. Kiedy patrzyła na siebie w lustro, wydawała się sobie ładniejsza. Wydawało jej się, że łatwiej jej zaistnieć. Miała w ten sposób poczucie większej wolności.

Gheorghe nie dał się przekonać. A może po prostu James Allen chce odgrywać męską rolę w swoich stosunkach z kobietami i dlatego przybiera męską postać? Zaprzeczyła ruchem głowy. Wcale nie. Jej przedsięwzięcie było bardzo osobiste. Odpowiadało głęboko zakorzenionemu pragnieniu. Nie ma ono nic wspólnego z faktem, że woli kobiety. A poza tym - puściła do niego szelmowskie oko - czasami pociągali ją również mężczyźni.

Natarczywe spojrzenie współbiedniaka ciążyło jej. Mimo braku apetytu zmusiła się do przełknięcia odrobiny niezbyt apetycznego tabule wypełniającego jej talerz.

Widelec chrobetał po dnie. Wśród panującej między nimi ciszy zdawało jej się, że słyszy tylko to i chrzęszczące między zębami ziarenka kuskusu. Wokół nich wszyscy rozmawiali coraz głośniejszym angielsku, a ona nie była w stanie dostrzec poezji w tej dziwnej gwarze, jaką stał się w ich ustach jej ojczysty język z przekreconymi słowami, z nieprawdopodobnymi akcentami, składnią, wymową, dźwiękami. Jeden wspólny, barwny english.

- Kto jeszcze o tym wie?

Wypuszczony z dłoni widelec uderzył z hałasem o dno talerza.

- Poza Mirną, tylko ty.

- Nie musiałaś mi o tym mówić - i tak bym się nie domyślił.

Dlaczego to zrobiłaś?

- Jesteś moim przyjacielem. Chciałam, żebyś wiedział. Musiałaś coś odpowiedzieć, nawet kosztem kłamstwa. Gheorghe spróbował tabule, po dwóch kęsach popił

winem, które również nie przypadło mu do smaku. Postanowili pójść na kolację gdzie indziej. Poszli do wietnamskiej restauracji. James Allen zapraszał. Przyjaciel zrobił zażenowaną minę: po takiej rewelacji reguły gry zmieniły się. W jego rodzinie kobiety nigdy nie płaciły w restauracji w towarzystwie mężczyzny. James Allen odrzucił argument zniecierpliwionym gestem. Przecież nie znajdują się w Iasi tylko w Paryżu. I Gheorghe powinien zachowywać się wobec niego tak samo, jak robił to na początku ich znajomości. I nie przepuszczać go w drzwiach. Niech zachowa szarmancką uprzejmość dla Sylwii i pozwoli się zaprosić.

James Allen jest Jamesem Allenem, takim samym mężczyzną jak on.

Tupet, z jakim James Allen wypowiedział te słowa, rozśmieszył Gheorghe. W roziskrzonym spojrzeniu, jakim otoczył przyjaciela, pojawiło się nagle wiele ciepła, jakby coś w sobie przełamał. Świat znów stał się normalny i pełen powodów do żartów. Nawet jeśli nie do końca docierało do niego, że to, co widzą jego oczy, kryje w sobie drugą stronę medalu.

Rozdział 23

Późnym sobotnim wieczorem Patrick zamknął drzwi do kuchni - nie mógł zdzierżyć odgłosów, jakie wydawali bzykający się Deirdre i jej chłopak. Przekonany, że Hanifowi przytrafiło się coś złego i nikt z rodziny nie odważy się powiadomić go o tym, zadzwonił do Mirny.

- Paddy? - Mirna przyciszyła płytę Rokia Traore, której słuchała w kółko od powrotu z pracy. - Jak się masz?

- W porządku - siedzący na taborecie i przytrzymujący ramieniem telefon przy uchu Patrick poczuł, że za chwilę się rozklei. - A tak naprawdę to bardzo kiepsko.

- Paddy? - Mirna z bijącym sercem zacisnęła palce na słuchawce. - Co się stało?

Odpowiedziały jej cisza, westchnienie i powstrzymywany szloch.

Powód, dla którego Patrick ośmielił się zadzwonić o tak późnej porze, mógł być tylko jeden: Hanif. Piękny, tajemniczy, denerwujący Hanif znowu dał się we znaki. Zdziwiło ją to. Patrick był przecież bardzo ważny w życiu jej brata, do tej pory he was the one.

- Przepraszam cię, Mirna...

Miał głos zawiedzionego w miłości irlandzkiego kocura. Powoli wracał do siebie, co Mirna powitała z ulgą. Miała wprawdzie (zdaniem rodziny) niesamowity dar pocieszania na odległość, ale nie chciała wypróbować go na Patricku, którego uważała za przyjaciela.

Pogotowie telefoniczne „SOS Hanif” należało do licealnej przeszłości. Wtedy często przez telefon osuszała łzy wydzwaniających do domu licznych pretendentów i pretendentki. Anegdoty z tym związane, opowiadane potem koleżankom, wywoływały niezawodnie salwy śmiechu, a skeczem na ten temat przez długie lata rozweselała rodzinę w sylwestrowe wieczory.

W chwili obecnej wcale nie było jej do śmiechu, a jej rozmówca pozostawał rozpaczliwie milczący.

- Mirna... - nareszcie znowu mówił normalnie. - Czy telefon Hanifa nie jest przypadkiem popsuty? Nie mogę się do niego dodzwonić. Jak on się miewa? Czy nic złego mu się nie przytrafiło?

- Z telefonem wszystko w porządku. I kiedy widziałam się z nim ostatnio, to znaczy w niedzielę, miewał się dobrze. Pokłóciliście się?

- Wręcz przeciwnie. Udało mi się załatwić roczny urlop, aby przyjechać do Paryża.

Entuzjastyczna reakcja Mirny spłynęła niczym balsam na serce Patricka. Brat z pewnością ucieszy się na tę wiadomość. Powątpiewający śmiech z drugiej strony. Hanif od tak dawna nie dawał żadnego znaku życia, że Patrick śmiał wątpić. Bez ogródek zadał jej pytanie, na które odpowiedź wyjaśniłaby ewentualnie niepokojącą ciszę kochanka: czy Hanif kogoś ma?

Podziwiając śliczną srebrną bransoletkę, która zdobiła kostkę jej lewej nogi, Mirna uspokajała go, jak mogła: nie, bo przecież gdyby tak było, wszyscy by o tym wiedzieli. Jej brat nie potrafił nic utrzymać w tajemnicy. Trudziła się na darmo: Patrick przekonany był, że jest inaczej.

Mirna nie miała ochoty o tak późnej porze zagłębiać się w przepaść zawiłych rozważań miłosnych. Wzdychając głęboko, oświadczyła Patrickowi, że detale życia uczuciowego brata nie są jej znane. Sami powinni rozwiązać całą tę sytuację. Obiecała jednak, że jeśli tylko będzie mogła im pomóc, zrobi to.

Po odłożeniu słuchawki odruchowo wykręciła numer Hanifa, wysłuchiwała jego grobowego głosu na automatycznej sekretarce, oznajmiającego: „Sharma” zupełnie jak jakiś wampir, który wstał z grobu lewą nogą. Tym samym tonem (nie mogła oprzeć się pokusie mimetyzmu) nagrała wiadomość, w której prosiła go o jak najszybszy kontakt. Sprawa życia lub śmierci. Korciło ją, aby dorzucić: miłości. Twój mężczyzna tęskni za tobą. Nie rozumie, dlaczego się nie odzywasz. Powiedz, o co chodzi, co się dzieje. Hanif, brakuje mi naszych telefonicznych rozmów.

Nie pamiętała już, dlaczego przestali się sobie zwierzać. Czyżby życie każdego z nich tak się różniło? Zachciało jej się soku pomarańczowego i otworzyła lodówkę kontemplantując jej zawartość.

Telefon Patricka poruszył ją. Jak również jego przekonanie, że brat ma kogoś. Zachwiało to jej wiarę w romantyzm i wytrwałość miłości między Hanifem a Patrickiem. Wiedziała, że Hanif jest zakochany w Patricku; wiedziała również, że skomplikowane sytuacje nie były jego mocną stroną. Wolał uciec niż stawić im czoła. Być może Patrick miał rację, być może Hanif poznał innego faceta. Miała nadzieję, że tak nie jest. Nie chciałyby, aby Hanif i Patrick zerwali ze sobą. Ich rozstanie byłoby złą przepowiednią dla jej związku z Jamesem Allenem, zanoszącego się na długodystansowy. Postanowiła zrobić wszystko, aby uniknąć katastrofy.

Tak, za wszelką cenę należy unikać katastrof. Do takiego samego wniosku doszły Kupidyny Hanifa i Patricka, z niedowierzaniem obserwując swych protegowanych podążających wąskimi, równoległymi do siebie ścieżkami. Najbliższa i bardzo mglista przyszłość nie wskazywała na to, że kiedykolwiek się spotkają. Wylane łzy zamazywały Amorkom wizję jutra.

Zrozpaczony Kupidyn Hanifa musiał porzucić swój wygodny leżak w paski, stojący od blisko dwóch lat obok leżaka Kupidyna Patricka i udać się kilka wacianych wzgórków dalej, w pobliże wygodnego cumulusa Kupidyna Lilian.

Spokojny i brzuchaty Kupidyn Mirny zainstalował tam swój kołczan i starał się zagrać kilka wesołych nutek na lirze pożyczonej od pana domu. Zaś Kupidyn Lilian, nieprzyzwyczajony do obcowania na co dzień z kolegami po fachu, uśmiechał się sztucznie z miną Kupidyna wahającego się między nieodpartą chęcią zatkania sobie uszu a ucieczką.

Załamany uporem, z jakim Hani]"opiera się staraniom jego protegowanego, Kupidyn Patricka, którego kunszt w rozwiązywaniu problemów z najbardziej zatwardziałymi sercami zawsze wzbudzał podziw kolegów, po nieprzespanej nocy dał się ponieść Melancholii (tej przez duże M, która potrafiła wkraść się podstępnie i wyprostować śliczne loczki Amorków).

Ta głęboka, przytłaczająca Melancholia natychmiast wypełniła ciężkie chmury rozpościerające się na wiosennym niebie zielonej Eire. Szary, obfity deszcz padał przez dwadzieścia cztery godziny bez przerwy na północne wybrzeże Ulsteru. Okazało się to zupełnie zbędne dla mieszkańców doświadczonych ciężką, wietrzną zimą. Monstrualna Melancholia ogarnęła również ludzkie, spragnione miłości serca.

Mocno wkurzone intruzją Melancholii na teren ich własnych historii, Kupidyny złożyły liczne skargi do siedziby Bractwa. Ogłoszono walne zgromadzenie.

Sprawa okazała się pilna: aby wspomóc swą partnerkę Melancholię, Deprymujący Wiatr zawiął porywiście wśród chmur, wywołując nieprzyjemne turbulencje powietrzne. Stanowiło to zagrożenie dla niezdecydowanych serc i natychmiastowy powiew słonecznej Pogody Ducha stał się nieodzowny.

Sytuacja, zdaniem obecnych na zgromadzeniu Kupidynów, była niezwykle delikatna: protegowany jednego z nich, jak również osoby z jego najbliższego otoczenia, pracy, miasta, ponosiły konsekwencje zmiennych stanów ducha tegoż Amorka, który nie umiał poradzić sobie z rzekomym i nie do końca zweryfikowalnym zawodem miłosnym.

Z załzawionymi oczyma i zasmarkanym nosem przygnębiony Kupidyn Patricka siedział ze zwieszonymi smętnie nogami na swoim własnym kołczanie. Z odwagą, która spotkała się z aplauzem kolegów, przyznał, że poddał się Melancholii, i żałował, po tysiącokrotnie żałował słabości, z powodu której pozwolił obłąpić się Leniwemu Smutkowi, a Deprymującemu Wiatrowi spowodować przeciągi w chmurach.

Ale, Drodzy Koledzy, postawcie się na jego miejscu i zrozumcie cierpienie. Nie wiedział, jak pozbyć się smętku, który nim zawładnął; mijały przecież minuty, godziny, dni i tygodnie, w czasie których Miłość między Patrickiem i Hanifem rosła, jak ciasto drożdżowe. Aż któregoś dnia, a raczej wieczoru, za sprawą niezdarnego Kupidyna Lilian (trzeba naprawdę być postrzelonym, aby pomylić znaki zakazu ze znakami nakazu) bezmyślnie wystrzelona strzała trafiła w serce Hanifa. Od tej chwili nieskazitelna Miłość między Patrickiem a Hanifem, która zdołała wziąć górę nad Przeszkodą Odległości, zaczęła topnieć w promieniach oziębłej i nieczulej Lilian.

Kupidyn Mirny nadal brzdąkał na lirze, z niewinnym uśmiechem odpowiadając na dezaprobujące spojrzenia kolegów. Według niego Kupidyn Patricka nie miał powodu do obaw: jedynymi godnymi uwagi strzałami były te, które ugodziły jednocześnie serca jego wrażliwej, szlachetnej i wesołej Mirny oraz delikatnej, nieśmiałej i uroczej Lilian. Miłość z wzajemnością, której nic nie jest w stanie przeszkodzić.

Kupidynowi Lilian nie spodobało się, że ten nudziarz Kupidyn Patricka nazwał go niezdara, że jego górnolotne frazy powodowały burzę w chmurach (przez co się przeziębził), więc wykrztusił z siebie zwątpienie i niepewność. Starając się utrzymać równowagę, płynąca środkiem rzeki życia Lilian mocno trzymała za rękę Mirnę, ale należałoby sprecyzować, że nie do końca były jej obojętne męskie (sarkastyczne śmieszki zgromadzonych Amorków) ramiona Hanifa.

Wydawało mu się, że Lilian i Hanif mają ze sobą wiele wspólnego. Złożył zatem petycję o Cierpliwość. Została ona odrzucona przez trzech pozostałych Kupidynów wśród ochów, achów i gwaru całego Bractwa.

Wszyscy musieli jednak przyznać, że jakakolwiek interwencja w postaci miłosnych strzał była niemożliwa dopóty, dopóki ich protegowani zachowywać się będą dwuznacznie. Nie pozostawało im zatem nic innego, jak obserwować rozwój wydarzeń z chmur.

Rozdział 24

Sensacyjna wiadomość padła pod koniec kolacji Gheorghe z Jamesem Allenem (ten pierwszy zjadał się sajgonkami i kurczakiem z trawą cytrynową, ten drugi zaś zamówił chińskie pierożki na parze i rybę w słodko - kwaśnym sosie). Rumuński artysta powoli przychodził do siebie po odkryciu, że jego amerykański przyjaciel jest rodzaju żeńskiego. Pomagało mu w tym różowe wino. Przy deserze (pistacjowy nugat z ziarnkami sezamu) oznajmił mu, że Hanif, ha ha ha, zabawiał się podobnie. Zamiast Hanifa wieczorami budziła się Carlotta i śpiewała w nocnym kabarecie.

James Allen niedowierzająco kiwał głową, przekonany, że Gheorghe wymyśla bzdury, aby go omamić. A ten wykorzystał osłupienie kolegi i bez skrępowań nabijał na miniaturowy, pomarańczowy, plastikowy widelczyk kostki nugatu, który kilka minut wcześniej zdecydowali się wziąć na spólkę.

Rozśmieszyło go, że zaskoczony James Allen nie był w stanie sklecić zdania w języku Moliера, Musseta i wszystkich innych francuskich autorów dramatycznych, którzy wykorzystywali w swoich sztukach *qui pro quo*, przebierając służące za odźwiernych, mężczyzn za kobiety i stosując inne tego rodzaju sztuczki. Carlotta i Hanif to jedna i ta sama osoba. Intrygująca Carlotta i jej zastanawiające pytania. O czym to ona mówiła w czasie wernisażu? O rozdwojeniu osobowości? Wiedziała, Hanif wiedział, o czym mówi. Hanif, który nie dawał mu spokoju...

Rzeczywiście, ubaw po pachy, więc James Allen opił z kolegą śmieszność tej sytuacji.

Lilian zaś długo nie mogła zasnąć i w niedzielę obudziła się wcześniej, jak to się zwykle zdarzało, kiedy odkrywała prawdę. Całą noc rozmyślała o Hanifie. Zastanawiała się, co skłoniło brata Mirny do takiego właśnie zachowania. To nie mogło być to samo, co w jej przypadku; on nic nie wybierał i najzwyczajniej swobodnie oscylował między rodzajem żeńskim a męskim. Dlaczego przedtem nic nie zauważyła? Zaniepokoiło ją i spędzało sen z powiek spostrzeżenie, że zmiana jej własnej aparycji skłoniła ją do skupienia się na sobie i odebrała zainteresowanie innymi.

Po wernisażu powinna zadać sobie kilka pytań na temat Carlotty, która nie była przecież pierwszym transwestytą, jakiego miała przyjemność spotkać. A przede wszystkim, kiedy poznała już Hanifa,

powinna coś skojarzyć lub przynajmniej zastanowić się. Teraz, kiedy już wiedziała i przypomniała sobie kilka faktów i uwag - zaczerwieniła się ze wstydu. Nie mogła darować sobie własnego egocentryzmu. Nawet nie pamiętała, o czym wtedy rozmawiała z Hanifem w nocnym klubie. Zostawiła go później na środku sali bez słowa wyjaśnienia.

I nawet nie miała na tyle przyzwoitości, aby wytłumaczyć mu, że jakakolwiek historia między nimi jest niemożliwa. Uniki tego rodzaju nie były przecież w jej stylu.

Często zastanawiała się na sobą nocą i znajdowała wyjaśnienie niektórych swoich zachowań tuż przed zaśnięciem: być może nie zadzwoniła właśnie dlatego, że nie umiała zanegować ambiwalencji uczuć, jaką wywoływał w niej brat Mirny.

Stwierdzenie to zbulwersowało do tego stopnia Kupidynów Mirny, Patricka i Hanifa, że bez ładu i składu, wbrew zasadom zawartym w Programie Możliwości Dnia, rozesłali kilka strzał. Ich zwiększona w trójnasób pobudliwość spowodowała, że strzały obrały przypadkowe kierunki, najczęściej w stronę nieba, a nie serc, co spowodowało niesamowite perturbacje.

A niewzruszony Kupidyn Lilian odpoczywał sobie wśród prądów powietrznych i wybuchów złości szalejących w chmurach, z rozkoszą rozmyślając o wazach swojej podopiecznej.

W niedzielę rano, jeszcze o świcie, łakomstwo zaprowadziło Gheorghe do jego ulubionej piekarni - le Petit Versailles du Marais. Kupił świeże croissanty i zaniósł je sąsiadowi. Spodziewał się zaskoczyć Jamesa Allena w nocnej koszuli. Niestety: przyjaciel okazał się rannym ptaszkiem i przyjął go już ubrany.

Podczas gdy popijali herbatę i smarowali croissanty konfiturą z jeżyn, James Allen poprosił go o pomoc w wyborze rysunków - na wizytę Dalila. Gheorghe nie mógł oprzeć się pokusie żartowania sobie jego kosztem. Czyżby właściciel galerii interesował się wyłącznie jego twórczością? Puścił przy tym sugestywnie oko, co przeraziło Jamesa Allena. Przyznał, że wizyta ta krępowała go tym bardziej, że nie bardzo miał co pokazać poza trzema niedokończonymi wazami i kilkoma rysunkami.

Rumuński artysta nie dał się przekonać do niezwykłych waz Jamesa Allena. Uznał je za zbyt fantazyjne. Ale kiedy ujrzał serię

rysunków przedstawiających plecy nagich kobiet, natychmiast zaproponował wymianę kilku z nich na swoje własne ryciny.

Zaskoczony podobną propozycją ze strony utalentowanego artysty mającego już za sobą dwie wystawy w Europie i uczestnictwo w kilku biennale, James Allen nie wiedział, co wypada odpowiedzieć. Gheorghe podziwiał przede wszystkim prostotę kreski. Emanującą z niej zmysłowość. Wybrał pięć rysunków, które pomógł przyjacielowi zawiesić na ścianie, a potem wskazał ten, który podobał mu się najbardziej.

Rozdział 25

Dalil Haddad zgodnie z umową stawiał się w pracowni Jamesa Allena jeszcze przed południem. Gheorghe zamieniłby się chętnie w małą myszkę, aby móc uczestniczyć w spotkaniu. Tym bardziej, że nieskazitelnie ubrany na granatowo - biało właściciel galerii przyszedł w towarzystwie czarującej Carlotty. Ta miała na sobie sari, tym razem w zieleni i kolorach ochry. Umalowane oczy, błyszcząca szminka, odurzające perfumy - elegancki Dalil miał u boku bardzo malowniczą kobietę.

Gheorghe przywitał się i wrócił do siebie. Podczas krótkiej wymiany grzeczności zauważył wzajemną fascynację Carlotty i Jamesa Allena, ich rozognione spojrzenia i ocierające się o siebie ciała. Żegnając się, Gheorghe dostrzegł złość - czyżby to było możliwe? - w oczach Dalila.

Rumun musiał - z żalem - wyjść.

Tylko nieliczne Kupidyny, z zapartym w piersiach tchem, obserwowały scenę z wysokości.

- Kiedy Dalil powiedział mi, że umówiliście się tutaj, nalegałam, żeby mnie zabrał - powiedziała Carlotta. - Ubóstwiam tę czerwoną wazę, którą mu pan powierzył, zapragnęłam zobaczyć też inne dzieła. No i... - poprawiła kok - bardzo chciałam się z panem spotkać.

Zachowanie Carlotty, sposób w jaki obserwowała, mrugając rzęsami, zupełnie jak Hanif, usta Jamesa Allena, entuzjazm, z jakim ucałowała go na powitanie - nie jakieś tam całusy w powietrze, ale prawdziwe, soczyste buziaki w oba policzki z dłońmi ściskającymi mu jednocześnie ramiona - to, co mówiła, tak jak i wiadomość zostawiona przez Hanifa na sekretarce, nie pozostawiała żadnej wątpliwości co do jej uczucia. James Allen odkrył, że najwyraźniej pociąga go ekstrawagancka Carlotta, a nie poważny, wręcz ponury Hanif. Stwierdzenie to zbiło go z tropu. To słodkie, lekkie odurzenie w niczym nie przypominało tego, co czuł do Mirny, której samo wspomnienie przyprawiało go o zawrót głowy.

Mirna była jego słońcem. Jednakowoż w fazie, gdzie nic jeszcze nie było definitywnie określone, gdzie liczne możliwości nęciły jak słoneczniki w słońcu, Carlotta mogłaby stać się jego księżycem. Szalone i niepoważne myśli, gdyż Carlotta pozostawała przede wszystkim bratem Mirny, najprawdopodobniej całkowicie nieświadomym rozwoju wydarzeń między Jamesem Allenem a swoją

siostrą. Trudno znaleźć się w takiej sytuacji. James Allen podziękował za przybycie i poświęcił całą swoją uwagę właścicielowi galerii, którego dystans kontrastował z jego poprzednim entuzjastycznym zachowaniem. Dalil przyglądał mu się z krępującym naciskiem.

- To naprawdę bardzo miłe z pana strony, że fatygował się pan w niedzielę z rana. Mam nadzieję, że nie poczuje się pan zawiedziony bo niewiele mam do pokazania. Proszę, pracownia jest z tej strony.

- Wykonuję tylko mój zawód - rzekł Dalil. Zdziwiona tym mało serdecznym zachowaniem Carlotta dotknęła jego ramienia z zapytaniem w oczach. W odpowiedzi twarz przyjaciela stała się jeszcze bardziej zacięta.

Trzy niebieskie wazy stały w rzędzie na stole pod oknem. James Allen wyjaśnił, że ulepił je już w Paryżu. Czy Dalil chciałby wiedzieć coś więcej o japońskiej technice raku, którą się posługiwał? Wrogość, jaką James Allen wyczuł u swego rozmówcy, zbiła go z tropu: jeśli ten człowiek nie ceni, nie lubi jego sztuki, to dlaczego umawiał się z nim na spotkanie w pracowni?

- Cudowne są te wazy - powiedziała Carlotta głaszcząc jednocześnie krągłe i błyszczące formy jednej z nich. - Gdybym miała taką u siebie, pieściłabym ją dniami i nocami...

Wznosząc oczy ku niebu, Dalil skierował się za Jamesem Allenem do drugiej części pracowni.

- Poza rysunkami wiszącymi na ścianach nie mam nic innego do pokazania.

- A co jest w tej teczce? - zapytał Dalil.

- Nic ciekawego - odpowiedział James Allen ściskając w dłoniach teczkę z rysunkami i zasłaniając się nią jak tarczą. - To tylko szkice.

- Dalil... Przyjrzałeś się tym rysunkom? Naprawdę zasługują na więcej niż rzut oka - zasugerowała z błaganiem w głosie Carlotta.

- Wydaje mi się, że widziałem już wszystko, co chciałem zobaczyć.

Dalil przyglądał mu się tak natarczywie, że James Allen zrozumiał, że zna on jego prawdziwą tożsamość i fakt ten, z niewiadomego powodu, doprowadza go do wściekłości.

- I nie spodobało się panu - James Allen wzruszył ramionami. - Cóż, zdarza się.

- Mnie zaś pana twórczość po prostu zachwyca - oświadczyła Carlotta. - Czy jest pan pewien, że nie ma nic więcej do pokazania. Widzę, że z tej teczki wystają jakieś arkusze.

- Żaden z tych rysunków nie jest skończony - stwierdził James Allen. - Może innym razem.

- Carlotta, musimy już iść, spóźnimy się do twojej matki.

- Dalil! - oburzyła się Carlotta. Irytacja wzięła górę nad zażenowaniem. - Pozwolisz, że dokończę rozmowę?

- Naturalnie - rzekł Dalil. - Czekam na ciebie w samochodzie.

Podszedł z wyciągniętą dłonią do Jamesa Allena: - Dziękuję, że pozwolił nam pan obejrzeć pańskie dzieła.

James Allen miał wrażenie, że Dalil chce mu zmiażdżyć palce. Ale drzwi zamknął za sobą cicho.

- Nie wiem, co go ugryzło - powiedziała Carlotta, kiedy znaleźli się sami. - Chyba przesadził wczoraj wieczorem. W każdym razie powtarzam jeszcze raz: uwielbiam pana wazy.

- Dziękuję.

Zraniony do głębi, obwiniający samego siebie o to, co czuje do Carlotty, James Allen uśmiechnął się niepewnie. Spojrzeli na siebie przeciągle.

- Naprawdę chciałabym jeszcze raz się z tobą zobaczyć. James Allen z ciężkim sercem przecząco pokręcił głową.

Carlotta nie nalegała.

Lilian zamknęła drzwi na dwa spusty i schroniła się w łazience. Bardzo długo stała pod prysznicem, obojętna na spływające po niej strugi zimnej wody. Nie chciało jej się o niczym myśleć.

Hanif wybuchł w samochodzie Dalila. Jeszcze nigdy nie był tak wściekły na przyjaciela.

- Czy mógłbyś mi wyjaśnić, dlaczego tak go potraktowałeś?

- Mam powody - stwierdził Dalil, przekręcając kluczyk w stacyjce.

- Bardzo jestem ciekaw tych powodów! Cóż to takiego? jeśli nie podoba ci się to, co robi, mogłeś mi o tym powiedzieć, poradziłbym sobie inaczej, żeby się z nim spotkać. A teraz wszystko przepadło.

- Wierz mi, to tym lepiej.

- Dlaczego tak go upokorzyłeś?

- Przestań pieprzyć, nie upokorzyłem go.

- Nie? Piłeś coś czy jak? Kiedy artysta pokazuje ci swoją twórczość, to tak, jakby rozebrał się przed tobą do naga. Wiem coś o tym. Zadzwońeś do niego, kazałeś pokazać sobie wazy i nawet na nie dobrze nie spojrzales. Nie mówiąc już o rysunkach. Niczego nie skomentowałeś. Zupełnie jakbyś miał gdzieś jego prace. Jeśli nie stać cię na minimum psychologii, zastanawiam się, dlaczego wykonujesz ten zawód.

- Dla forsy!!! - ryknął Dalil ruszając z kopyta i hamując gwałtownie. - Wyłącznie dlatego, wiesz o tym dobrze!

Reakcja opanowanego zazwyczaj Dalila uspokoiła Hanifa.

- Wyjaśnij mi, dlaczego byłeś tak odpychający dla Jamesa Allena.

- Nie mogę.

- Nie wygłupiaj się. Mów.

Dalil odwrócił głowę w stronę Hanifa: - Zrobiłem to dla twojego dobra. Dowiedziałem się czegoś na jego temat. To ktoś absolutnie nie dla ciebie.

- O czym ty mówisz? Czego się dowiedziałeś? Ma AIDS?

- Gorzej. Uzurpuje sobie czyjąś tożsamość. To dziewczyna podająca się za faceta.

- James Allen jest dziewczyną?

- Tak. Nazywa się Lilian Stevenson.

Ten uwodzicielski młodzieniec, o którego względy ubiega się niefortunnie od kilku tygodni, jest w rzeczywistości panienką? Hanif roześmiał się drwiąco, opierając się z trudem chęci oklasków z podziwu dla tej niewiarygodnej inscenizacji.

- Cóż za tupet! Rozumiem, że nie mogłeś tego znieść... Dalil opuścił szybę i rzucił mu ponure spojrzenie. Hanif też opuścił szybę ze swojej strony. Zimne powietrze z zewnątrz uspokoiło go. Nie chciało mu się wierzyć w to, co usłyszał. James Allen jest dziewczyną! Ironia tego nieporozumienia spodobała mu się: na wernisazu spotykają się dwaj transwestyci różnych płci i zakochują się w sobie. Tamtego wieczoru nie spodziewał się, że poczują coś do siebie. Ale przed kilkoma minutami wyczuł u niego - u niej - oszołomienie podobne do swojego.

Dalil zaś wszystko popsuł.

Sposób, w jaki przyjaciel szykanował kobiety, zawsze go śmieszył. Powinno się umieć spojrzeć z humorem na samego siebie.

Tak Hanif radził często Mirnie, kiedy ta jako nastolatka skarżyła się na zachowanie Dalila.

Ale afront, jaki spotkał Jamesa Allena tylko dlatego, że okazał się być płci żeńskiej, wcale nie był zabawny. Hanif nie mógł temu zaprzeczyć.

- Uspokoileś się? - zapytał Dalila.

- Ja? Przecież wcale nie byłem zdenerwowany. To ty wydarłeś się jak bawół, zamiast mi podziękować.

- Za co?

- Za to, że pozwoliłem ci zrozumieć, że nie ma sensu ubieganie się o względy Jamesa Allena. Zajmij się raczej tym swoim Irlandczykiem.

Dotknięty do żywego Hanif patrzył uparcie przed siebie.

Sytuacja stała się krytyczna, więc Bractwo Kupidynów zwołało następne walne zgromadzenie. Kupidyn Lilian dostał naganę za nieuważne rozesłanie podwójnych strzał. Usprawiedliwiał się podkreślając, że za wszelką cenę chciał uwieńczyć sukcesem powierzoną mu misję i zamierzał w ten sposób dać więcej szans swojej protegowanej.

Wyjaśnienie to nie uspokoiło wzburzonych uczestników. Chmura, na której siedziało kilka Amorków, w tym rozwścieczony Kupidyn Patricka, postrzępiła się pod wpływem jego rozsierdzenia. Amorki przeniosły się zatem pospiesznie na solidniejszego cirrostratusa. Sąsiad Kupidyna Lilian podkreślił konieczność wzajemnej współpracy, a przede wszystkim ostrożne wdrażanie zasad zawartych w Programie Możliwości.

Podczas gdy słowo „posępna” zdawało się być najbardziej odpowiednim przymiotnikiem na określenia najbliższej, czekającej ich wszystkich przyszłości, Kupidyn Mirny obwieścił znienacka, uśmiechając się przy tym wdzięcznie i brzdąkając na lirze, że jego podopieczna wpadła właśnie na genialny pomysł.

Zaprosił kolegów do zajęcia miejsc na chmurowych balkonach, aby śledzić wypadki, a sam, pewien szczęśliwego zakończenia, udał się na drzemkę.

Rozdział 26

Zdezorientowana po wizycie Dalila z Carlottą James Allen, z której nawet długotrwały prysznic nie zdołał zmyć porannych wrażeń, w pośpiechu udała się do kobiety swego życia. Kurant kościoła Notre - Dame - de - Lorette zadzwonił właśnie na siedemnastą, siedzące na gargulcach gołębie nawet nie drgnęły, a ona nacisnęła na guzik domofonu i zaanonsowała się zachrypniętym głosem.

Otwierając drzwi wejściowe, Mirna stanęła twarzą w twarz z wybranką swego serca uginającą się pod ciężarem zakupów z niewyraźną miną. Delikatne oblicze Jamesa Allena o niebieskich oczach przypominało płatki róży pokryte kroplami deszczu. W chwili, kiedy Mirna otoczyła Jamesa Allena ramionami, z głębi mieszkania rozległ się wybuch śmiechu. James Allen chciała wychodzić. Mirna zatrzymała ją z uśmiechem: to tylko koleżanki z jej girls' bandu. James Allen ocierała ukradkiem oczy, a Mirna bezskutecznie starała się dowiedzieć, co doprowadziło ją do takiego stanu. Przyjaciółka oświadczyła, że pomoc może jej tylko gotowanie. Mirna chwyciła torby, drugą dłonią ujęła dłoń Jamesa Allena i otworzyła drzwi do salonu.

Było ich trzy: Dafne, mała drobna brunetka o krótko przystrzyżonych włosach (uczyła tańca), siedziała po turecku przy ławie; Ulrike, też brunetka, o półdługich włosach, z co najmniej pięcioma kolczykami w każdym uchu i jednym z lewej strony nosa, była attache prasowym w firmie nagraniowej, a w weekendy DJ - em. No i Solange, młoda Murzynka o zielonych oczach, która podniosła się z kanapy na powitanie. Mirna poznała ją, kiedy pracowała w biurze ubezpieczeń.

Solange była jedyną osobą, która zwracała się do niej w pracy jak do człowieka. Nic w tym dziwnego, skomentowała Solange ze śmiechem. Styl ubierania się Mirny był raczej szokujący.

Ulrike oznajmiła, że od dwóch godzin zamiast muzykować wysłuchują opowieści Mirny o Jamesie Allenie.

- Byłyśmy bardzo ciekawe, jak wygląda dziewczyna udająca faceta. Dlaczego to robisz?

- Nie musisz odpowiadać - oświadczyła Dafne, całując Jamesa Allena w policzki. - Ulrike specjalizuje się w niedyskretnych pytaniach.

Koleżanki Mirny pożerały wzrokiem Jamesa Allena, a ta rozglądała się ciekawie po kątach, zachwycając się kolorowymi drzwiami, doniczkowymi kwiatami, wypełnionymi bibelotami półkami, okrągłym dywanem pod stołem, narzutami na fotele i kanapę w ciepłych kolorach. Kuchnia, na styl amerykański, oddzielona była od reszty pomieszczenia murkiem, przy którym stały trzy wysokie taborety.

- Możesz rządzić w kuchni. Właśnie miałyśmy napić się herbaty. Też chcesz?

Herbaciany test. Popijając herbatę i odpowiadając na pytania przyjaciółek między bułeczką scones a kanapką z ogórkiem (reminiscencja z angielskiego dzieciństwa Mirny), James Allen czuła się jak narzeczony, który przyszedł z wizytą do rodziców, aby poprosić o rękę ukochanej.

Solange, dowiedziawszy się o pasji Jamesa Allena do sztuki kulinarnej, z powagą zapytała ją o różnicę między ciastem kruchym a piaskowym, ale kolejne pytania zastąpione zostały żartami. Ulrike zainteresowała się zaletami piany z białek ubitej widelcem w porównaniu z tą ubitą mikserem. Niezbyt zainteresowana znajomością technik kulinarnych Dafne oświadczyła, że dyskusje te nigdzie nie prowadzą, bo na razie, nie ma co wrzucić na ząb. Wykorzystując ten pretekst, James Allen uciekła do kuchni. Zażenowana Dafne wyjaśniła Mirnie, że nie chciała nikogo urazić. Mirna uspokoiła ją i zaproponowała przyjaciółkom pozostanie na kolacji, jeśli oczywiście nie mają nic innego w planie.

Podczas gdy cztery członkinie zespołu Rogue Smud Band zastanawiały się nad refrenem i akompaniamentem do piosenki napisanej przez Solange, James Allen pogrążyła się w rozkoszach gotowania. Rozpoczęła przygotowania do kolacji robiąc przegląd składników nabytych w otwartym w niedzielę sklepie i tych, które znalazła w szafkach kuchennych i lodówce Mirny. Zapragnęła oddać hołd ich wspólnej pasji do sztuki kulinarnej.

Zaczęła od deseru. Postanowiła zrobić ciasto marchewkowe. Zabrała ze sobą swój kajet z przepisami i swoją miarkę, żeby nie pomylić się w proporcjach. Nie chciała dopuścić do żadnej wpadki.

Wymieszała margarynę i cukier, jaja i marchewki, pomarańczową skórkę i przyprawy korzenne, mąkę, drożdże i trochę ciepłej wody. Zawsze trzeba pamiętać o ciepłej wodzie. Mogłaby też dodać kilka

orzeczków, ale nie miała ich pod ręką; zresztą i tak dodawała je rzadko. Wstawiła ciasto do piekarnika w dobrze wysmarowanej masłem foremce. Umyła salaterkę, drewnianą łyżkę, blat i na nowo zabrała się do pracy. Na wejście będą pomarańcze z fenkułem, a jako danie główne pokrojone w plasterki piersi z kurczaka, duszone na patelni w białym winie i ziołach prowansalskich, podane z fettucini z tartym parmezanem.

Kiedy wyjmowała ciasto z pieca, podniosła głowę i zobaczyła obserwującą ją Mirnę. Uśmiechnęły się do siebie. Mirna usiadła na jednym z taboretów i zaproponowała kir.

Aperitif oznaczał koniec tworzenia. Mirna nie miała głowy do składania tekstów piosenek. Wolała korzystać w pełni z towarzystwa swej nowej przyjaciółki. Odstawiła gitarę basową pod ścianę koło biblioteczki. Ulrike schowała flet, Dafne skrzypce, a Solange zajęła się porządkowaniem pokoju.

Kiedy ciasto marchewkowe ostygło, James Allen zakończyła dzieło, polewając je lukrem cytrynowym; wiedziała z doświadczenia, że kwaskowa nuta cudownie pasuje do słodkiej pulchności.

W chwili, kiedy zasiadały do stołu zadzwonił telefon. Mirna odeszła w głąb mieszkania. Wróciła kilka minut później ze zmartwioną miną.

- Coś się stało? - zapytała Dafne.

- Dzwonił Hanif. Chciał wpaść, ale powiedziałam mu, że teraz jestem zajęta i że możemy spotkać się jutro...

- Znasz brata Mirny? - zainteresowała się Solange.

James Allen uśmiechnęła się. Mirna opowiedziała filuternym tonem, jak to Dalil zaprowadził Jamesa Allena do nocnego klubu, aby przedstawić mu Hanifa. A ten chciał go uwieść. Tańczyli razem i Hanif nawet się nie zorientował, że James Allen nie jest tym, za kogo się podaje.

- James Allen, twój sos z białego wina z ziołami jest boski - oświadczyła Dafne, nakładając sobie dokładkę. - Czy nie zechciałabyś wpaść do mnie i czegoś ugotować? Moja kuchnia jest o wiele większa od kuchni Mirny.

James Allen kiwnęła żartobliwie głową, ale Mirna, która siedziała obok niej, wzięła ją za rękę.

- James Allen jest moja. Nie pożyczam jej.

- Nieźle ci się udało - wyszeptała Dafne, koncentrując się nagle na swym talerzu.

- No, a jak miewa się twój brat? - zapytała Solange. - Nadal zakochany w tym swoim Irlandczyku?

- No właśnie, muszę się was poradzić w tej sprawie. Mirna streściła rozmowę telefoniczną z Patrickiem z poprzedniego dnia. Wyjawiała im również, że ma zamiar zaproponować Patrickowi przyjazd w przyszłą sobotę, na urodziny Hanifa.

Dafne, która najwyraźniej nadal przeżywała swoje ostatnie rozstanie, nazwała Mirnę niepoprawną romantyczką. Poradziła jej nie mieszać się w sprawy brata. Solange, jak zwykle praktyczna, stwierdziła, że dobrze byłoby, gdyby Patrick, który mieszka blisko gorzelni, przywiózł w walizce butelkę czy dwie Black Bush, pysznej irlandzkiej whisky. Na zakończenie Ulrike, jedyna z grupy znająca Irlandię (mieszkała tam przez rok i dzięki stypendium zwiedziła wyspę wzdłuż i wszerz), zrobiła całą listę absolutnie niezbędnych płyt z muzyką. Ukazały się już kilka miesięcy temu, a do tej pory były niedostępne zarówno we Francji, jak i w Niemczech.

- Czy myślisz, że Patrick zgodziłby się przywieźć mi je? Oczywiście zwrócę mu koszty. Są tam dwa kawałki, które chciałabym zagrać, a gdyby zabrał ze sobą swój bodhran, to w sobotę byłoby genialnie. Fajnie byłoby też, gdyby przywiózł jakąś swoją muzykę, posłuchalibyśmy czegoś nowego...

W ten sposób James Allen odkryła, że grupa przyjaciółek, działająca już od czterech lat, specjalizuje się w muzyce celtyckiej: Ulrike gra na irlandzkim flecie i flażolecie, Dafne na skrzypcach, Mirna na gitarze basowej, a Solange śpiewa.

Opowiedziała im, że u niej w rodzinie brat i ojciec mieli muzyczną smykałkę. Ojciec był perkusistą w zespole jazzowym pięćdziesięciolatków, produkujących się raz w tygodniu w barze obok domu. Brat grał kiedyś na pianinie, wszyscy myśleli, że będzie to jego zawód, ale głupi wypadek w czasie meczu siatkówki w liceum sprawił, że złamał sobie oba serdeczne palce. Tak więc kariera muzyczna została bezpowrotnie zaprzepaszczona. Zajął się malarstwem. Nigdy więcej nie grał, a nawet sprzedał pianino.

Kiedy koło jedenastej wieczorem w mieszkaniu nastąpiła cisza, Mirna i James Allen mogły wreszcie dać upust zmysłom, które z powodu pikantnych żarcików Ulrike i Solange oraz dyskretnych

pieszczot - dłonie muskające uda pod stołem, dotykające się stopy,
zamglone spojrzenia - rozżarzyły się jak węgiel.

Wśród chmary Kupidynów, opiekunowie Lilian (wzruszony do łez, co zdziwiło nawet jego samego) i Mirny (mogący z ulgą stwierdzić, że jego strzała wbiła się w godne tego serce) wzniesli wspólny toast za harmonię panującą między ich podopiecznymi.

Co, trzeba przyznać, nieczęsto się zdarzało.

Rozdział 27

Hanif udał się na cmentarz Pere - Lachaise. Spędził tam popołudnie, czekając na spotkanie z Mirną. Powiedziała, żeby przyszedł koło ósmej, wyjdzie trochę wcześniej z pracy, zjedzą razem kolację - ma mu tyle do powiedzenia. On też chciał jej opowiedzieć o swym pogmatwanym życiu.

Spacerował po cmentarnych alejkach spotykając starsze panie. Odczytywał na grobach zapewnienia miłości i daty, wrywał chwasty, poprawiał plastikowe wazon, składał na stosy zwiędłe kwiaty. Często w ten sposób oddawał hołd zmarłym.

Przechadzał się po cmentarzu jak po mieście umarłych. Myślał o przeszłości streszczonej w nazwisku lub dwóch, w przypadku zamężnych kobiet, w datach początku i końca, w kilku ciepłych słowach. A co z resztą, z tym, o czym te słowa i daty nie mówiły?

Dlaczego nie wykuwa się na cmentarnych tablicach czegoś, co mówi o fragmencie z życia zmarłej osoby, prawdziwego wspomnienia o niej: „Kiedy po raz pierwszy ujrzałem Marie Dubuisson, z domu Perrin (1928 - 2004), ubrana była w suknię w czerwone kropki i śliczne czarne pantofelki. Miała radosne oczy, jej śmiech, entuzjazm, z jakim podchodziła do życia, jej usta muskające niczym skrzydła sikorki moje policzki, jej radość towarzyszyły każdej naszej wspólnie spędzonej chwili, wbrew zmartwieniom i burzom, wbrew utracie pracy i temu zasranemu samochodowi, który przejechał nasze najmłodsze dziecko któregoś wiosennego ranka. Marie była moim słońcem i płaczę po jej stracie. Jest mi tak smutno, odkąd odeszłaś, Marie. Kocham Cię, twój Jean - Marc”

Zamiast tego pozostawały albumy z pożółkłymi fotografiami i wspomnienia w zakamarkach pamięci rodziny i przyjaciół, ulotne, jak ślady stóp na mokrym piasku - woda szybko je zmywa, jakby nigdy ich tu nie było. Upływające życie stawia na naszej drodze innych ludzi, inne miłości i trudno jest ocalić od zapomnienia tamte kolory i doznania.

Hanif pomyślał o ludziach samotnych, tych, których życie przypominało spadającą gwiazdę i jej krótki błysk na czarnym niebie; tych, którzy nie mieli przyjaciół, których nikt nie wspominał, kiedy schodzili z tego świata, ich życie, długi ciąg następujących po sobie dni, odchodziło wraz z nimi w niepamięć. Przerazała go samotność. Chciał, aby ktoś o nim pamiętał. Szarość i biel wokół,

nieuporządkowane groby i pochmurne niebo wznagały tylko jego chandrę.

Ciążył mu ten zły nastrój. Nie wiedział, jak się z niego otrząsnąć. Przeżywał wczorajszą sprzeczkę z Dalilem. Przyjaciel zasypywał go teraz esemesami. Nawet nie miał zamiaru odpowiadać. Czuł się zdradzony.

A może zadzwonić do Patricka? Opowiedzieć mu wszystko? Wszystko? Ale co? Że zadurzył się w Jamesie Allenie Stevensonie? Marzył o nim? Podobała mu się raczej jego twarz niż sylwetka, usta, spojrzenie, rozczulający sposób, w jaki poruszał rękoma w tańcu. Kochanek nie potrzebował tego rodzaju zwierzeń. Nie był idiotą, z pewnością domyślał się czegoś. No i przecież nic się nie wydarzyło. Tylko rozmyślanie, wyobrażanie sobie.

Nie mógł zapomnieć zranionego spojrzenia Jamesa Allena. Spokoju i godności, z jakimi stawiał czoła okrucieństwu. A on sam nawet nie kiwnął palcem. Dalil zachował się jak ostatni cham, a on spokojnie na to patrzył. Nawet nie drgnął. Jakże w takiej sytuacji James Allen mógł czy mogła uwierzyć w jego szczerść? „Chciałabym się z tobą spotkać”. Oczywiście, że nie mógł. Już nigdy się nie zobaczą. Ich drogi się rozminęły, miał co do tego absolutną pewność. Przeświadczenie to miało smak rdzy.

A gdyby zadzwonił do Patricka i powiedział mu: dostałem twój list, przyjeźdź, opowiem ci, co mi się przytrafiło?

Nie zdarzyło się nic. Ułuda. Wizja. Nic konkretnego, nic czego można dotknąć, raczej coś, co przypomina zmiany pór roku lub podmuch wiatru nad oceanem. A ja jestem jak porwany przez fale kamyk, bezwolny. Nie jestem w stanie zrobić nic, tylko położyć się na jednym z tych grobów i patrzeć na spadający na mnie deszcz.

Chciałbym zapomnieć o wszystkim, zapomnieć o niebieskim smutku w oczach Jamesa Allena. Nie myśleć o tym, jakbym się czuł, gdybym był na jego miejscu; jego wrażliwość przypomina moją. Jesteśmy tacy do siebie podobni. To artysta, transwestyta, drugi ja.

Rozdział 28

Hanif bardzo lubił mieszkanie swojej siostry, zupełnie inne niż jego. U niego białe ściany, wypastowany parkiet i szary dywan, przezroczyste meble high - tech, na ścianach czarno - białe fotografie nagich, obejmujących się mężczyzn. Ramiona i plecy, fallusy i brzuchy, ciemna lub biała skóra w świetle padającym przez weneckie story, czerń i biel świeżych lub spoconych w miłosnych pojedynkach ciał. Niektóre ze zdjęć inspirowane były sceną z „Love”, filmu Kena Russella, w której nadzy Alan Bates i Oliver Reed walczyli ze sobą w świetle płomienia z kominka; widział ten film z siostrą wiele lat temu.

Dwupokojowe mieszkanie Mirny przypominało kolorowy zachód słońca. Ściana od strony kuchni pokryta była niezliczoną ilością małych ramek ze zdjęciami przyjaciół i różnych pejzaży; na półkach stały powieści w języku angielskim, książki o sztuce, książki podróżnicze.

Kiedy Hanif zapytał siostrę skąd pochodzi wielki bukiet żółtych, czerwonych i pomarańczowych róż, który królował na środku kredensu, policzki jej momentalnie spurpurowiały.

- To coś poważnego?

Jak najbardziej. Obiecała, że wkrótce przedstawi wybrankę, ale w uszach Hanifa zabrzmiało to jak nigdy. Czyżby zrobił coś, co nadwerężyło jej zaufanie?

Mirna otworzyła butelkę saint - amour, którą przyniósł Hanif, i naląła wino do dwóch kieliszków. Rozłożyła potem do miseczek humus, taramę (Specjalność kuchni greckiej i tureckiej, pasta z ikry rybnej, doskonała z blinami lub toastami, na przekąskę lub aperitif), czarne oliwki, faszerowane liście winogron, wyjęła chleb z ziarnem sezamu i usiadła naprzeciwko niego - no to za zdrowie i miłość.

A potem przeszła do sedna sprawy. W czasie rozmowy telefonicznej Patrick mówił jej, że obawia się, że Hanif poznał kogoś. Miał rację?

- To skomplikowana historia - wymamrotał Hanif, rozsmarowując starannie taramę na kromce chleba.

- Czy dostałeś jego list? Ten, w którym pisze, że wybiera się na dłużej do Paryża?

Hanif przytaknął. Umoczył czarną oliwkę w humusie, rozmyślając o Patricku. Rzeczywiście przyjaciel musiał się niepokoić,

jeśli zadzwonił do Mirny. Serce Hanifa zaczęło bić mocniej na myśl o irlandzkim kochanku (stanowczo był romantykiem).

W przestworzach niewyraźne miłosne mgiełki zaczęły wreszcie formować się w pulchne chmurki.

Mirna nie posiadała telepatycznych zdolności, więc nie była w stanie odgadnąć myśli i emocji brata, nawet jeśli wiedziała, że kocha się on w rugbyście z Ulsteru. Hanif przyjął pozę „Myśliciela” Rodina, dłoń podpierająca brodę, wzrok utkwiony w dal.

- Chcesz z nim zerwać?

- Co? Nie. Oczywiście, że nie! - wykrzyknął. - Kochamy się przecież.

- No więc, co się dzieje? Dlaczego do niego nie dzwonisz? Nie chcesz, żeby przyjechał?

Hanif wzruszył ramionami, aby ukryć zakłopotanie.

- To z powodu Jamesa Allena.

- Co? - wykrzyknęła Mirna.

Przekonany, że siostrę przeraża myśl, że byłby zdolny do związku z dwoma facetami jednocześnie, Hanif rzekł z wysiłkiem:

- Myślę o nim bez przerwy.

Mirna opróżniła kieliszek i dołała sobie wino drżącą ręką. James Allen? Czyżby jej Dulcynea od trzech tygodni prowadziła podwójne życie? Nie chciało jej się w to wierzyć, ale sprawa wymagała wyjaśnienia, zwłaszcza że zazdrość przypomniawszy jej dotkliwie o swoim istnieniu.

- Widziałeś się z nim od wieczoru w klubie?

- Wczoraj, i skończyło się to katastrofą.

- Cóż takiego się stało?

Poprzedniego dnia Mirna nie zdołała dowiedzieć się, z jakiego powodu przyjaciółka miała czerwone oczy i dlaczego na wszelkie pytania odpowiadała pocałunkiem lub pieszczotą.

- Debilny plan nie wypalił - odpowiedział zażenowany. - Dalil był okropny. Nie wiem, co go ugryzło. A raczej dobrze wiem. W każdym razie wszystko stracone. James Allen przekreślił mnie na zawsze.

Opowiadając jakąś historię lub zdarzenie, Hanif streszczał wszystko w kilku niejasnych zdaniach. Rozmówca często darmo czekał na szczegóły.

- Hanif, nic z tego nie rozumiem. Co się stało?

- Chciałem spotkać się z Jamesem Allenem i jako Carlotta poszedłem do niego do pracowni z Dalilem, który zachował się ohydnie. Wyszliśmy po kwadransie.

- Wydawało mi się, że Dalil bardzo ceni jego twórczość.

- Najgorsze jest to, że on uwielbia to, co robi James Allen. Ale...

- Hanif!

- Dalil odkrył w Internecie, że James Allen jest dziewczyną udającą faceta - oświadczył rad nierad Hanif.

Mirna odpaliła natychmiast:

- No i co z tego? Carlotta jest facetem i nie wydaje mi się, żeby Dalil miał z tym jakikolwiek problem.

- To nie to samo.

- Nie? Jakie wrażenie zrobiła na tobie wiadomość, że James Allen jest kobietą?

- Absolutnie nie zmieniło to moich uczuć - stwierdził Hanif, podsuwając Mirnie swój kieliszek. - A właściwie to tak. Zacząłem na nowo myśleć o Patricku. Ale... znasz mnie przecież...

O tak! Mirna doskonale знаła skomplikowane przyjaźnie swojego brata z kolegami i koleżankami. Nigdy nie umiał się do końca zdecydować. Zaniepokoił ją także nostalgiczny ton w głosie Hanifa, zdecydowała się więc popchnąć go czym prędzej w ramiona profesora literatury Celtów.

- Nadal kochasz Patricka?

- Tak.

- I to uczucie jest dla ciebie najważniejsze - tak czy nie?

- Tak... Wiem, że masz rację. Zresztą, kiedy zapytałem Jamesa Allena, czy możemy znowu się spotkać, odmówił.

- Tak jak ci już mówiłam, najwyraźniej nie jest zainteresowany Carlottą - stwierdziła Mirna. - Pomożesz mi nakryć do stołu?

- Myślisz, że Hanif miałby u niego większe wzięcie?

Z powątpiewającą miną Mirna podała bratu obrus, dwa talerze w żółto - niebieskie paski, dwie ciemnozielone, papierowe serwetki.

Cała ta historia kryła w sobie wiele sprzeczności, męskość i żeńskość bawiły się z Hanifem w berka; wszystko byłoby dużo prostsze gdyby „on” czy „ona” mogli zaistnieć zwyczajnie, w słowach i w rzeczywistości... Spotkanie kogoś takiego, jak James Allen sprawiło, że brat zaczął wątpić w samego siebie. Dlatego złożył Mirnie wizytę: potrzebował wsparcia.

Kiedyś bez najmniejszego problemu odszyfrowywała cały wachlarz niuansów jego zachowania. Po żywiołowym okresie kolekcjonowania różnego rodzaju przygód, z którego wyszedł przedwcześnie dorosły, wstąpił w okres introspekcji i, zdaniem Mirny, tkwił w nim nadal. Owocem tej samoobserwacji była Carlotta, jego elokwentne, aczkolwiek cierpiące katusze alter ego.

Mirna z trudem akceptowała zniekształcony wizerunek kobiecości prezentowany przez brata. Jej zdaniem w niczym nie odpowiadał on rzeczywistości. Żadna znana jej kobieta nie przypominała Carlotty, żadna z jej przyjaciółek nie dbała tak bardzo o wygląd, nie poprawiała nieustannie fryzury. Niekończące się seanse szczotkowania, upinania ekstrawaganckich koków, cały ten cyrk z włosami, które zdaniem Hanifa stanowiły kwintesencję kobiecości, zbijał Mirnę z tropu.

Kiedy pojawiła się Carlotta, Mirna kilkakrotnie starała się dać do zrozumienia bratu, że nie akceptuje tej jego inkarnacji - kobiecości sztucznej, męskiej, ośmieszającej płć żeńską. Jednak znalezienie odpowiednich słów, aby nie poczuł się dotknięty lub osądzany czy wręcz skazany, okazało się na tyle trudne, że zrezygnowała z rozmów z bratem o jego żeńskim ja.

Traf chciał, że Carlotta zadurzyła się w innym przebierańcu. Czy powinno ich to zbliżyć, czy oddalić?

- Musimy pogadać o sobocie - rzekła Mirna, kiedy zasiedli do sałaty. - Skończysz dwadzieścia dziewięć lat... ostatni etap przed trzydziestką.

Roześmiała się, widząc jego przerażoną minę. Bał się przekroczenia progu trzydziestki, jak ognia, a ona nigdy nie mogła oprzeć się pokusie zakpienia sobie z niego. Nie musiał się przecież martwić: należał do osób, na twarzach których nigdy nie można było odczytać liczby minionych lat.

- Co zdecydowałyście w tej sprawie z mamą? - zapytał Hanif.

- Już dawno wysłałyśmy zaproszenia do twoich znajomych na imprezę w Popadom. Będzie muzyka, dobre jedzenie i picie. Ale pomyślałam sobie też, że fajnie byłoby zorganizować piknik w parku Andre - Citroen w sobotę po południu dla wybranych przyjaciół.

- Czemu nie? Przypuszczam, że nie mogę wiedzieć, kto przyjdzie?

- To niespodzianka - oznajmiła tajemniczo Mirna.

- Twoja wielbicielka też będzie?

- Zapytam. Ale nie jestem pewna, czy się zgodzi.

- Jest aż tak nieśmiała? Opowiedz mi coś o niej. Kiedy ją poznałaś?

- Kilka tygodni temu. Miłość od pierwszego wejrzenia i z wzajemnością.

- Co robi?

- Jest artystką.

- Czy ma jakieś imię?

Z bijącym sercem Mirna położyła obie dłonie płasko na stole, obok swojego talerza. Spojrzała bratu prosto w oczy.

- Nazywa się James Allen Stevenson i kocham ją, jak nigdy przedtem nikogo nie kochałam.

Hanif, który właśnie zbliżał kieliszek wina do ust, odstawił go.

- James Allen i ty?

- Tak.

- Jesteście... razem?

- Uhm.

- Nabijasz się ze mnie...

Radosny uśmiech Mirny pomógł Hanifowi zejść na ziemię i zapomnieć o egzystencjalnych problemach.

- Dlaczego nic mi nie mówiłaś?

- Właśnie ci mówię.

- To trochę żenujące - milczał przez chwilę. - Czy ona wie, kim jestem, to znaczy, że Carlotta to ja?

- Nie przypuszczam. Opowiadała mi tylko o waszym wspólnym wyjściu do nocnego klubu. A kiedy spotkałyśmy się wczoraj po południu, nic mi nie mówiła o wizycie w pracowni.

Hanif stracił apetyt i rozsiadł się wygodnie na krześle. Przyszedł z zamiarem otwarcia serca przed siostrą i odkrył przy okazji, że życie napisało zupełnie inny scenariusz z nietykalnym od tej chwili Jamesem Allenem w roli głównej. Stał się kozłem ofiarnym komicznej perypetii. Czy na pewno komicznej? Nie wiedział, co o tym myśleć. Cieszył się szczęściem Mirny. Ale był zawiedziony, że musi się poddać bez walki.

- James Allen jest ze mną i nie chcę żadnych kłopotów, Hanif. Wiem, do czego jesteś zdolny. Obiecuj mi, że nie będziesz jej już podrywał.

Podniósł dłonie do góry, poddał się z rezygnacją. Nie mógł postąpić inaczej. Mirna była jego siostrą, James Allen wpadła w jej ramiona, więc ktoś musi przegrać.

- Masz dużo szczęścia.

- Ty też, Hanif. Masz Patricka.

Poczęstowała go ciastem marchewkowym, zrobionym przez Jamesa Allena; opowiedziała mu o lassi i o naleśnikach na śniadanie. Hanif słuchał z roztargnieniem, delektując się wymieszanymi smakami cynamonu, gałki muszkatolowej, skórki z pomarańczy i cytryny, rozmyślając o amerykańskim artyście. James Allen stał się zupełnie nieosiągalny, ale nie zniknie całkowicie z jego życia. Ogarnęło go głębokie uczucie ulgi, któremu towarzyszyła przerażająca myśl: jak spojrzeć mu w oczy po wczorajszym wydarzeniu?

- O czym rozmyślasz? - zapytała Mirna połykając ostatni kęs ciasta.

- O szczęściu, jakie cię spotkało, że trafiłaś na kogoś takiego, jak James Allen.

- Ty miałaś równie dużo szczęścia, spotykając Patricka. Hanif melancholijnie wzruszył ramionami. Mirna wstała od stołu i usiadła obok brata. Objęła go, przytuliła się do niego.

- Co się dzieje? Chwycił ją za rękę.

- Boję się. Boję się, że wszystko zepsuję, że nie będę umiał żyć z Patrickiem. Cieszę się, że przyjeżdża, ale jednocześnie przeraża mnie to. Nigdy nie mieszkałem z kimś długo. Boję się, że jeśli zamieszkamy razem, nasz związek nie utrzyma się. Boję się codziennej rutyny, która robi z nas stare małżeństwo.

Mirna wstała i szturchnęła go ostro pięścią.

- No wiesz co! Nawet mu nie odpisałeś! Nie wydaje ci się, że trochę przesadzasz?

- Masz rację, ale... Obawiam się, że jeśli zamieszkamy razem, stracę go. Ale jeśli nie zamieszkamy, to też go stracę.

- Najpierw spróbuj, a potem zaczniesz się bać. Przecież mieszkaliście już razem w Irlandii. To też była rutyna?

- Absolutnie nie.

- To dlaczego ma się tak stać teraz?

W odpowiedzi Hanif znów nalał im wina do kieliszków. Dzwonek telefonu wypełnił niepewną atmosferę. Mirna rzuciła się w

stronę niskiego stolika, na którym stał aparat. Mrugnęła do Hanifa. Brat uśmiechnął się ze zrozumieniem: dzwonił z pewnością James Allen. Siostra wyszła do przedpokoju.

- To Patrick - zaanonsowała kilka minut później, oddając bratu słuchawkę.

Zaskoczony pokręcił przecząco głową. Mirna ponownie przykleiła telefon do ucha:

- Jest przy mnie, ale pokazuje na migi, że nie może z tobą rozmawiać - wyjaśniła. - Mówiłam ci, wstydzisz się, że nie odpowiadał tak długo - pokazała język wygrażającemu jej bratu. - Wykrzywi się teraz do mnie. Nie, nic mu nie mówiłam, nie jestem kompletną idiotką. Dobra, jeśli nalegasz - zwróciła się do brata. - Patrick chce, żebym ci powiedziała, że wiedział, że przyjdiesz dziś do mnie na kolację i dlatego dzwoni - zaczęła uciekać po pokoju. - Mówi, że dziś było bardzo ładnie w Portstewart - oznajmiła - i że poszedł na spacer Drogą Olbrzymów i... nie! Coś podobnego! Naprawdę to zrobiłeś...?

Uśmiechnęła się, widząc wstającego wreszcie Hanifa. Trzema susami podskoczył do niej i wyrwał jej aparat z ręki.

- Daj mi to. Patrick... to ja.

Teraz on wyszedł do przedpokoju i starannie zamknął za sobą drzwi. Zadowolona Mirna usiadła z powrotem przy stole i spokojnie dokończyła lampkę wina.

Rozchmurzone Kupidyny Patricka i Hanifa znów postawiły leżaki obok siebie. Najbliżsi sąsiedzi obdarzyli ich dobrotliwymi i pogodnymi spojrzeniami i natychmiast przekazali wiadomość Amorkom mieszkającym dalej.

Depresyjna Wichura zdawała się oddalać, pozostawiając miejsce Czującym Słówkom i innym Słodkim Obietnicom.

Rozdział 29

Kiedy Patrick obudził się w piątek o świcie, wiosenne słońce królowało nad światem. A że światłość ta była wyjątkowa w ołowianym zazwyczaj o tej porze roku krajobrazie, uznał ją za bardzo dobrą przepowiednię przed podróżą do Paryża.

Mirna poprosiła go, aby posłużył jej za urodzinowy prezent dla Hanifa. Słowo „niespodzianka” nie mieściło się w słowniku Patricka, ale chęć zaskoczenia Hanifa i zobaczenia go jak najszybciej oraz entuzjizm Mirny spowodowały, że przystał na tę urodzinową spontaniczność. Decyzję podjął, wyjaśniając studentom, dlaczego ukryty w gałęziach drzew i przemieniony w ptaka szalony król Sweeney może być uważany za symbol artysty walczącego z przesadami religijnymi orężem słów.

Kiedy ze sportową torbą na ramieniu wyszedł ze swego przytulnego domu, lało jak z cebra. Obojętny na deszcz nie myślał już o niczym innym, jak o spotkaniu z Hanifem.

Taka postawa podirytowała, oczywiście, wyższe instancje (wszystkie te, które w przestworzach Wiatr Depresji wydobył z otchłani) odpowiedzialne za pogodę i deszcz. Obrażone za brak uwagi wyrażały swoje niezadowolenie ulewą. Los również wtrącił się w podróż Patricka i dorzucił niespodziewane i huraganowe porywy wiatru oraz lodowatą mgłę, która pokryła szronem koła samolotów, utrudniając im, a szczególnie pilotom, pracę.

Po godzinie oczekiwania na lotnisku Patrick wsiadł z innymi pasażerami do kabiny, zapiął pas, usłyszał huk silników i zamknął oczy. Maszyna ruszyła i zatrzymała się po pięciu minutach kołowania za jakimś hangarem. Pilot uprzedził, że samolot wystartuje, gdy uspokoi się burza szalejąca nad Irlandią Północną. Targane wiatrem uderzenia ulewy o okienko samolotu miały w sobie hipnotyczną moc i Patrick w końcu zasnął.

Od czasu do czasu w głośniku skrzypiał głos kapitana, który informował pasażerów o natychmiastowej (i bardzo elastycznej) chwili startu. Wyrwany ze snu spowodowanego tym niekończącym się oczekiwaniem Patrick otwierał jedno oko i spoglądał na zamglone okienko. Zaspany zauważył w duchu, że taka wilgoć między podwójnymi szybami samolotu świadczy o jego wątpliwej szczelności. Na zewnątrz klapy na skrzydłach podnosiły się i opadały, jak u dużego ptaka straszącego pióra.

Po trzech godzinach samolot wystartował, pozostawiając swemu losowi szmaragdowy klejnot mórz północy, Irlandię, i wpadł dziobem w burzę. Sączenie whisky i chrupanie orzeszków stało się niemożliwe. Patrick na nowo zamknął oczy, chwycił się kurczowo oparcia i za każdym razem, gdy wpadali w dziurę powietrzną, przestawał oddychać. Ze skurczonym żołądkiem czekał, aż przelecą mile dzielące Belfast od Paryża.

Niektóre eskapady charakteryzują się tym, że kumulują wszelkie przeszkody. Podróż, którą właśnie odbywał Patrick, należała do kategorii nieszczęsnych. Ukoronowaniem pełnego turbulencji lotu było nieprzyjemne lądowanie i długie oczekiwanie w samolocie na wyjście (przednie drzwi zablokowały się i wszyscy pasażerowie musieli wysiadać tylnymi). Wyczerpany i głodny wsiadł do taksówki o dwudziestej. Warunki atmosferyczne wspaniale odegrały swoją rolę - nadeszła pora na problemy techniczne.

Kierowca taksówki okazał się równie uroczy, co debiutujący w zawodzie. A kiedy na autostradzie złapali gumę (w tylnym lewym kole) dokładnie w chwili, kiedy zaczął siąpić francuski kapuśniaczek, młody Irlandczyk poczuł, że zbiera mu się na śmiech. Nie pozostawało mu nic innego, jak pomóc nieprzyzwyczajonemu jeszcze do nowego samochodu kierowcy odszukać w bagażniku lewarek i koło zapasowe. A potem wspólnymi siłami naprawili usterkę.

Do Popadom & Co dotarł o dwudziestej drugiej trzydzieści, a komitet powitalny w składzie: Mirna, Pimmi, James Allen, Solange i Dafne, do których wczesnym wieczorem dołączył Justin, odetchnął z ulgą. Spokojna już Mirna złożyła na policzkach zniewalającego Patricka dwa siarczyste całusy, a on wyciągnął z torby butelki whisky, bodhran, dyski, całego wędzonego łososa (postanowili zrobić z niego kanapki na piknikowy aperitif) i dwa wełniane szaliki - niebiesko - zielony dla Pimmi i malinowo - bordowogranatowy dla Mirny. Ta zaś przedstawiła go dwóm nie znającym go jeszcze osobom: swojej ukochanej James Allen (której ambiwalencja seksualna została, za jej zgodą, od razu wyjaśniona) i jej najbliższemu przyjacielowi Justinowi, który przybył na początku tygodnia i miał zamiar wyjechać w poniedziałek rano.

Komitet organizacyjny zasiadł do stołu. Patrick wśliznął się między Pimmi i Dafne, Solange siedziała u szczytu, Justin naprzeciwko Patricka z Jamesem Allenem po lewej i Mirną po prawej

stronie. Menu składało się z wybornego biryani (ryżu Basmati z baraniną). Nałożyli sobie kolejno, a potem Patrick ze swym śpiewnym akcentem z kraju północy i właściwym dla siebie poczuciem humoru opowiedział im swój dzień.

Rozdział 30

Lilian i Justin przybyli do parku Andre - Citroen w sobotę wczesnym popołudniem. Zwiedzili ogród japoński, szklarnię, usiedli na dłuższą chwilę przy fontannie, potem przenieśli się na betonowy murek ciągnący się wzdłuż trawnika. Grzało ich przyjemne, kwietniowe słońce. Justin powoli przychodził do siebie po rozstaniu z Tedem, który następnego dnia po przybyciu do Paryża nabrał dystansu do ich związku (mówiąc wprost: zerwał brutalnie i bez wypowiedzenia). Przylecieli we wtorek i poszli na kolację do restauracji niedaleko hotelu, a w środę, tuż przed poranną kawą, Ted oznajmił, że wszystko między nimi skończone i że po południu zamierza wracać do Bostonu.

- Już cię nie kocham - oświadczył siedząc na skraju łóżka, w którym jeszcze leżał Justin, i zapinając koszulę. - Trwa to już jakiś czas. Myślałem, że to chwilowe, że minie, że miłość powróci, ale to bzdura sądzić, że uczucie wraca. Kiedy zaproponowałeś podróż we dwóch do Paryża, pomyślałem sobie, że to dobry pomysł, że to podsyci wygasający ogień. Wczoraj wieczorem w restauracji zrozumiałem jednak, że oszukiwałem ciebie i siebie. Przykro mi, Justin, ale to koniec.

Usta Teda wyrzucały z siebie setki słów, które płynęły nieprzerwanym potokiem uniemożliwiającym jakiegokolwiek pytanie. Ted przerywał tylko po to, by nabrać oddechu i zlizać językiem zbierającą się w kącikach ślinę. Wcześniej nic nie mówił, bo liczył na to, że wszystko między nimi się ułoży.

Justin nie uwierzył nawet w jedno słowo, mdliło go na widok fałszywego współczucia malującego się na twarzy Teda.

- Dalsze udawanie nie ma sensu - kontynuował Ted nie patrząc na niego - więc nie zostanę do poniedziałku. Wylatuję po południu, już zarezerwowałem bilet. Ale ty pobądź w Paryżu. Spotkasz się z Lilian. W tym czasie opuszczę mieszkanie. Miguel przygarnie mnie, aż coś znajdę. Naprawdę tak będzie lepiej. Nie wydaje ci się?

Leżący w łóżku Justin zamknął oczy. Otworzył je na nowo, kiedy drzwi zamknęły się za Tedem.

Na dwa dni zaszył się w ciszy. Potem pojawił się u Lilian przebranej za mężczyznę (nie był w stanie nazywać jej James Allen), poznał Gheorghe i jego przyjaciółkę Sylwię, która zaprosiła całe towarzystwo do siebie na raclette. Mieszkała z sześciolatkiem synem

Nicolasem. Justin spędził z chłopcem większą część wieczoru grając na PlayStation.

Lilian szybko zrozumiała, że Justin nie chce mówić o szczegółach zerwania z Tedem - rany były zbyt świeże, zwierzenia przyjdą później. Opowiedziała mu więc o swoich własnych przeżyciach, o Mirnie, Hanifie, Carlocie i Dalilu. O tym, że zastanawia się, czy pójść na urodziny Hanifa i nie wie, jaką postawę przyjąć wobec Dalila.

Lilian w nieskończoność przeciągała decyzję, jak ubrać się na przyjęcie urodzinowe. Mirna potwierdziła to, co ona sama instynktownie przeczuwała: to jej męska aparycja zdecydowanie zraziła Dalila. Ubrać się jak dziewczyna? Pozostać chłopakiem? Sama już nie wiedziała, a każdy z zapytanych przyjaciół miał na ten temat inne zdanie. Wybór był trudny.

- Podobasz mi się niezależnie od tego jak się ubierzesz - powtarzała niestrudzenie Mirna, która i tak przywiązywała umiarkowaną uwagę do swojego lub cudzego wyglądu.

Justin wolał ją jako chłopaka, ale zasugerował, żeby zaskoczyła wszystkich dziewczęcym ubiorem na pikniku, a na wieczór w Popadom & Co powróciła do stroju Jamesa Allena. Kiedy Gheorghe zobaczył jej zdjęcie, starannie przechowywane przez Justina w portfelu - ona i Justin, śmiejąc się, trzymając się siebie kurczowo, bo stoją na skale otoczonej wodą - poradził jej to samo. Trochę później zwierzył się po cichu Justinowi, że nie rozumie, dlaczego tak piękna dziewczyna przebiera się za chłopaka. Justin stwierdził na to, że piękno jest rzeczą subiektywną. Wszczęli ożywioną dyskusję na ten temat.

Lilian całe popołudnie przechadzała się od butik do butik i przeglądała w sklepowych lustrach. Jej męski strój odpowiadał jej, dobrze się w nim czuła. Nie miała na razie ochoty na zmianę. I tak będzie musiała się nad tym zastanowić po powrocie do Bostonu. Postanowiła pozostać przy męskim ubiorze, urozmaicając go nieco - od kiedy wiosenne słońce rozweseliło ulice Paryża, eleganckie, czarno - szare ciuchy zaczęły jej się trochę nudzić. Po kilkugodzinnych poszukiwaniach trafiła na marynarkę i spodnie z ciemnego dżinsu, które leżały jak ulał na jej wąskich biodrach, i skarpetki w kolorowe prążki, którym nie mogła się oprzeć. Zamierzała udać się w drogę powrotną do Cite des Arts, kiedy ujrzała na jednej z wystaw piękną, niebiesko - zielono - malinową spódnicę w kwiaty. Weszła do sklepu i

poprosiła o nią. Nie zważając na pełne dezaprobaty spojrzenie sprzedawczyni zamknęła się z nią w przymierzalni. Spędziła w niej kilka minut. Przymierzyła spódnicę i pasującą do niej bluzkę z długimi rękawami.

Oczywiście należałoby zdjąć bandaż ściskający piersi, lekko się podmalować, nałożyć dyskretny cień na powieki, nie nakładać żelu na włosy, dodać ewentualnie korale, kolczyki, dopasować buty i rajstopy. Uśmiechnęła się wyobrażając sobie siebie w pomarańczowych lub fioletowych rajstopach.

Pomyślała o Mirnie, opanowała ją chęć zaskoczenia jej, zauroczenia jej inaczej i spodobania jej się jeszcze bardziej. To dla niej Lilian chciała się odmienić na jedno popołudnie, tylko po to, żeby wyszeptać jej do ucha: „Mirna, kocham cię”

W końcu więc wystrojona w kolorowe, kobiece łauszki udała się w towarzystwie Justina na piknik.

Rozdział 31

Justin i Lilian obserwowali z daleka nadchodzących gości. Pierwsze przyszły Mirna i Dafne. Rozłożyły na trawniku obrus z ceraty i postawiły na nim olbrzymi wiklinowy kosz. Wkrótce po nich nadeszli Hanif i Dalil. Prawie jednocześnie pojawili się Bob i Ulrike. Powitania. Pozdrowienia. „Cześć, co słychać?” i „Wszystkiego dobrego z okazji urodzin, Hanif”.

Na skraju trawnika, od strony fontanny stała Solange i wymachiwała bezskutecznie ramionami. Nie udało jej się zwrócić na siebie uwagi grupy przyjaciół, podbiegła zatem trochę bliżej. Kiedy była pośrodku rozległej murawy, zauważyła ją Mirna. Dała jej znak dłonią i podeszła do brata.

- Tego roku mój prezent urodzinowy jest szczególnie duży - oświadczyła. - I za ciężki dla mnie samej. Czy możesz zamknąć oczy, a ja pójdę pomóc Solange? Zgoda?

- Nie jestem za stary na takie wygłupy?

- Proszę cię, Hanif.

Brat rzucił siostrze i otaczającym ją osobom pytające spojrzenie. Najprawdopodobniej tylko uśmiechające się chytrze Dafne i Ulrike wiedziały, co się święci.

- No dobra, jak chcesz - Hanif zawiązał sobie chustkę Mirny na oczach. - Co to jest, ten prezent?

- Idę po niego. Za kilka minut będzie twój.

- To z pewnością jeden z tych twoich głupich żarcików... Pocałowała go w policzek i szepnęła mu do ucha:

- Wierz mi, na pewno ci się spodoba i z pewnością nie będziesz chciał się z nim rozstać przez cały wieczór...

Powierzyła brata pieczy Dafne i Ulrike, których zadaniem było uniemożliwienie mu podglądania, na wypadek, gdyby coś takiego przyszło mu do głowy, i pobiegła w stronę Solange.

- Dalil, Bob, co robi Mirna? - zapytał Hanif rozkazującym tonem.

- Nic mu nie mówcie, to niespodzianka - rzekła Dafne. Ujrzeni Solange biegnącą w stronę jednego z ukrytych ogrodów i wracającą po chwili w towarzystwie młodego mężczyzny.

- Coś podobnego!!! - wykrzyknął Dalil. - Siostra naprawdę się popisała.

- Tss! - ostrzegła Ulrike.

- Przecież nic nie powiedziałem...

- Czy to jest duże? - zapytał Hanif.

- Bardzo duże - odpowiedział śmiejąc się Bob. - Rzeczywiście Mirna mogłaby mieć problem z przyniesieniem go.

- To jak zaniosę go do domu? Będę musiał wziąć taksówkę?

- Możesz spróbować metrem... - zasugerował kpiąco Dalil.

Mirna, Solange i Patrick nadbiegli szybko, Irlandczyk zdawał się nosić siedmiomilowe buty.

- Już - powiedziała Mirna.

- Mogę zdjąć to coś, co zasłania mi oczy? Patrick pokiwał przecząco głową.

- Jeszcze nie - rzekła Mirna.

Ulrike i Dafne cofnęły się o krok, przepuszczając Patricka, który zbliżył się rozanielony i pocałował Hanifa wśród oklasków obecnych przyjaciół:

- Happy Birthday, Hanif - zanucił i ściągnął mu chustkę z oczu.

- To naprawdę piękny prezent - rzekł siedzący na murku w towarzystwie Lilian Justin - jego spojrzenie powędrowało w stronę śmiejących się Dalila i Boba. - Idziemy do nich?

- Tak, ale powoli...

Lilian poprawiła swój ładny kapelusz z szerokim rondem, Justin wziął ją za rękę i pomaszerowali razem trawnikiem w stronę hałaśliwej i radosnej grupy otaczającej zakochanych. Mirna, która zastanawiała się właśnie, dlaczego James Allen zrezygnowała z przyjścia, poczuła, że serce bije jej jak dzwon na widok zmierzającej w ich kierunku powolnym krokiem pary. Justin trzymał jakąś kobietę za rękę. Czyżby to była James Allen? Podbiegła do nich.

- Bałam się, że nie przyjdiesz...

Trochę zmieszana Lilian z uśmiechem wyciągnęła ramiona w stronę Mirny. A ta poczuła ogarniające ją wzruszenie, widząc żeńskie oblicze przyjaciółki, jej łagodne rysy i kobiece kształty. Zdarzyło się to po raz pierwszy od chwili, kiedy znalazły się razem pod prysznicem, a potem się kochały. Pozwoliła się objąć, z głową na piersi Jamesa Allena przytknęła oczy i z rozkoszą wdychała świeży zapach grapefruita i bergamoty.

- Jesteś taka piękna - wyszeptała, z żalem unosząc głowę. Dyskretny pocałunek w usta. Napotkała wzrok Justina.

- To ty poradziłeś jej tak się ubrać?

- Nie, to nie on. To ja chciałam zrobić ci przyjemność - wyjaśniła James Allen. - Ty też jesteś piękna. Bardzo ci ładnie w tych czerwonych spodniach. Powinnaś częściej się tak ubierać.

- Myślę, że Lilian chciała sprawdzić, czy spodoba ci się również w spódnicy i kolczykach - stwierdził Justin.

- Nie wygłupiaj się, a teraz, ponieważ już jesteście, po raz pierwszy (uśmiechnęła się do Justina) i na nowo (ścisnęła dłoń przyjaciółki) przedstawię was towarzystwu, a potem szampan i łosoś dla wszystkich! Gotowa jesteś?

- Tak. Jesteśmy gotowi - stwierdził Justin. Słuchając dowcipów Patricka i Hanifa, Dalil śledził

wzrokiem Mirnę. Ujrzał, jak biegnie w stronę nieznanego mu pary trzymającej się za rękę na skraju trawnika. Sylwetka i twarz mężczyzny z ogoloną czaszką przyciągnęła jego wzrok. Mirna podeszła do pary, ucałowała mężczyznę w oba policzki i padła w ramiona kobiecie. Mężczyzna coś powiedział i wszyscy troje wybuchnęli śmiechem. Mirna wzięła kobietę w kapeluszu za rękę, mężczyzna stanął z jej lewej strony i razem zbliżyli się. Ku niemu.

Z powodu kapelusza i pochylonej głowy nie mógł dostrzec twarzy towarzyszk Mirny. Zastanawiał się, od jak dawna są razem, i dlaczego Hanif, który z pewnością o wszystkim wiedział, nic mu o tym nie wspomniał; najprawdopodobniej dlatego, że pokłócili się niedawno i nastąpiła między nimi kilkudniowa cisza.

Na szczęście Hanif przyszedł do galerii dwa dni wcześniej z jego ulubionymi kanapkami panini z serem i pomidorami. Powiadomił go, że Patrick dostał bezpłatny urlop, że jesienią sprowadzi się do niego; na razie on sam pojedzie na jakiś czas do Portstewart, spędzą tam część lata, a na przełomie lipca i sierpnia razem przyjadą do pogrążonego w wakacyjnym spokoju, uśpionego, pięknego Paryża.

Dalil uśmiechał się zadowolony, że wszystko się dobrze kończy, ale ścisnęło go w środku na myśl, że przyjaciel wyjedzie do Irlandii, a kiedy wróci pod koniec lata, towarzyszył mu będzie Patrick. Położył to kres ich dotychczasowemu życiu - wieloletniej przyjaźni, wymianie telefonów i esemesów, codziennym spotkaniom.

Słowa, jakie rzucił Hanifowi po wizycie w pracowni Jamesa Allena, uparcie, nieustannie powracały mu echem w głowie: „Zajmij się raczej tym twoim Irlandczykiem”. Nie spodziewał się, że Mirna przyniesie bratu Patricka na tacy.

Unikali tematu, omijali go, aż wreszcie poruszyli wspólnie incydent u amerykańskiego artysty. Hanif przyznał, że wtedy przesadził. Dalil starał się zaś bezskutecznie wyjaśnić prawdziwy powód swojej złości, która wytrysnęła z niego jak rozgrzana czerwona lawa na myśl o tej kobiecie, która ośmieliła się bawić w mężczyznę. Podobna uzurpacja poddawała ciężkiej próbie jego męską dumę.

Podeszli do Dalila: Mirna z radosną twarzą, towarzysząca jej kobieta z onieśmieleniem spuszczaająca głowę i uśmiechający się ironicznie mężczyzna, którego spokojny krok obserwował z daleka. Przeszkodziły im na moment krzyki grających obok w piłkę dzieci i podrywające się mewy.

- Dalil, chciałabym osobiście przedstawić ci wybrankę mego serca - Lilian podniosła głowę. Na Dalila spojrzały nieśmiało, lecz zdecydowanie niebieskie oczy. - Ma na imię Lilian. Wiem, że widzieliście się już beze mnie od pamiętnego wernisażu Ernesto Diaza, ale pomyślałam, że warto was na nowo sobie przedstawić... A to Justin, najlepszy przyjaciel Lilian, który zostaje w Paryżu do poniedziałku. Lilian, to jest Dalil, najlepszy przyjaciel mego brata. Jest właścicielem galerii sztuki w Trzeciej Dzielnicy, w którym to przybytku wystawia obiecujących artystów. O! Hanif - uśmiechnęła się do zbliżającego się w towarzystwie Patricka brata, a za nimi Boba, Ulrike, Solange i Dafne. - Nadchodzisz w porę. Tobie też chciałam przedstawić moją nową przyjaciółkę Lilian. Jest artystką i przez kilka miesięcy będzie mieszkała w Cite des Arts. Hanif jest fotografem, a wieczorami śpiewa w kabarecie. Dziś, jak wiesz, obchodzi urodziny. Dwadzieścia dziewięć lat... - Mirna puściła oko do brata. - Wszystkiego dobrego, Hanif.

Hanif ucałował Lilian, uściskał dłoń Justinowi.

- Dzień dobry i dziękuję, że przyszliście.

- James Allen... to znaczy Lilian! Nie poznałem cię! - wykrzyknął Patrick, podchodząc, aby ucałować ją na powitanie. - Jak długo nie miałaś na sobie spódnicy?

- Bardzo długo - Lilian spojrzała na Justina obserwującego kątem oka Dalila, którego dystygowana rezerwa podobała mu się coraz bardziej. - Od chwili, kiedy Justin zajął się moją transformacją... Co najmniej od sześciu miesięcy!

Justin przytaknął ruchem głowy.

- To ty jej pomogłeś? - zapytał Hanif.

- Jestem jej coachem - uśmiechnął się Justin. - Moim zdaniem poradziła sobie wspaniale. Tego rodzaju przedsięwzięcie nigdy nie jest łatwe, nie muszę ci tego tłumaczyć. Ale od kiedy ją znam, Lilian zawsze taka była. Kiedy ma jakiś pomysł, musi doprowadzić go do końca i nic nie jest w stanie wybić jej go z głowy.

Lilian wyciągnęła dłoń do Dalila. Tym, którzy znali całą historię, zaparło dech w piersiach. Niepotrzebnie.

- Cześć - powiedziała.

Długo zastanawiała się, co powie temu gburowi, kiedy znowu staną twarzą w twarz, jak się odegra, jak w kilku słowach dopiecze mu do żywego - opracowała i powtarzała sobie w myślach cały zestaw słownych replik. I to ją uspokoiło.

- Witaj, Lilian - odrzekł, ściskając jej dłoń i całując ją w policzek - przemknął wzrokiem po twarzach Mirny i Hanifa. - Miło mi cię poznać.

- Mnie również - odpowiedziała szczęśliwa, że nawiązali dialog w kilku słowach, już przy powitaniu. - Mirna mówiła mi, że płynie w tobie kabylska krew i że gotujesz wspaniałe tadżin. Mam w domu kilka naczyń do tej potrawy, kupiłam je, bo są piękne, ale nie miałam okazji posłużyć się nimi. Fajnie by było, gdybyś zechciał wyjawić mi arkana tej receptury.

- W takim razie muszę poznać cię z moją matką i siostrami - stwierdził, dziękując Mirnie spojrzeniem. - Jednak... - zawahał się - musiałabyś przyjść ubrana tak jak dzisiaj.

Wzruszyła ramionami z rezygnacją.

- Jeśli nie można inaczej...

Stojąca obok niej Mirna pokręciła dyskretnie głową: siostry Dalila były dużo mniej otwarte niż on sam.

- Może trochę szampana? - zaproponował Bob.

- Kanapka z łososiem? - Ulrike przeszła z talerzem, częstując wszystkich.

Stanęli w kręgu, wzniesli toast za zdrowie Hanifa.

Zaskoczył ich wieczorny chłód, dreszcz wstrząsnął kilkorgiem stojących na murawie gości, a komitet organizacyjny zdał sobie sprawę, że czas ucieka i że wkrótce nastanie godzina wystawnego przyjęcia urodzinowego w Popadom & Co. W pośpiechu zebrano do worka na śmieci plastikowe kubeczki i talerzyki.

Prawie jednocześnie Patrick i Hanif oraz Mirna i James Allen skierowali się w stronę wyjścia przy stacji metra Javel, aby skorzystać z chwili intymności i wymienić kilka pieszczot i czułych słów w drodze powrotnej. Przyjaciele ruszyli za nimi gawędząc między sobą. Ulrike szturchnęła łokciem Solange, wskazując jej brodą Dalila dyskutującego z Justinem:

- Założę się, że między nimi coś się zaczyna... Obserwuję ich uważnie już od dłuższej chwili i widzę, że mocno iskrzy.

Solange spojrzała na dwóch maszerujących przed nimi mężczyzn. Odwróciła się w stronę zamykających korowód Boba i Dafne:

- Ulrike twierdzi, że coś się święci między Dalilem i Justinem. Też tak myślicie?

Bob zrobił powątpiewającą minę i pokręcił głową.

- Ulrike nigdy się nie myli - stwierdziła Dafne. - Co prawda bardzo się różnią, ale są szanse na to, że coś między nimi będzie.

- No to co, zakładamy się? - uśmiechnęła się Solange.

Epilog

Wśród chmary Amorków rozniosła się nowina: dwie strzały zostały wypuszczone świadomie i z wyrachowaniem przez dwóch będących w znowie Kupidynów. Strzały te osiągnęły cel. Pomówione Kupidyny twierdziły, że chodzi tu o absolutny przypadek, którego wyjaśnienia należy szukać na najwyższym szczeblu. Nikt nie dał wiary tym usprawiedliwieniom. Na sąsiadujących ze sobą cumulonimbusach mieszkały Kupidyny, które od wieków marzyły o tym, aby ich protegowani się zakochali. Zakochali prawdziwą miłością, a nie uciekali się do erzacu, jakim była namiastka uczucia Teda i Justina.

Kupidyny winne temu szalonemu, dotychczas niespotykanemu wśród bractwa czynowi, to opiekunowie Dalila i Justina. Ten pierwszy lubił rozmawiać, szczególnie z Amorkiem Justina, któremu od lat powierzał swoje radości i smutki związane z bardziej lub mniej fortunnym rozsyłaniem strzał. Zaś Amorek Justina skrywał pod jowialnym, wariackim i kpiarskim stylem życia zamiłowanie do łązawych happy endów, rzucania ryżem i miodowych miesięcy.

Zaledwie kilka dni po wyprowadzce Kupidyna Teda, dwaj starzy kumple korzystali do woli na wygodnie wymoszczonej chmurze z palącego, oslepiającego słońca i zastanawiali się razem potajemnie nad prognozami kolegów. Rozkładając Mapę Możliwości, szukali na niej wspólnych punktów na najbliższą przyszłość dla strzał wypuszczonych z ich rewirów.

W oszałamiającym świetle słonecznym odkryli, że ich godła pojawiają się obok siebie w konfiguracji Świętego Fulberta - sobota/trawnik parku Andre - Citroen/piękny wiosenny dzień/urodziny Hanifa/konieczność pojednania.

Hanif urodził się w dzień Świętego Fulberta.

Mirna, zapraszając Dalila na piknik, dwa razy w ciągu tygodnia upewniała się, że na pewno przyjdzie. Urodziny jego najlepszego przyjaciela wypadały w sobotę, więc Dalil poprosił kuzyna, aby zastąpił go w galerii. Unikalna wręcz konfiguracja: Justin wyjeżdżał dwa dni później z Paryża i nie wróciłby prędko. Jeśli Dalil i Justin mieli się kiedykolwiek spotkać, to tylko tego sobotniego, późnego popołudnia. Zainteresowane Kupidyny dysponowały zaledwie trzema godzinami, aby każdy z nich namierzył cel i wystrzelił tylko po jednej strzale (nie więcej, bowiem działali bez pozwolenia Bractwa i nie

mogli narażać Miłości od Pierwszego Wejrzenia na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo). Drżące i niespokojne Amorki zdecydowały się mimo wszystko na to, by spróbować szczęścia.

Spostrzegawcza Ulrike, która nie wiedziała, co czeka ją samą tuż za rogiem miłości (i tym lepiej, bo w przeciwnym razie Kupidyny nie miałyby nic do roboty), dostrzegła to, co trzeba w tej niepowtarzalnej chwili, kiedy strzały wylatują z łuków i dosięgają serc tych, którym są przeznaczone.

Historię tę Amor najlepszego przyjaciela Hanifa postanowił skomponować na cztery ręce i dwa kołczany przy pomocy Amora najlepszego przyjaciela Lilian.

Szczególne podziękowania dla:

Juliette Blamont, Helene de Coustin, Audrey Petit, Stephanie Beaupre, Tina Hegemana i Zeline Guena za ich uważną lekturę i entuzjazm na różnych etapach pracy twórczej;

Susan Perry za nasze wspólne obiady, Barbary Le Goff za eskapady na jedzenie, Nadii Ouahioune za kabylskie imię i nazwisko, a także dla Laurent Samy za rodzinne przepisy indyjskie;

Marie - Claude Bianchini, Sophie - Justine Lieber, Frederic Maria, Dominique Renoux, Denis Lagae - Devoldere za ciepłe wsparcie.

A przede wszystkim wielkie dzięki dla Alice za jej pomysły, humor i radość życia.

Muzyka towarzyszy każdej chwili, w której piszę. Dziękuję artystom, którzy nieustannie mnie inspirują: Denez Prigent, Ali Farka Toure, Afro Celt Sound System, Chen Min, Abaji, Depeche Mode i Morphine, jak również autorom muzyki oryginalnej do filmów: „Spragnieni miłości”, „2046”, „Łowca androidów” „Wszystko o mojej matce”, „Hero” „Między słowami”, „Mullholland Drive”...